

W. PERZYŃSKI

DO GÓRY NOGAMI



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW ——— G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO., INC.

Ludwika Swiderska

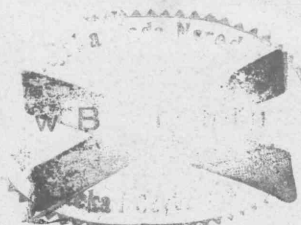
DO GÓRY NOGAMI

W. PERZYŃSKI

DO GÓRY NOGAMI



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO., INC.



884-311,2

3789

S

fm

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1914

K
R-dk 632 19.2

WILLEGIATURA.

Od dwóch miesięcy mieszkam na letnisku pod Warszawą. Jest to klasyczna willegiatura. Istnieją bowiem rozmaite rodzaje wyjazdów na lato. Najzaszczytniejsze są wczasy letnie, to znaczy taki wyjazd, któremu koniecznie musi towarzyszyć wzmianka w odpowiedniej rubryce jednego z pism codziennych. „Znany w szerokich kołach naszego miasta mecenas X. udał się na kilkotygodniowe wczasy letnie za granicę“. Świadczy to o przynależności bohatera wyjazdu do elity umysłowej czy towarzyskiej społeczeństwa. Wzmianek nie należy mieszać z ogłoszeniami. Gdy czytamy na ostatniej stronie jakiegoś pisma zawiadomienie, że „dentysta Feigenblat wyjechał, wraca w początkach września“, to choć to jest wydrukowane, o przynależności do elity nie świadczy.

.....

Willegiaturą nazywa się przepędzenie lata na letnisku pod Warszawą. Oba te pojęcia są nie-
Do góry nogami. 1

rozłączne. Gdy kto wyjeżdża do Zakopanego albo do Ostendy, może się bawić, leczyć, wypoczywać, używać świeżego powietrza, rozkoszować pięknem przyrody, słowem, robić, co mu się podoba, ale to już nie jest willegiatura. Na willegiaturę nie jeździ się ani dla wypoczynku, ani dla świeżego powietrza. Willegiatura jest ćwiczeniem moralnem.

.....

Każde lotnisko posiada suchy, zdrowy klimat, doskonałe komunikacje z miastem i *jeszcze* parę parceli lasu do sprzedania. Brak im morza, ale za to po lasach widzi się tyle starych pudełek od sardynek, że gdyby można było jakimś cudem wszystkie owe zjedzone sardynki wskrzesić, to starczyłoby ich na wypełnienie całego oceanu. Ponadto każde lotnisko posiada przystanek kolejowy, który jest miejscem zebrań publicznych i odgrywa w naszych Milanówkach i Radościach taką samą rolę, jak plaża w Ostendzie, czy ogrody kasyna w Aix-les-Bains. Wytwarza się sport czysto sielski chodzenia na wszystkie pociągi. Damy starsze i otyłe noszą powłóczyste szlafroki, panny i młode mężatki nakrywają głowy czerwonymi szalami. Kolor czerwony harmonizuje doskonale ze wschodnim typem Polek.

.....

Przy zawieraniu znajomości należy się usprawiedliwić przedewszystkiem ze swego pobytu na lotnisku, wytłómaczyć, dlaczego się nie jest ani w Chamonix ani w Trouville, tylko w tym roku wyjątkowo właśnie w Falenicy. Sezony letnicze noszą wogóle cechę wyjątkowości. Wszyscy przyjeżdżają wyjątkowo, pogoda bywa wyjątkowa i drożyzna wyjątkowa. Ulubionym tematem rozmów zaprzyjaźnionych rodzin są szczegółowe wyliczenia, wykazujące, że pobyt zagranicą w warunkach wyszukanego komfortu kosztowałby je znacznie taniej, niż pobyt w niewygodzie w kraju. Biedni ludzie, ale szczęśliwy kraj!

.....

Oprócz ludzi przyzwoitych na lotniska przyjeżdżają i złodzieje. Dzięki temu powstał obyczaj ostrzeliwania domów. Każdy letnik, przed udaniem się na spoczynek, uważa za swój święty obowiązek wystrzelić parę razy z rewolweru na postrach. Nie potrzeba dodawać, że letnicy udają się na spoczynek o najrozmaitszych godzinach.

.....

Złodziei należy wystrzegać się na dworcach kolejowych przy wyjeździe na lotniska. Najgorszą pod tym względem opinię posiada dworzec Nadwiślański. Operuje tam stale sześciu złodziei kie-

szonkowych. Ale wszyscy tak ich już znają, iż biedni ci ludzie nie mogą nawet marzyć o tem, aby ukraść cokolwiek. Wskutek tego rola ich jest najzupełniej bierna. Ponurzy, wycieńczeni, snują się wśród publiczności, która pokazuje ich sobie z tajemniczymi minami: „To jest złodziej“. Po co ta tajemniczość wobec skazanych na śmierć głodową istot — niewiadomo.

.....

W gorączkowem życiu miejskiem zacierają się pewne staropolskie cechy charakteru. Wieś je wskrzesza. Wszyscy letnicy więc są niesłychanie gościnni. Nietylko proszą, ale wprost domagają się, aby ich odwiedzano.

— Niechże państwo do nas się wybiorą, ale już tak, żeby na cały dzień, dobrze? — I do tych zaprosin dodaje się serdeczną przestrożę: — Tylko prosimy nie w niedzielę. — Przestroga jest naprawdę życzliwa, bo w niedzielę na przystankach kolejowych rozgrywają się sceny, jakie gdzieindziej na świecie można widzieć tylko podczas paniki przy wielkich katastrofach. Mężczyźni znęcają się nad kobietami, kobiety nad dziećmi, dzieci popychają staruszków i nie mają uszanowania dla kalek, słowem — piekło. A ponieważ znajomi z miasta zazwyczaj mają czas tylko w niedzielę,

więc to rozstrzyga doskonale kwestyę gościnności staropolskiej.

.....

Perłą letnisk podwarszawskich jest Konstancin. Wszyscy zgadzają się bez zastrzeżeń, że jest to miejscowość, urządzona najzupełniej „po europejsku“, mogąca śmiało konkurować z zagranicą. Niestety, dojazd do tej perły jest tak trudny, że ludzie zastanawiają się nieraz nad tem, czy zamiast szukać zagranicy u siebie, nie lepiej już jechać tam, gdzie ona oddawna jest, na miejscu? I jeszcze jedno dziwi wszystkich: gdzie w takiej małej lokomotywie mieści się tyle dymu?

.....

Nikt na świecie nie zna tak Europy, jak letnicy podwarszawscy. Gdy się słucha rozmowy przy obiedzie w którymkolwiek z pensjonatów, można pomyśleć, że to ucztą jubileuszowa konduktorów wagonów sypialnych. Z ust do ust padają tylko wyrazy: Landeck, Wiesbaden, Drezno, Monachium, Kissingen, Interlaken, Lucerna. I temu wszystkiemu przeciwstawia się jakiś malowniczy Kaczy Dół, twardo brzmiące Pyry, czy aksamitnie miękki Milanówek. Wrogowi bym nie życzył być Kaczym Dołem albo Milanówkiem.

.....

Przez dwa miesiące człowiek narzeka, przeklina swojskie porządki, wzdycha do zagranicy.

Staje się zgorzkniałym, żółciowym, złym, przysięga, że póki życia, noga jego na danem lotnisku nie postanie.

I w tem tkwi wielki urok willegiatury.

Bo przez dwa miesiące narzeka się na co *innego*, niż zazwyczaj, i słucha *innych* narzekań, niż zwykle.

To ogromnie odświeża umysł. Narzekać wciąż na jedno i to samo jest niepodobieństwem. Trzeba zmieniać narzekania.

I dlatego, gdy się we wrześniu powraca do mieszkania, z którego bucha naftalina, jak gdyby całą kamienicę dopiero co na przyjazd odniesiono z lombardu, z sympatyą myśli się o lotnisku:

— Ostatecznie, przyjemne było lato...

NAJSTARSZA KOLEJKA PODMIEJSKA.

Suchy, mroźny dzień. Jest coś orzeźwiającego w powietrzu, coś, co budzi tęsknotę do dalekich przestrzeni. Na niebie trochę chmur, ale wiatr je rozgania, raz po raz wybłyskuje słońce, i złota fala światła przewija się po ziemi. Sucho, a nie za zimno, pogoda w sam raz, jakby stworzona do podmiejskiego spaceru. Więc czyż można oprzeć się pokusie? Trzeba raz zrobić święto oczom, zmęczonym od ciągłego potykania się o ciasne, miejskie mury. Niech użyją na wolnej przestrzeni!

Program odrazu zarysowuje się w głowie. Na parę godzin do Wilanowa!... Warszawie zbywa na ładnych okolicach podmiejskich, nadających się do parogodzinnych, czy jednodniowych wycieczek, ale te, co są, prześliczne. Ot, choćby taki park Wilanowski... Jeśli dodać trochę sentymentu do wrażeń, w kącie niech się schowają najpiękniejsze wersalskie ogrody.

przytem komunikacya taka łatwa. Dorożka do Mokotowa, a potem kolejką Wilanowską, która jest najstarszą z naszych kolejek podmiejskich. Czyli — że od wyjścia z domu jest się już w atmosferze historycznej. Bo zważmy tylko: pierwszy etap — wehikuł, dźwigający na sobie brzemię ciężko przeżytych lat, potem najdawniejsza kolejka podmiejska i wreszcie miejscowość historyczna. Człowiek, obdarzony choćby odrobiną fantazyi, łatwo wyobrazić sobie może jakąś windę w czasie, która go zwozi z jego stulecia o parę pięter niżej...

A więc w drogę.

— Dorożka — wolny?

— Wolny — odpowiada dorożkarz, puszczając mi w same oczy kłęb tytoniowego dymu.

Dorożki warszawskie mają tę własność, że poruszają się równocześnie w dwu kierunkach. Przed siebie, co jest kierunkiem przewidzianym, i w bok, odbijając się o szyny tramwajowe i najrozmaitsze mniej lub więcej głębokie wyboje bruku. O ile jazda po linii prostej jest powolna, zważywszy, że i na konia przychodzą lata, o tyle te dygresye boczne są gwałtowne i nieprzewidziane. W zimowe dni ma to jednak swoją dobrą stronę, gdyż pobudza krew do żywszej cyrkulacyi i ogrzewa.

Ale w jeździe chodzi o to, aby dojechać. I po-

mimo wszystko, coby się teoretycznie zdawać mogło, moment ten nadchodzi. Dorożka zatrzymuje się przed dworcem kolejki Wilanowskiej. Dworzec ten nie należy do budynków monumentalnych, któreby upiększały nasze miasto. Ale, mój Boże, czyż dworzec po to stoi, aby mu się przyglądać? Zbyt estetyczny, wygodnie urządzony, starannie ogrzany dworzec ma nawet tę złą stronę, że rozleniwia podróżnika, odejmuje mu chęć do podróży. Myśli: — Poco mam szukać wiatru w polu, kiedy tu tak miło, ciepło, zacisznie?... Posiedzę i wrócę tramwajem do domu. Ale kiedy wiatr z pola sam po niego przychodzi, kiedy się w poczekalni kostnieje, wówczas myśl o szybkiej jeździe, o rytmicznym turkocie kół, o pejzażach, z błyskawiczną szybkością przesuwających się przed oczami, jest dawką narkozy, która ekscytuje duszę.

Ale na razie pociągu niema.

Mija kwadrans, pół godziny, pociągu niema.

— Dlaczego pociągu niema? — zwracam się z uprzejmym uśmiechem do „urzędnika“.

— Bo się spóźnił — słyszę opryskliwą odpowiedź od człowieka, noszącego z godnością swój stary mundur najstarszej podjazdowej kolejki. Mała rzecz, a wstyd. Bo kto słyszał zadawać takie głupie pytania? Jeśli pociągu niema, no, to rzecz prosta, że się nie rozpułnął, nie pofrunął w powietrze, tylko musiał się spóźnić. Mój brak logiki

musiał w kolejowcu wzbudzić obrzydzenie, bo, gdy mnie drugi raz mija, choć go już o nic nie pytam i pokornie usuwam mu się z drogi, patrzy na mnie z wyraźnym wstrętem.

I, jakby na tem większe upokorzenie moje, pociąg zajeżdża. Nie widać go jeszcze, ale już słyhać. Łagodny podmuch wiatru przynosi pierwszą falę dymu. Wszyscy zaczynają kaszlać. Jakiś wysoki, barczysty mężczyzna, prowokujący nas widocznie swojemi zdrowymi płucami, poprzestaje na kichnięciu i otarciu łez. Trudno, gdyby dym lokomotywy posiadał własności tak łagodne, jak dym papierosa, wciąż widywalibyśmy amatorów, którzy, przykładając usta do komina, zaciągaliiby się nim z rozkoszą. I kolejka Wilanowska nie chodziłaby wcale.

A tak — chodzi. Chodzi — bo oto od kwadransu siedzę w ciasnym, brudnym pudle, które niebosiężnej fantazyi ludzkiej podobało się nazwać wagonem, dlatego prawdopodobnie, że pudło owo ma ileś tam zgrzytliwych kół u dołu i równe, prostokątne otwory w bocznych ścianach. Pociąg mknie (tak już jest przyjęte w literaturze mówić o pociągu) brzegiem Glinianek, owych niewielkich jezior o łagodnej, mętnej powierzchni, które tak mile i swojsko ożywiają płaski nasz pejzaż podwarszawski. Zimno zaczyna być w polu, ale okna trzymamy otwarte, bo inaczej dymby nas zadusił,

Powie ktoś, kto nigdy nosa poza swój dom nie wytknął i nieobeznany jest z podróżami: Zamknąć okna, to nie będzie dymu! Nieprawda, dym się wciska przez szpary w dachu, w ścianach i w podłodze. Podłoga pokryta jest cieniuteńką, lepką warstwą błota. Podziwiać należy, jak zarząd najstarszej naszej kolejki podjazdowej umie każdy drobny napozór szczegół celowo wyzyskać. Bo nogi przylepiają się do tego błota i to pozwala łatwiej utrzymać na ławce równowagę. Pociąg kolejki Wilanowskiej nie ma w sobie tej zimnej i tak przykrej dla ludzi o romantycznym nieco usposobieniu martwoty i maszynowości zwykłych pociągów. Nie, on żyje! To młode źrebie, wypuszczone ze stajni na wolność. Skacze, wierzga, cofa się parę kroków w tył, potem znów radośnie podskakuje naprzód... I gwizdże... Ach, jak on gwizdzel... Takie gwizdanie tylko tu na tych naszych szarych polach się słyszy. Można potem cały świat ekspresami zagranicznymi objeździć, a za tym światem zawsze małemu bębenkowi w uchu będzie tęskno.

Naraz zgrzyt, huk żelaza, wszystko leci w tył.

— Katastrofa?

— Nie, stacya.

Każda stacya kolejki Wilanowskiej ma jakąś swoją specjalność, która ją pamiętnie od wszyst-

kich innych wyróżnia. Więc n. p. nigdzie niema tak malowniczych i wymownych żebraków, jak w Czerniakowie. Folklorysta może tu zbierać jędrne wyrażenia ludowe. Filantrop ma komu cały majątek rozdać. Alkoholik przez czas postoju trzy razy upić się zdoła. Klarysew słynie znów na całą Polskę z wody sodowej. Dlatego wszyscy chcą, żeby w Klarysewie pociąg zatrzymywał się jak najdłużej. I grzeczna służba kolejowa chętnie czyni zadość temu żądaniu. Ludzie i wagony odpoczywają — i można jechać dalej. A to jest ważna rzecz. Wagon także się rozsypie, gdy za dużo od niego wymagać.

— Jazda, na co pan tam czekasz, u dyabła? — krzyczy konduktor w stronę lokomotywy.

— Cholera! — odpowiada maszynista. Ta inwokacja choroby w konwencyonalnej gwarze kolejowej oznacza, jak się domyśleć łatwo — „Ruszamy“.

Ciężki lewar zgrzyta i pociąg znów zaczyna hasać. Ale to jest życie. Gdy pociąg skoczy w górę, pasażer skacze jeszcze wyżej, gdy pociąg się pochyli, pasażer się pochyla. Przez to czuje się zespolonym ze swoim wagonem, żyje z nim razem i to go wiąże do miejsca. Zamiast iść piechotą — jedzie. Na tem podłożu psychologicznem opiera się racya bytu naszej najstarszej kolejki podmiejskiej, chwały Warszawy i Wilanowa... Gwizdź-że

więc sobie, kolejko, na zdrowie i strasz w najdłuższe lata kozy żydowskie po drogach... Będziemy cię cierpliwie znosili, bo w bezduszną martwość komunikacji kolejowych wnosisz nam trochę romantycznej malowniczości.

ESPERANTYSTA.

Od pewnego czasu jestem zapalonym esperantystą. Esperantyzm ma w sobie coś z kultu. Nim się weźmie gramatykę do ręki, trzeba się nawrócić. I to jest proces najdłuższy i najtrudniejszy. Bo potem nauka odbywa się już w ciągu paru godzin. Ja sam, nawróciwszy się w poniedziałek, we czwartek mówiłem po esperancku tak, jak gdybym od dziecka żadnego innego języka nie słyszał. Nawet przez sen mówiłem po esperancku. Stało się to jednak niedawno. Przedtem należałem do najzacieklejszych przeciwników esperanta. Ale miałem przyjaciela, który był jeszcze zacieklejszym przeciwnikiem, niż ja. Może dlatego, że był to człowiek absolutnie niezdolny do nauki języków. Pozatem zresztą miły i inteligentny, tylko po francusku, po niemiecku ani w ząb...

Tak się złożyło jednak, że ów mój przyjaciel musiał wyjechać w dłuższą podróż zagranicę. Wiadomo, że zagranicą człowiek bez języków jest jak bez ręki. Otóż, aby się na to symboliczne

kalectwo nie narażać, przyjaciel mój zdobył się na bohaterski krok i postanowił nauczyć się po esperancku. Uczył się, uczył, o niczem innym nie myślał, chodząc po ulicach, gestykulował, mruzczał wciąż coś pod nosem, ludzie myśleli, że to wariat, a on przepowiadał sobie słówka i rozmówki.

— No cóż, mówisz już dobrze? — zagadnąłem go po tygodniu.

— E, kiepsko — odparł mi ze skwaszoną miną. — Wiesz, że ja nie mam talentu do języków.

Po dziesięciu dniach znów go spotykam i zaczepiam.

— Cóż, mówisz już?

Tym razem raźniej się uśmiechnął.

— Wiesz, że zaczynam.

Jeszcze tydzień minął. Parę razy zdarzyło mi się spotkać mego przyjaciela na ulicy, ale absolutnie niepodobieństwem było się z nim dogadać. Na najbardziej treściwe moje zapytania: „Jak się masz?“, „Cóż tam słyhać?“ nic mi nie odpowiadał, tylko wciąż mruzczał coś po esperancku. Z monotonnego brzmienia wyrazów i rytmicznych ruchów głowy, jakimi wybijał sobie takt, domyślałem się, że to były konjugacye i deklinacye. Po dwóch czy trzech nieudanych próbach konwersacyi obraziłem się i przestałem mu się kłaniać.

Byłem pewien, że umrzemy nieprzejednani, gdy

naraz po trzech tygodniach mój przyjaciel wpada do mnie. Było to rano, leżałem jeszcze w łóżku. Wpadł, rozejrzał się po pokoju, ani słowa nie powiedział... Ja spoglądałem, a on ma oczy pełnięte łez... płacze.

Żal mi go się zrobiło serdecznie.

— Trudno, mój kochany — zacząłem go pocieszać. — Są ludzie, którzy mają zdolności językowe, a ty ich nie masz. Ja nie mam włosów, a nie płacę... Musisz się pogodzić z myślą, że się nie nauczysz po esperancku...

Jeszczem nie zdążył wypowiedzieć tego nawet, a już zbladłem. I to zbladłem, jak trup. Bo mój przyjaciel parsknął nagle szalonym śmiechem.

— Oszalał — pomyślałem.

A on, tańcząc po pokoju, wykrzykiwał na różne tony:

— Ależ ja mówię... mówię... mówię...

— Jakto, nauczyłeś się po esperancku? — zawołałem niedowierzająco.

Spojrzał na mnie, mrużąc szyderczo oczy.

— Po esperancku, żeby to tylko po esperancku... Ja mówię wszystkimi językami, rozumiesz? wszystkimi językami...

Zrozumiałem, że kpł ze mnie, i zwróciłem dość ostro jego uwagę, że tego nie znoszę. Wówczas on spowaźniał.

Do góry nogami.



— A ja cię zapewniam, że mówię wszystkimi językami.

— Ty, któryś dwóch zdań po francusku nie umiał sklecić?

— Masz jakich znajomych, Francuzów, Turków, Anglików?... Sproś ich.

— Czekał — pomyślałem. — Skompromituję cię.

I wydałem ucztę, na którą zaprosiłem wszystkich warszawskich konsulów. Przygotowywałem się do złośliwego tryumfu. Ale cóż się okazało? Mój przyjaciel mówił naprawdę wszystkimi językami. Po francusku, po niemiecku, po angielsku, po persku, po duńsku, po portugalsku — kiepsko mówił, jękał się, brakowało mu wyrazów, ale mówił. W każdym razie znał początki każdego z tych języków.

Oczywiście, gdy się ma początki jakiegoś języka, to mimowoli rodzi się pragnienie, aby go poznać dokładnie. Mój przyjaciel za granicę nie pojechał, a zaoszczędzony na tem czas i pieniądze obrócił na naukę języków. Dziś po francusku mówi, jak Francuz, po włosku, jak Włoch, i jest jednym z dwóch, zdaje się, ludzi, którzy mówią po persku w Warszawie.

I to wszystko dlatego, że się nauczył po esperancku.

Kosztowała go ta nauka trzy tygodnie czasu i niecałego rubla.

Dzięki niemu wszedłem w towarzystwo esperantystów. I jestem zachwycony. Cóż to za mili i inteligentni ludzie! Każdy z nich mówi co najmniej kilkoma językami. Znam takich, którzy francuskim czy angielskim władają niegorzej od niejednego rodowitego Anglika czy Francuza. Ale to ich nie powstrzymuje od wycieczek do Francji czy Anglii, bo spotykają tam esperantystów, z którymi mogą porozumiewać się z łatwością w powszechnym języku.

I to jest zrozumiałe. Gdy się zna pięć albo sześć języków, to należy starać się tak mówić, aby wszystkich można było używać odrazu. Gdy się mówi kolejno najpierw jednym, a potem innym, to pozostałe leżą odłogiem i, jeśli można użyć takiego porównania, nie procentują.

Dziś, będąc zapalonym esperantystą, na pamięć już umiem wszystkie banalne pochwały na cześć esperanta. Język, który może oddać nieocenione usługi w międzynarodowych stosunkach handlowych i t. d. i t. d. Otóż trywialnie pozwolę sobie powiedzieć, że wszystko to jest zawracanie głowy. W stosunkach handlowych można sobie i bez esperanta poradzić. Wielka rola esperanta okazuje się dopiero w życiu rodzinnem.

Sprawdziłem to na sobie. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy z żoną źle żyli, no, ale często zdarzają się przemówienia, sprzeczki, dyskusye... Moja

żona jest popędliwa, ja mam łatwość wysłowienia... Ze słowa rodzi się słowo, z porównania porównanie... No i trudno, żeby inaczej było, skoro ma się pod ręką gotowy materiał językowy...

Nie wszyscy ci bezimienni pracownicy, którzy tworzyli w ciągu wieków język, byli dobrze wychowani i powściągliwi w mowie. Są więc wyrazy, jakich się w rodzinie używać nie powinno.

Ale są i używa się ich...

Język zaś esperancki, tworzony celowo, przez bardzo wykształconych i dobrze wychowanych ludzi, tych ciemnych plam nie posiada. Mówiąc inaczej, po esperancku nie można sobie nawymyślać, bo niema odpowiednich obelg ani przekleństw. To też odkąd używamy w pożyciu domowym języka esperanckiego, żyjemy bardzo zgodnie i czule. Każda różnica zdań rozwiązuje się w łagodnej, harmonijnej, pięknie stylizowanej dyskusji.

Powtarzam więc: wielka rola esperanta okazuje się dopiero w życiu rodzinnym. I to jest zgodne z odwiecznymi prawami. Wszak ostoją i świątynią języka zawsze bywa rodzina.

DROGIE MIESZKANIA.

Ludzie najchętniej lubią mówić o tem, co samo przez się jest niemiłe i przykre. Ileż to razy w towarzystwie rozmowa się nie klei, wszyscy są skwaszeni i znudzeni, gdy naraz ktoś zaczyna opowiadać o śmiertelnej chorobie przyjaciela i nieudanej operacji. Odrazu na wszystkich twarzach budzi się zaciekawienie, każdy ma coś do powiedzenia i rozmowa, która się ledwo wlokła i kulała, staje się nagle ożywioną i bardzo miłą.

Takim wdzięcznym tematem jest obecnie w Warszawie kwestya drożyzny mieszkań. Mówi się o tem całemi godzinami i zawsze z ożywieniem. Niema człowieka, któryby nie potrafił zacytować skandalicznego przykładu, gdy rodzinie, od dwudziestu lat zajmującej jedno i to samo mieszkanie, w tym roku podwyższono odrazu komorne z ośmiuset rubli na cztery tysiące ośmset. Ludzie stosunkowo młodzi jeszcze wpadają odrazu w ton

„starych warszawiaków“, wspominających przy każdej okazji dawne czasy.

— W roku 1903, panie, miałem pięć pokoi z wszelkimi wygodami na drugim piętrze za sześćset rubli, teraz to mieszkanie idzie dwa ty-
siące...

Inni znów umieją na pamięć ceny mieszkań w najrozmaitszych miastach europejskich: we Frankfurcie, w Wiedniu, w Berlinie, w Salonikach, w Bazylei, w Konstantynopolu. I cytują je bez zająknięcia. Bądź co bądź, jest to wzbogacenie zasobu naszych wiadomości naukowych i za to tylko chyba możemy być kamienicznikom wdzięczni, bo komuż-by się chciało dawniej tak zawiłe statystyki studyować? Każdy z nas wreszcie raz na tydzień przynajmniej spotyka znajomego, który, pochylając się nad stolikiem w kawiarni, szepcze z tajemniczą miną:

— A ja wiem, panie, o jednym mieszkanku, przesłicznym i niedrogim... bardzo stosunkowo niedrogim... Trzecie piętro, sześć pokoi, wanna, wszelkie wygody. Prawda, że trochę daleko, no, ale trzeba zdecydować się chodzić.

— Panie, gdzież jest to mieszkanie?

„To mieszkanie“, jak się okazuje, jest gdzieś na końcu Miedzianej czy Towarowej.

.....

Z niewoli kamieniczników mają nas wybawić miasta-ogrody, do których się z czasem cała Warszawa przeniesie. Ale na urządzenie miast-ogrodów potrzeba czasu i ten czas trzeba gdzieś przemieszkać. I to jest właśnie nieszczęście. Należy jednak oddać kamienicznikom sprawiedliwość, że te ciężkie chwile starają się nam osłodzić komfortem. Mieszkania w nowych kamienicach warszawskich są pourządzane z zastosowaniem wszelkich wymagań współczesnego komfortu.

W pojęciu komfortu mieszczą się: winda, elektryczność, kuchnie gazowe, aparaty do wysysania kurzu, telefony, łączące pokoje z kuchnią i kasy ogniotrwałe. Trudno mi było, co prawda, zrozumieć, na co człowiekowi, posiadającemu dwa pokoje z kuchnią, telefon do kuchni; na szczęście wytłómaczył mi to uprzejmie administrator domu, w którym sam poszukiwałem mieszkania.

.....

Mieszkanie było wymarzone: pokój z kuchnią na szóstym piętrze za tysiąc dwieście rubli rocznie. Administrator, bardzo miły człowiek, wesoły, grzeczny, przekonywał mię, że to nie drogo.

— Szanowny pan zechce pamiętać — mówił, uśmiechając się pobłaźliwie — że mieszkania w naszym domu są urządzone według wszelkich wymagań współczesnego komfortu. Przede-

wszystkiem pokój jest połączony z kuchnią telefonem.

— Ależ panie — jęknąłem — poco mi telefon? Przecież przez ścianę słyszać wszystko, co się mówi.

— Słyszać, słyszać — odparł z lekkim przekąsem. — Zapewne, gdy się mówi zwykłym głosem, to słyszać, ale czy panu nie zdarzyło się nigdy być zachrypniętym? A zresztą taki telefon w mieszkaniu może mieć i inne zastosowania, daleko bardziej wyrafinowane. Ponieważ mieszkanie jest niewielkie, więc łatwo przeciągnąć słuchawkę od jednego aparatu do drugiego i rozmawiać z samym sobą. Na każdego z nas przychodzą chwile, w których chce sobie coś wypomnieć, powiedzieć jakąś gorzką prawdę. Przez telefon jest to znacznie kulturalniej. Nie przyzna mi pan racji?

Zawstydzony moim brakiem wyrafinowania, nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Administrator, widząc, iż się waham, ciągnął z ożywieniem w głosie:

— A taki aparat do wysysania kurzu... Niech pan pomyśli tylko, co za wygoda! Wychodzi pan rano z domu, spieszy się pan, a tu służąca zapomniiała oczyścić panu ubrania. Zamiast ją wołać, rozbierać się, staje pan przy aparacie, raz, dwa — i nie ma pan na sobie ani jednego pyłku kurzu. Z własnego doświadczenia mógł pan przytem

zauważyć zapewne, że ile razy człowiek chce się oczyścić, zawsze szczotka i miotełka gdzieś się zapodziejają. Z aparatem tego być nie może. Aparat jest duży i ciężki, nie zarzuci go się ani pod kanapę ani na szafę. I jeszcze jedna rzecz: przy tem urządzeniu nie potrzebuje pan wcale popielniczek w domu. Ile kosztują pana rocznie popielniczki?

Umilkł i spojrzał na mnie wyczekująco. Ja czyniłem rozpaczliwe wyliczenia w mózgu, chcąc tak jakoś pokombinować wydatki i oszczędności, aby mózż sobie na ten pokój z kuchenką pozwolić. Ale bądź co bądź suma tysiąca dwustu rubli przedstawia dość pokaźny wydatek roczny. Zamyślony szepnąłem nawpół do siebie:

— Wzięćbym wzięć, ale musiałbym się znów zadłużyć.

Administrator parsknął wesołym śmiechem i uderzył mię przyjaźnie po ramieniu.

— Widzi pan, na wszystko jest rada.

— Ba, kiedy się boję — odparłem smętnie.

— Długów się pan boi?

— Długów nie, ale wierzycieli.

Naiwna moja uwaga doprowadziła sympatycznego tego mężczyznę do istnego paroksyzmu śmiechu. Aż mu oczy zaszły łzami.

— Ależ człowieku — odezwał się dobrotnie

wie, uspokoiwszy się po chwili — przecież w naszym domu wszystkie, nawet jednopokojowe mieszkania mają w murach kasy ogniotrwałe.

— Cóż mi z tego, kiedy nie mam w nich co chować.

— Siebie pan schowa.

— Jakto?

— Ile razy wierzyciel przyjdzie, może się pan zamknąć z rodziną w kasie i niech się do pana dostanie. A gdyby nawet wyświdrował dziurkę, to wtedy może go pan zamknąć do więzienia za rozbicie kasy ogniotrwałej...

— Zbawco! — krzyknąłem, rzucając mu się na szyję.

.....

Wynająłem mieszkanie i komfort, jakim się rozkoszuję, zaczyna mię już nawet powoli przekonywać do kamieniczników. Dawniej, gdy gospodarz domu podwyższał komorne raz na parę lat, spadało to na lokatora niespodziewanie i miało drażniący charakter przypadkowości. Obecnie kwestya jest uregulowana. Wiem, że jeśli w tym roku płacę za mój pokoik z kuchnią rubli 1200, to na rok przyszły będę płacił rb. 1600, za dwa lata rb. 2000, w roku 1973 — rubli

70.400 i t. d. Wiedząc to, zawczasu mogę się powoli przyzwyczajać do pewnych oszczędności i odpowiednio układać sobie budżet.

Słowem, z naszymi mieszkaniami warszawskimi nie jest jeszcze tak źle, jak się mówi.

ROZMYŚLANIA POLITYCZNE.

Jesteśmy narodem, posiadającym we krwi tradycje parlamentaryzmu. To też wykształcenie polityczne młodego Polaka rozpoczyna się bardzo wcześnie — od lat niemowlęcych. Któż z nas nie pamięta owych chwil, gdy po odejściu piastunek z braćmi w gąszcz braliśmy się za ręce i tańczyli dookoła, podśpiewując nieuczonymi głosikami:

Lata ptaszek po ulicy,
Wyszukuje ziarn pszenicy,
A ja sobie stoję w kole
I wybieram, kogo wolę.

Kogóż z nas nie rozrzewni wspomnienie owych igraszek w słońcu i piekielnych bójek, sińców, płaczów, wrzasków, pisków i krzyków, jakimi się one kończyły. Było to więc coś więcej, niż zwykła gra towarzyska. Przed laty, gdy o wyborach nikomu się jeszcze nie śniło, było to kultywowanie przez pokolenie najmłodsze, a więc niewystygłe, tradycji parlamentarnych i zarazem intuicyjne,

jeśli tak rzec można, przygotowywanie się do przyszłych działań społecznych. Dopiero gdy się to zrozumie, można ocenić symbol pioski. Bo na pozór opiewa ona dwie czynności, nie mające ze sobą najmniejszego związku. Ale bezimienny poeta chciał przez to wyrazić zapewne, że wybrać „kogo się woli“, jest tak samo trudno, jak ptaszкови znaleźć wyżej wspomniane ziarnko na ulicy. Kto wie, czy nie stokroć trudniej nawet. Ptaszka może spłoszyć stróż z miotłą, dorożka czy automobil, ale są to przeszkody chwilowe i przemijające, ptaszek ma wolność latania ponad wszystkimi cyrkulami — wyborca posiada tylko jeden swój okręg, a sprzysięgają się przeciwko niemu najętsze i najmędrsze głowy z całego kraju.

.....

Człowiek przeciętny w obcowaniu z jednym człowiekiem mądrym może odnieść wielkie korzyści. Ale gdy dwudziestu pięciu ludzi mądrych, znakomitych publicystów i wybitnych działaczy społecznych zaczyna mówić każdy co innego z niezłomną siłą argumentacji i porywającym stylem, wówczas nawet nieprzeciętny człowiek zgłupieje. I taki jest los wyborcy. Przychodzi moment, w którym już nic nie wie, czy Koło Polskie ma być solidarne, czy niesolidarne, czy trzeba zawierać kompromis z Żydami czy nie trzeba, i wówczas

A ja sobie stoję w kole
I wybieram kogo wolę.

Byłoby to barwne, malownicze, no, i wiedzielibyśmy już odrazu, że to tylko zabawa.

W I N D A.

W kamienicy, gdzie mieszkam od roku, buduje się winda.

Należałoby może raczej powiedzieć, od roku budują windę, ale wyrażenie „buduje się“, jeśli nie jest zupełnie zgodne z duchem języka polskiego, posiada wzamian tę wielką zaletę, że znakomicie charakteryzuje polski sposób prowadzenia robót.

Przez rok można się wiele nauczyć. To też technika budowy wind nie ma dziś już dla mnie tajemnic. Po dawnemu cłapię się na swoje czwarte piętro piechotą, z tą tylko różnicą, że przeważnie staram się chodzić kuchennymi schodami. Ale od biedy potrafiłbym już sam wybudować windę. Mam więc jakby drugi kawałek chleba w rękę.

I co najważniejsze, poznałem robotnika polskiego. Przyjrzałem mu się zblizka, nauczyłem się kochać go i cenić. Rzecz to nie do wiary, jak my się mało znamy nawzajem. Mówi się: „Lud, lud, robociarze, fundament przyszłości“, a w grun-

cie rzeczy są to dla nas zupełnie egzotyczne pojęcia. Dopiero jakieś przedsięwzięcia kulturalne, w rodzaju nadbudówek, zakładania wind, malowania schodów i t. d., pozwalają nam wejść w kontakt uczuciowy i zbliżyć się nawzajem.

Pewnego rodzaju powolność robót wychodzi więc nam jedynie na dobre. Zapewne — gdyby windę założono w trzy czy cztery miesiące, jeździłbym nią już oddawna, ale ileżbym zatracił przez to cennych spostrzeżeń, pozwalających mi wnikać nieco głębiej w psychologię naszego ludu miejskiego.

Robotnik polski jest z natury rzeczy koleżeński. To też nigdy nie bywa przy pracy odosobniony. Gdy coś robi, np. wbija gwóźdź w deskę, zawsze znajdzie trzech czy czterech towarzyszków, którzy pracy jego przyglądają się z zaciekawieniem. Śmiało twierdzić można, że niema tak drobnego szczegółu robót, który byłby wykonany bez tej koleżeńskiej kontroli. Daje ona gwarancję sumienności. O gwoździu, wbitym w ścianę, pod okiem trzech czy czterech fachowców, można powiedzieć, że jest wbity naprawdę. Bo tu już wchodzi w grę miłość własna. Gdy człowiek wie, że na robotę jego patrzą, wszystkich sił dokłada, aby wykonać ją jak najlepiej.

Zwłaszcza, ludzie tak ambitni, jak nasi robotnicy.

Ambicya jest nieodłączną cechą artystycznego temperamentu. A w każdym z robotników naszych tkwi coś z artysty. I to jest bardzo sympatyczne. Ale stokroć sympatyczniejsze jest jeszcze, że nawet artystyczne zapędy starają się trzymać na wodzy, gdy chodzi o dobro pracy. Robotnik polski wie, że nie powinno się nigdy robić dwóch rzeczy naraz. Więc mimo, że wszyscy lubią i umieją śpiewać i gwizdać, nigdy nie śpiewają ani gwizdzą przy robocie. Gdy któremu przyjdzie ochota, aby wyrzucić jakąś melodyę z siebie, odkłada pracę. I robocie, i finezyi śpiewu wychodzi to tylko na dobre. A śpiewać lubią i śpiewają dużo. Stąd pochodzi zapewne polskie wyrażenie, że coś się zrobi „śpiewający“...

Drugą cechą artystycznego temperamentu jest instynktowna wytworność. Cechę tę robotnicy nasi posiadają w wysokim stopniu. Ot, choćby taki przykład. Wchodzę do sieni, pośrodku schodów stoi biała, rozkraczona drabina, a na niej siedzi przystojny młodzieniec w różnokolorowym i niecałym ubraniu. Ma typowo słowiański wyraz twarzy, płowe włosy, melancholijną zadumę w oczach. Między szczeblami drabiny kołysze się kubeł jakiejś bardzo kolorowej farby, dwa takież kubły stoją na ziemi, za niemi szaflik z wodą, deska, wiecheć i kawałek drutu. O parę stopni wyżej pod ścianą stoi drugi młodzieniec, który,

porzuciwszy chwilowo swoją robotę, przygląda się pracy towarzysza. Sytuacja wyjątkowa, bo powinno się przyglądać trzech, ale mniejsza o to. Obaj tak są pochłonięci: pierwszy pracą, a drugi niemą jej kontemplacją, że w pierwszej chwili nie widzą mnie wcale. Odzywam się grzecznie:

— Może panowie by mnie przepuścili.

Nic. Serce rośnie w człowieku na widok takiego oddania się obowiązкови. Chrząkam. Nic. Zbliżam się do drabiny i, zadzierając głowę do góry, powtarzam głośniej:

— Może panowie byliby łaskawi mnie przepuścić.

Tym razem efekt jest piorunujący. Młodzieniec, który trwał w niemej kontemplacyi, odskakuje, jak oparzony, od ściany.

— Antek, nie widzisz, że jaśnie pan chce przejść. Dlaczegoż ty jaśnie pana nie przepuścisz? Cóż ty myślisz, że jaśnie pan, to taki drań, jak ty...

Z tonu czuć, że już to samo, że mnie zatrzymali na chwilę, zadrasnęło niemile jego poczucie taktu towarzyskiego.

Drugi robotnik schodzi powoli z drabiny, odsuwa ją, nie śpiesząc się — wszystko trzeba zrobić sumiennie — i ze swej strony strofuje towarzysza.

— Wicek, nie plujże teraz. Przecież o mało jaśnie panu na kapelusz nie plunąłeś.

A to jest nieprawda. Bo Wicek plunął conajmniej o pół łokcia od mego kapelusza. Uwaga jego kolegi dowodziła tylko subtelnej troski o pewien wykwint zachowania.

Gdy wchodzę na drugą kondygnację schodów, słyszę za sobą mrukliwe:

— Włóczą się i włóczą, cholery, jakby to schody były do łożenia... pracować tylko człowiekowi nie pozwalają.

Praca — rzecz święta. Trudno mi się o to obrażać. Sam jestem wściekły, ilekroć mi kto w robocie przeszkadza. Na drugim piętrze druga drabina. Powtarza się ta sama scena. Najgorzej jest trafić na drabinę niezaludnioną, bo samemu usunąć jej niepodobna z racyi groźnego kubła, a robotnik, którego by się chciało dla takiego drobiazgu trudzić, czułby się strasznie obrażonym. Trzeba więc albo zdać się na łaskę losu i czekać, albo starać się koło drabiny prześlizgnąć. Ostatecznie, lepiej przeczekać, bo zauważyłem, że o ile farba nie chce się trzymać ścian, o tyle znakomicie łąnie do ubrania. Mimo wszystkie drabiny jednak, potknięcia się i t. d., absolutnie w ciągu trzech kwadransy na czwarte piętro wejść można.

Temperament artystyczny rzadko chodzi w parze z matematyczną logiką. I znów, gdy się chce to rzadkie połączenie odnaleźć, trzeba się zwrócić

do miejskiego ludu. Na dwa miesiące przed rozpoczęciem robót windowych stróż przestał zmiatać schody, sień i podwórze. Gdym mu robił z tego powodu wyrzut, uśmiechnął się pod wąsem i odparł spokojnie:

— A pocóż mam sprzątać, kiedy i tak za dwa miesiące zaczną robić i zrujnują wszystko.

Zaznaczam, że było to powiedziane bez gniewu, z tym właśnie spokojem, jaki daje wewnętrzne głębokie poczucie swej racji. Z repliki tej należy jeszcze drugi rys charakterystyczny wyciągnąć: niechęć polskiego ludu do robót czasowych, przemijających. U nas, nawet, zmiatając podwórze, stróż chce, żeby to było nazawsze.

W rezultacie, póki nie było o windzie mowy, wchodziłem do siebie na górę w dwie minuty cały i zdrow. Obecnie potrzeba mi na to trzech kwadransy czasu, zmarnowałem dwa palta, stłukłem raz kolano, raz głowę i trzy razy rękę. Ale ponieważ wszystko ma swój kres, więc i winda będzie kiedyś skończona. Dzięki pośpiechowi, z jakim wówczas będą się do mieszkania dostawał, obecna strata czasu wyrówna się powoli. A palta przydadzą mi się na maskaradę.

KWESTYA WSCHODNIA.

Ludzie lubią się bić i na to święty Boże nie pomoże. Istnieją wprawdzie pacyfiści, czyli, jeśli tak można powiedzieć, „wegetaryanie wojny“, którzy, nie wyrzekając się waśni i konfliktów pomiędzy poszczególnymi narodami (podobnie, jak prawdziwi wegetaryanie nie wyrzekają się jedzenia), pragnęliby je załatwiać pokojowo, to znaczy na gębę. Wątpliwem jest jednak, czy uda im się kiedykolwiek ludzkość o skuteczności tej metody przekonać. Hałaśliwe zabijanie bliźnich należy może do przyzwyczajęń nieładnych, ale tak głęboko zakorzenionych w naturze ludzkiej, że najpiękniejsze frazesy na nic się nie zdadzą. Szczęściem geniusz ludzki, gdy nie może złego nałogu zwalczyć, wprost umie go obejść. Niedawno natknąłem w pismach ogłoszenie o jarskim mięsie z jarzyn. Istnieje również wino bez alkoholu, kawa bez kofeiny, tytuń bez nikotyny. Kombinując te różne pierwiastki zepsucia, łatwo możemy sobie wyobrazić typ hulaki przyszłości, który, spędziw-

szy całą noc w gabinecie jakiejś restauracji podmiejskiej, opisał się szampana bez alkoholu i wypaliwszy całe pudło cygar bez nikotyny, nad ranem, po zjedzeniu befsztyku tatarskiego z mięsa z jarzyn, wraca do domu wesół, rumiany, świeży, gdyż najmniejsza kropla trucizny nie zatrąła mu organizmu. A złym nałogom stało się zadość. Będzie to dopiero naprawdę połączenie przyjemnego z użytecznym.

Otóż zdaje się, że jest to droga, po której ludzkość dojdzie też do rozwiązania fatalnej kwestyi wojny. We wszystkich państwach technicy wojskowi pracują wciąż nad udoskonaleniem broni. Wiadomo, że im broń jest lepsza, tem kulki są mniejsze, a rany łatwiej się goją. Bez zbytniego wysiłku fantazyi można więc już przewidzieć chwilę, w której kulki staną się tak małe, a pęd ich tak straszny, że absolutnie przestaną być szkodliwe. Żołnierz poczuje co najwyżej w przestrzelenem miejscu lekkie swędzenie. Wówczas nastąpi rozbrojenie powszechne i ludzie powrócą do starych, naturalnych walk na kułaki. Będzie to moment prawdziwego tryumfu cywilizacji.

.

Pomimo całej mojej sympatyj dla pobratymców południowych Słowian i uszanowania, jakie żywię dla Greków, uważam, że tak zwane uregu-

lowanie kwestyi wschodniej byłoby przedsięwzięciem antykulturalnem. Ostatecznie chodzi o to, aby rok rocznie nie wyrzynano pewnej ilości chrześcijan. Zapewne, że jest to pogląd, z którym zgodzić się można, ale pogląd lokalny. Półwysep Bałkański ma dwie racye bytu w Europie: kwestyę wschodnią i Orient-Express. Gdyby nie to, możnaby go kazać rozkopać, co przy dzisiejszem udoskonaleniu sztuki inżynierskiej nie byłoby zapewne tak trudne. Otóż dla Europy, oczywiście nie dla części świata, ale dla Europy moralno-mistycznej, słowem dla Europy w cudzysłowie, zupełne skasowanie półwyspu, czy też taki stan rzeczy, przy którym zapanowałyby na nim idylliczna miłość i pogoda, przedstawiałyby absolutnie jedno i to samo znaczenie. Orient-Express nie miałby gdzie chodzić, a kwestya wschodnia przestałaby istnieć. To znaczy, że umysłowość nasza zubożyłaby się odrazu o cały szereg kulturalnych pojęć, wypracowanych wspólnymi wysiłkami prasy i dyplomacyi w ciągu ostatniego stulecia. Jużbyśmy nie mieli ani akcji pojedynczej mocarstw, ani koncertu wschodniego, ani chmur na Bałkanach, ani wiecznej kwestyi cieśnin. Łatwo jest taki dorobek w jakimś jednym żywiołowym uniesieniu zniszczyć, ale czem go potem zastąpić?

.

Gdyby kwestyę wschodnią uregulowało się w ten czy inny sposób, a zamysły pacyfistów dały się przeprowadzić, najgorzej wyszliby na tem prasa i niemiecki wojskowy, baron von der Goltz. Jak wiadomo, baron von der Goltz zajmuje obecnie w stosunku do wojen na Wschodzie takie samo stanowisko, jakie, przed laty, w stosunku do pogody i końca świata, zajmował znakomity jego rodak, astronom Rudolf Falb. Przepowiada.

Innego rodzaju profit i zadowolenie osiągnie z wojen prasa.

Wyobraźmy sobie, że jakieś pismo drukuje sześć razy z rzędu jedną i tę samą wiadomość, np., że „na ulicy Przeskok wóz samochodowy przejechał ośmdziesięcioletnią staruszkę“. Czytelnik napewno wruszyłby ramionami i krzyknął z oburzeniem: „Powaryowali!“ Ale gdy czyta: Berlin. Dziś w południe rozeszła się pogłoska, że poseł serbski, dr Nenadowicz, wręczył rządowi tureckiemu ultimatum. Paryż: Poseł serbski, dr Nenadowicz wręczył dziś rządowi tureckiemu ultimatum. Londyn: Rządowi tureckiemu ultimatum wręczył dziś poseł serbski, dr Nenadowicz, i tak dalej, piętnaście razy z rzędu, to go to ani nie dziwi, ani nie oburza, ale raczej podnieca i przejmuje i daleki, nieznanymy poseł Nenadowicz urasta w jego wyobraźni do rozmiarów jakiejś groźnej,

jowiszowej postaci, przed którą drżą skuleni ze strachu wezyrowie i basze.

Rano, kiedy człowiek nie zupełnie jeszcze oprzytomniał ze snu, jest to chwila bardzo miłej, elektryzującej emocyi.

.

Kocham Malisorów, współczuję z Macedończykami, uznaję w pełni szlachetne dążności Albańczyków, ale jako Europejczyk, bez zastrzeżeń, przede wszystkim dbać muszę o te marzeniowe perspektywy, do jakich daje mi prawo kultura i tradycja, i dlatego stawiam kwestyę ostro: „Albo Bałkany z kwestyą wschodnią, albo je rozkopać i niech ich już lepiej wcale nie będzie!“

PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ.

Anglicy lubią ekscentryczne zakłady. Pewien malarz londyński założył się niedawno, że nikt nie kupi od niego pięćdziesięciu rubli za 2 kop. Oczywiście, ponieważ było to w Anglii, więc myśl swą sformułował w walucie miejscowej. Przebrał się za biedaka, wziął paczkę pięciofuntowych banknotów w garść i ofiarowywał je przechodniom po pensie. Ale przechodnie myśleli: „Niema głupich“...

Sądzę, że taki zakład nie powiódłby się w Warszawie. Byłem raz w kawiarni świadkiem tego rodzaju sceny:

Do stolika, przy którym siedział jakiś bardzo przyzwoicie wyglądający dżentelman, zbliżył się chłopiec „od gazet“ i, pokazując fałszywego rubla, westchnął żałośnie:

— O, jakiego to mi rubla gość wkręcił!

A dżentelman instynktownie:

— Chcesz trzydzieści kop.?

Dżentelman wyczuł, że w owej naporóż bar-

dzo kiepskiej tranzakcyi było jednak żdźbło interesu do zrobienia. Londyńczycy nie chcieli kupować prawdziwych pięciofuntowych banknotów właśnie dlatego, że żadnemu z nich na myśl nie przyszło, że mogły być dobre i prawdziwe... Cóż to za wolno orientujący się ludzie! Czyż u nas na stu przechodniów wielu nie wielu, ale powiedzmy dziewięćdziesięciu siedmiu nie zorientowałoby się odrazu, widząc coś choćby zlekka przypominającego dziesięciorubłąkę, że to podobieństwo może już być podstawą „kombinacyi“. I gdyby taki zakład ktoś chciał uczynić w Warszawie, „podejrzane“ banknoty rozkupionoby od niego odrazu.

Dowodzi to, że owa zachwalana przedsiębiorczość Anglików, ich zmysł do handlu i dar szybkiej orientacyi nie są znów tak wielkie, jakby się zdawało. Psychologia narodów jest wogóle rzeczą zawiłą i nie należy przeceniać zbyt pochopnie tych wszystkich zalet, jakie cudzoziemcom przypisujemy.

SOLIDARNOŚĆ.

Kiedy po raz nie wiem który w życiu usłyszałem na prywatnem męskim zebraniu „My Polacy nie potrafimy być solidarni“, zbrakło mi cierpliwości, mogę rzec, nawet zawrzało we mnie, i mierząc człowieka, który te słowa wypowiedział, nieprzyzwoitem spojrzeniem, odezwałem się głucho:

— Wybaczysz szanowny pan, ale twierdzenie jego nie ma najmniejszego sensu. Zbrzydło mi już to wieczne utyskiwanie na nasz brak solidarności. Przyzwyczailiśmy się powtarzać, jak za panią matką pacierz: „A my, Polacy, nie jesteśmy solidarni, gubi nas brak solidarności, a tymczasem dość przez jeden dzień obserwować nasze stosunki, aby się przekonać, jak dalekim od prawdy jest ten przesąd. Pragnie pan dowodów? Ależ owszem. Nie mówię nic nigdy głośno. Bywam goły, ale nie w słowach. Wyobraźmy więc sobie, drogi panie, że kogoś, kto jest otoczony powszechną i zasłużoną czcią w społeczeństwie, spodobało mi

się nazwać pewnego pięknego poranku krótko i węzłowato „świnią“... Nie upieram się zresztą przy świni. Obelga ta ma charakter ogólnikowy i przeto może powodować nieporozumienia. Gdy mówimy o kimś z przyjaciół naszych, czy znajomych: „świnią“, niema w tem tej precyzyi zarzutu, jakiej może wymagać najprostsze poczucie sprawiedliwości. Wyobraźmy więc sobie raczej, iż o owym kimś, człowieku nieposzlakowanie uczciwym, otoczonym powszechną czcią, powiadam „złodziej“. Czy sądzi pan, że mimo całą pozorną bezsensowność zarzutu nie znajdę całych rzesz bliźnich, którzy momentalnie i bez zastrzeżeń zsolidaryzują się z moim poglądem. Zrób pan to doświadczenie, jeśli mi pan nie wierzysz... jest łatwe i nie wymaga przyrzadów. Odeprzesz pan mój argument powierzchownym zarzutem: — „To są tylko słowa — nie trudno być solidarnym w gadaniu“. O, jakiś pan naiwny pomimo dojrzałego wyglądu! — Czyż mniejszy brak solidarności widzimy w sferze czynów? Spróbuj pan komuś, czyją pracę cenisz i wiesz, że jest czczona przez wszystkich, urządzić „kawał“. Znow pan odrazu znajdziesz całe rzesze chętnych, którzy wszystkie siły wyteżą, aby ci dopomóc. I czyż wobec tego wszystkiego może być mowa o naszym braku solidarności? Powiedziałbym nawet, że jest to solidarność najwyższego gatunku, bo uwzględniająca najbardziej

ekscentryczne, osobiste zapędy. Solidarność przystosowana do narodowego „indywidualizmu“.

Mówiłem płynnie i wywarłem wrażenie. Człowiek, do którego się zwracałem, oniemiał. Patrzył na mnie szeroko wytrzeszczonemi oczami i widocznem było, że brak mu słów na odpowiedź.

— Nie patrz pan na mnie, jak baran na wodę — zakończyłem z przyjaznym uśmiechem. — Skoro przemyślisz pan w skupieniu wszystko, com ci powiedział, przyznasz mi słuszność. Gdy chodzi o zrobienie komuś „kawału“, jesteśmy najsolidarniejszym społeczeństwem na ziemi.

Uścisnąłem go serdecznie za rękę i rozstaliśmy się na zawsze.

EKSCENTRYCZNY ZAKŁAD.

Założyłem się z jednym z przyjaciół, że w Warszawie nie można dnia przeżyć, aby nie uchybić godności ludzkiej. Założyliśmy się o pół rubla. Suma niewielka, ale nie chodziło mi o zysk, lecz o tryumf moralny. Gdy podaliśmy sobie dłonie, a obecny przy tem jeden z poważnych obywateli naszego miasta, powołany przez nas na arbitra, „przeciał“, ująłem przyjaciela pod rękę i, wskazując mu poblizki skład apteczny, odezwałem się uprzejmie:

— Kupimy proszku do zębów.

Przyjaciel spojrzał na mnie, jak na waryata.

— Proszku do zębów, po co?

— Przedewszystkiem ponieważ proszek do zębów jest artykułem w domowym gospodarstwie bardzo użytecznym, a następnie, aby cię przekonać o słuszności mojej tezy, dla której zaryzykowałem pół rubla. Przysięgam ci, że do owego sklepu wchodzę po raz pierwszy w życiu. Będziemy się zachowywali jak najuprzejmie, będziemy

cisi, słodcy, potulni, nawet pokorni, o ile zajdzie tego potrzeba, a jednak mimo to wszystko, ktoś się na nas obrazi. Jeśli przypuszczasz jakiś podstęp z mej strony, wybieraj sam sklep inny. Z chęcią zamienię proszek do zębów na szkiełko do zegarka, pastę do butów, funt cukru czy jaki artykuł bławatny. Rozporządzaj mną, proszę cię...

Z delikatnością dobrze wychowanego człowieka przyjaciel mój odparł:

— Niech będzie proszek do zębów.

Parę kroków po rozmokłym śniegu i oto jesteśmy w sklepie. Od progu zdjąłem kapelusz. Ponieważ panowie za kontuarem zajęci byli rozmową, więc, aby im nie przeszkadzać, stanąłem grzecznie na uboczu. Przyjaciel mój naśladował mnie we wszystkim. Różne rzeczy można naszym firmom zarzucić, tylko nie powolność obsługi. Trzy minuty nie upłynęły, a już zwrócono na nas uwagę. Poważny, łysy blondyn z długą brodą (u mężczyzn często się trafia tak paradoksalny podział uwłosienia) zwrócił się do mnie z melancholią w głosie:

— Szanowny pan sobie życzy?

— Prosiłbym o proszek do zębów — odparłem przymilnie.

— Miętowy?

— Miętowy.

Nim zdążyliśmy się zorientować w tem, co za-

szło, szczęknęła metalicznie kasa, wykazująca „kardą wpłaconą sumę“, i poważny blondyn podał mi niewielką paczuszkę, owiniętą w różowy papier, i takiejże barwy kartkę do kasy. Przytem mruknął:

— Dziękuję.

— To ja panu dziękuję — odparłem.

Przyjaciel mój uśmiechał się ironicznie. Czuliem, że już wylicza w myśli wszystkie praktyczne, bądź przyjemne cele, na jakie można przeznaczyć wygrane pół rubla. Ale nie zbiło mię to z tropu.

Lekkim krokiem podszedłem do kasy. W obramowaniu dwóch matowych szyb, za kontuarkiem, przypominającym katedrę nauczycielską, siedziała młoda, eteryczna blondynka. Czytała jakąś książkę i tak tem była pochłonięta, że nie słyszała wcale naszych kroków. Mogliśmy się jej przyrzec swobodnie. Wełniany, szkocki szal zwiślał jej niedbale z ramion, osłaniając kosztowną jedwabną bluzkę. W uszach miała świeże, czyściuteńkie kawałki waty. Oczywiście codzienne zmienianie waty w uszach wymaga pewnego natężenia uwagi w tym kierunku, ale jakżeż miłym jest ten drobny rys kokieteryi u młodych kobiet! Po chwili wyczekiwania chrząknąłem.

Przyznaję sam, że kiepskie miałbym wyobrażenie o czytelniku, którego mogłoby oderwać od lektury chrząknięcie. Jeśli kto chce czytać z po-

żytkiem, musi skupić całą uwagę. Nie dziwię się więc, że kasyerka nie podniosła głowy.

Ale taka jest już natura ludzka, że, gdy się stoi przed kasą z kartką w ręce, chce się jak najprędzej zapłacić. Po chwili odezwałem się przyciszonym głosem:

— Przepraszam panią...

Nic.

Mimowoli musiałem głos podnieść.

— Przepraszam panią...

Blondynka drgnęła nerwowo. Oderwała oczy od książki i, mierząc mnie od stóp do głowy pełnem obrażonej godności spojrzeniem, odparła z pogardliwym naciskiem:

— Słyszę...

Poczem, sprawdziwszy manifestacyjnie dwa razy, czy rubel, który jej podawałem, nie był fałszywy, niedbale odrzuciła mi resztę.

Skłoniłem się jej.

— Do widzenia pani.

Ktokolwiek zna psychologię młodej pracownicy polskiej, nie wątpi, jak zostałem skarcony wzrokiem za to niewczesne odezwanie się. Czytałem najwyraźniej:

— Jak pan śmie mnie zaczepiać... nie przedstawiony...

Zerknąłem z ukosa na mego przyjaciela. Już się nie uśmiechał ironicznie.

Gdyśmy wyszli przed sklep, ująłem go pod rękę.

— Widzisz więc, mój drogi — rzekłem. — Jesteśmy obaj dobrze wychowanymi ludźmi, personel sklepu, do którego weszliśmy, składa się również z dobrze wychowanych ludzi. Owa sympatyczna kasyerka, sądząc z zaciekawienia, z jakim czytała książkę, jest osobą wysoce uduchowioną. Staraliśmy się zachowywać jak najuprzejmiej, a mimo to nie udało się nam załatwić drobnego sprawunku bez uchybienia czyjejs godności ludzkiej. I to jest objaw bardzo dodatni, bo dowodzi, jak wysoce jest w nas wszystkich to poczucie godności wyrobione.

Nie posunę się do przesady, twierdząc, że wszelkie scysye między ludźmi, wynikające na warszawskim bruku, tylko z tego źródła biorą początek.

Gdy, wysiadając z dwukonnej dorożki, dajesz woźnicy rubla, a on ci każe zgnić w kryminalne i powiesić się, to oczywiście nie dlatego, żeby mu chodziło o kilkadziesiąt kopiejek zarobku. Jesteśmy hojni i pieniądze nie mają u nas znaczenia. Ale eleganckiemu woźnicy przykro jest, że go zbyt nisko cenisz, jak pierwszego lepszego dryndziarza.

Te same względy psychologiczne kierują kelnerelem, gdy ci odsuwa pogardliwie zbyt niski na-

piwek, służącą, gdy odsyła swoją panią do cholery i t. d. Zgodzisz się ze mną, że w tych warunkach najpokorniejszy człowiek nie może dnia przeżyć, nie uchybiwszy nikomu. Wygrałem zakład! Niech żyje Warszawa! Daj pół rubla!

— Służę ci — odparł zimno mój przyjaciel, wręczając mi pięć dziesięciokopiejkowych monet. I odwrócił się obrażony.

Nie chodziło mu ma się rozumieć o pół rubla. To bogaty człowiek. Ale przykro mu było, że przegrał zakład. Dotknęło go to w jego godności ludzkiej.

ZIMOWE WIECZORY.

Z wypisów szkolnych jeszcze pozostała mi w pamięci bajeczka o chłopczyku, który miał usposobienie entuzjastyczne i zmienne, co objawiało się mianowicie w ten sposób, że co kwartał wyrażał pragnienie, aby odpowiednia pora roku trwała wiecznie. O ile sobie dziś przypominam, dziecię owo najslabiej reagowało na uroki wiosny, czemu się nie dziwię, ile że właściwe zastosowanie wiosny rzadko uświadamiamy sobie przed jakimś piętnastym rokiem życia. Trzeba już na to być obeznanym z wzorami wielkiej poezji i móżdż, pod pretekstem dowiedzenia się od kolegi o lekcyc, wychodzić samemu z domu. Ale to jest uwaga na stronie. Sens bajeczki owej był taki, że każda pora roku posiada specjalne swoje przyjemności, z których należy umieć korzystać.

Do specjalnych przyjemności zimowych należą długie wieczory. Co do mnie, przyznam się szczerze, że nie umiem sobie nawet zimy z krótkimi wieczorami wyobrazić. Kwestya pewnego nałogu —

być może, ale i głębszego sentymentu. W długie wieczory zimowe rodziny zbierają się w stołowym pokoju, oświetlonym jasno płonąca lampą. Czyta się głośno, albo starsza siostra opowiada młodszemu rodzeństwu bajki... Na dworze śnieg, zawierucha, okna pokryte mrozem, ziiimno (przez kilkanaście i), ale to wszystko gdzieś daleko. Rzeczywistością jest czarowny świat bajki... Szczęśliwe chwile, gdy się tych bajek z zapartym oddechem słuchało.

Istnieje pewien tradycyjny typ zimowej bajki. Bohaterem jej jest zwykle dziadek, zbiedzony, wynędzniały, obdarty, który chodzi po prośbie od domu do domu i wszędzie bywa przepędzany. Lituje się nad nim dopiero jakiś nędzarcz i okazuje się wtedy, że dziadek wcale nie był dziadkiem, tylko dobrym duchem, który mistyfikował mieszkańców danego miasta czy wioski, aby się przekonać, czy są dobrzy. No, i nędzarcz, który złożył dowód instynktownej dobroci serca, bywa sownie wynagrodzony...

Pamiętam, że bajka taka, którą słyszałem w dzieciństwie, wywarła na mnie bardzo silne wrażenie. Nie miejsce tu może na zbyt pochlebne o sobie charakterystyki, ale wtrącając, że od najmłodszych lat byłem na piękno poezji wrażliwy i marzyłem o tem, by je urzeczywistnić w życiu. Złotówkę więc, którem dostawał, by obejrzeć panoramę (ki-

nematografów jeszcze nie było), chowałem skrzętnie, wypatrując po ulicach dziadków, którzyby mieli odpowiednio tajemniczy wygląd. Pierwszym warunkiem, ma się rozumieć, miała być długa, siwa broda. No, i po otrzymaniu jałmużny dziadek powinien był momentalnie zniknąć. Kilkakrotnie dałem się wziąć na lep owej brody, ale za każdym razem spotykało mnie rozczarowanie, gdyż dziadek nie znikał, a rachunki ze mną załatwiał doraźnie dość obojętnem nawet przeważnie podziękowaniem. Mimo to, nie traciłem nadziei (taki już jest serc młodocianych entuzjizm), że uda mi się prawdziwego dziadka spotkać, i aby być zawczasu na zmianę losu przygotowanym, wypatrywałem po wystawach sklepowych różne cenne przedmioty, jako to: niklowane łyżwy, rewolwer, scyzoryk o stu kilkudziesięciu ostrzach i t. d., które nęciły moją fantazyę.

Wielkim urokiem dzieciństwa jest to, że ma się przyjaciół wówczas, z którymi można szczerze i wspólnie marzyć. I ja z marzenia swego, które, jak to dziś widzę, było jedyną koncepcją finansową na szeroką skalę, jaką miałem w życiu — zwierzyłem się jednemu z przyjaciół. On powtórzył je siostrze. Ziarno poezji padło na wrażliwą duszę. Dziewczynka poczęła poszukiwać „dobrego ducha“.

I powiodło jej się. Pewnego razu ujrzała na

ulicy poważnego starca w łachmanach z długą, siwą brodą. Ani chwili nie można było się wahać. Podbiegła i gorączkowo wetknęła mu w rękę zaoszczędzonego rubla.

Dziadek znikł.

* * *

Napozór jest to nieprawdopodobnie fantastyczne, ale tłumaczy się prosto. Dziadek, oszołomiony nieoczekiwanie hojnym datkiem, cofnął się tak nieopatrnie w tył, że wpadł w otwarty przez roztargnienie robotnika kanał od kanalizacji, a dziewczynka ze strachu zwaryowała. Morał płynie stąd taki, że nie zawsze jest dobrze starać się wcielać poezję w życie.

PIJANA KOLEJ.

Dowiedzieliśmy się niedawno, że kolej Wiedeńska, owa pocziwa i na pozór tak niewinnie wyglądająca kolej Wiedeńska, która nas wozila do Włochów i do Włoch, była, ni mniej ni więcej, tylko źródłem zarazy alkoholycznej. Po objęciu jej przez rząd trzeba było odrazu aż stu kilkunastu urzędników wydalic „za pijaństwo“.

Okazuje się więc, że skup kolei miał nie tylko ekonomiczne cele na względzie. Był to zarazem konsekwentny krok na drodze walki z alkoholizmem, podjętej przez Dumę państwową.

Pijacy ci, od których aż się roilo na przetrzeni między Warszawą a Granicą i Aleksandrowem, nieźle umieli co prawda grać komedię wobec podróżującej publiczności. Wszyscy wyglądali na ludzi trzeźwych. Ale to nie umniejsza bynajmniej ich winy, nawet pogarsza ją raczej. Cóż może być gorszego od alkoholika-hipokryty, którego występny nałóg ujawnia się dopiero w skutkach chorobliwej działalności?

Człowiek łatwo się sugestyonuje. To też i my, jeżdżąc przez długie lata ową zapijaczoną koleją, przywykliśmy panujące na niej porządki uważać za normalne. Dopiero dziś, gdy na całej linii, od pięknego murku przy ulicy Marszałkowskiej aż do Granicy, zapanowała atmosfera trzeźwa, możemy, porównyując dawne obyczaje z nowymi, ocenić błogosławione skutki reformy.

Przedewszystkiem więc podniosła się znakomicie zdrowotność personelu kolejowego. Jest to rzecz zupełnie zrozumiała. Medycyna dawno już stwierdziła, że nic tak nie wycieńcza organizmu ludzkiego i nie czyni go podatnym do wszelkich chorób, jak alkoholizm. Obecnie więc, gdy to praźródło niedomagań usunięto, niema obawy, aby urzędnicy chorowali. Dzięki temu, można było spokojnie dać dymisyę jedenastu darmozjadom lekarzom, oraz, co ważniejsza, położyć pewną tamę zachłanności aptekarskiej. Postanowiono mianowicie, że nadal lekarze mają przepisywać dla chorych urzędników nie więcej, jak za rubla rocznie lekarstw. Ale zdaje mi się, że i to zawiele...

Przecież lekarstwa nie są takie drogie. Co oleju rycynowego można mieć np. za rubla. Wątpię, czy jest tak liczna rodzina urzędnicza, którejby za rubla oleju na rok nie starczyło. Tę pozycyę można więc śmiało obciąć do jakichś trzydziestu kopiejek i sądzę, że na rok przyszły zarząd nie

omieszka tego uczynić. Niema nic gorszego przytem, jak rozdelikacanie się lekarstwami.

Święcie jestem przekonany, że gdy nowy zarząd kolei odoczy podwładnych sobie urzędników od śmiesznej manii zapychania się przy lada okazji jakimiś podejrzanymi dekoktami, zdrowotność na kolei wzrośnie jeszcze bardziej i, za lat parę pojęcie „urzędnik kolei wiedeńskiej“ stanie się synonimem tryskającego zdrowia i tężyny.

Ale mniejsza o urzędników ostatecznie. Kolei służy przedewszystkiem dla wygody publiczności.

Otóż i na tej drodze widzimy już znaczny postęp, będący zresztą tylko konsekwentnem następstwem reformy etyczno-hygienicznej. Mianowicie z chwilą, gdy po usunięciu elementu alkoholicznego nie powierza się już prowadzenia pociągów pijakom, nie widzimy również tej waryackiej jazdy, która narażała tylko pasażerów na niebezpieczeństwo. Jeśli dziś pociąg przychodzi z dziewiętnasto-godzinnem opóźnieniem, to trudno zaprzeczyć, że idzie wolniej, niż dawniej, ale o ileż wzamian za to jazda taka jest bezpieczniejsza. Przy zastosowaniu tego racjonalnego pospiechu zarząd kolei będzie mógł znieść nietylko dwadzieścia trzy przejazdy, jak to jest w projekcie obecnie, ale wszystkie wogóle, gdyż każdy, komu będzie zależało na przejściu z jednej strony plantu na drugą, będzie mógł przejść spokojnie przez

szyny, nie narażając się na to, że mu jakiś rozszalały pociąg niespodziewanie na łeb spadnie. Publiczność zyska na tem tę wygodę, że będzie mogła przechodzić przez plant w każdym miejscu, nie szukając Bóg wie gdzie przejazdów, a zarząd zrealizuje nową oszczędność.

Z innych reform, będących bezpośrednio następstwem podniesienia się poziomu etycznego obsługi kolejowej, przedewszystkiem podnieść należy nowowprowadzony system nieopalania wagonów.

W tem widać również dowód trzeźwości poglądów nowego zarządu na higienę. Dawniej, gdy z pijacką rozrzutnością nie żałowano paliwa, zdarzało się nieraz, że w przedziałach panowała atmosfera tropikalna. Człowiek nie wiedział, czy jest w łaźni, czy w wagonie. Pasażera, wysiadającego z takiego waru na chłodne powietrze, nieraz na mróz kilkunastostopniowy, narażało to na natychmiastowe przeziębienie, niebezpieczne w skutkach. Obecnie obawiać się tego nie potrzebujemy. W nieopalanym wagonach jest trochę chłodniej co prawda, czasem mróz dochodzi do 5 stopni, ale na to łatwa rada: należy się cieplej ubierać i nie siedzieć, tylko chodzić po korytarzach podczas jazdy, albo, łącząc konieczne z pożytecznym, uprzyjemnić sobie czas wykonywaniem gimnastyki

szwedzkiej, według znanego systemu „Dziesięć minut dla zdrowia“.

Na wołowej skórze nie spisałby zresztą wszystkich korzyści moralnych i praktycznych, wynikających z utrzymania kolei. Przedewszystkiem wyliczyliśmy się z wielu zakorzenionych przesądów. Powtarzaliśmy bezmyślnie przez całe lata: „kto smaruje, ten jedzie“ — obecnie skasowano przy pociągach pasażerskich smarowników, a pociągi jeżdżą.

Zapalają się czasami, ale jeżdżą.

Albo czego nie wyrabiano z takimi lokomotywami. W paru punktach na linii wystawały zapasowe parowozy tak, że maszynista, wyjeżdżając z jednym z Warszawy, mógł go zmieniać w Skierniewiczach na inny, w Kuluszkach na trzeci i t. d. Wiedząc, że wszędzie nowy parowóz znajdzie, przestawał szanować swój, puszczał parę, jechał jak waryat i, w ostateczności psuł kosztowną maszynę. Teraz i temu położono kres. Zarząd zyskuje dzięki tej rozumnie pomyślanej oszczędności kilkadziesiąt lokomotyw, które będzie mógł sprzedać, lub „przybić“ w najbliższej filii lombardu miejskiego u zbiegu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej.

Tak trzeźwość prowadzi do oszczędności, a oszczędność do bogactwa.

NA DROGACH POSTĘPU.

Pod wielu względami pozostajemy za Europą w tyle. To fakt. Ale drugim faktem, któremu nie można zaprzeczyć, jest to, że w niektórych dziedzinach pracy twórczej wysuwamy się stanowczo na czoło cywilizowanych społeczeństw. Weźmy np. taki objaw, jak technika kradzieży. Złodzieje nasi doszli w niej do udoskonaleń, o jakich nie śniło się ich zachodnio-europejskim kolegom, mimo, że poziom oświaty na Zachodzie jest wyższy, a więc i wykształcenie fachowe pod każdym względem łatwiejsze.

Był czas, że Warszawa słynęła z rozbijania kas ogniotrwałych. Rzec można bez przesady i obawy narażenia się na zarzut szowinizmu, że „Tajemniczy Dżems“ był smarkaczem wobec naszych specjalistów. Ale rozbijanie kas tam, gdzie one stoją, połączone jest zawsze z pewnego rodzaju niewygodami. Trzeba się zachowywać cicho, unikać światła i ostatecznie, zdobywszy zawartość kasy, traci się samą kasę, która jest również sprze-

tem nie do pogardzenia. Złodzieje nasi zastosowali więc nowy system. Mianowicie zamiast rozbijać kasę na miejscu, wynosi się ją w bezpieczne ustronie i tam spokojnie otwiera. Wypadek taki zdarzył się niedawno na kolei Nadwiślańskiej. Pierwsza ta próba dała świetne rezultaty i sądzimy, iż na przyszłość w ten sposób będzie się kasy kradło. Czyż nie jest najpraktyczniej zawieźć kasę do siebie do domu i otworzyć ją tam, nie śpiesząc się i, co ważniejsza, nie narażając na szwank kosztownej a delikatnej maszyneryi zamku? Cena transportu stosunkowo niewielka opłaci się stanowczo, bo kasa, pominawszy wszystko, sama przez się dobrze robi w mieszkaniu.

Jedyną trudnością, nasuwającą się przy stosowaniu tej komfortowej metody, może być brak odpowiedniego lokalu, gdzieby skradzioną kasę dało się spokojnie otworzyć. Ale i na to jest rada. Kradnie się dom. Taki wypadek zdarzył się znów przy rogatce Wolskiej. Jak donosi *Kuryer Warszawski*: „przed nowe, jeszcze nie otwarte i strzeżone przez stróża rogatki, zajechał wóz z kilku mężczyznami, którzy przywieźli ze sobą drągi żelazne, liny i deski i najspokojniej przystąpili do zabierania na wóz... domu dla woźnego rogatkowego.

Próba ta nie powiodła się co prawda, ale pierwsze koty za płoty. Człowiek energiczny

i przedsiębiorczy nie zniechęca się tem, że coś mu się raz nie powiedzie.

Zdaje mi się, że jak najgoręcej należy złodziei naszych zachęcać, aby kroczyli po tej szczęśliwie obranej drodze. Poprostu w interesie moralności publicznej. Wyobraźmy sobie taką sielankę. Złodziej kradnie dom. Oczywiście, musi go gdzieś ustawić i to w niezbyt widocznem miejscu; kupuje więc parcelę pod miastem. Cóż łatwiejszego następnie, jak skraść płot dla ogrodzenia swej chudoby. Dziecinna igraszka, kwestya jednego popołudniowego spaceru. A dom stoi. Powoli zaczyna go się meblować. Niema dnia, aby jakiegoś drobiazgu nie przybyło: to kasa ogniotrwała, to lustro, to kredens, to materace, to żyrandol. Równocześnie myśli się o gospodarstwie. Ktoś, kto dom ukradnie, potrafi również dobrze i w stajenkę się zaopatrzyć; do stajenki sprowadzi się konika, piesek sam się przybłąka i tak niepostrzeżenie złodziej nasz staje się zagospodarowanym człowiekiem. To budzi w nim instynkt poszanowania własności. Słowem, przysłowie: „od łyżeczka do rzemyczka, od rzemyczka do koniczka“ poczyną działać odwrotnie. Nauczysz się cenić konia, złodziej poczyną szanować rzemyki, potem mizerne łyżeczko i wreszcie sam ze złodzieja przekształca się w poczciwego, podmiejskiego łyka.

Ważną niezmiernie jest rzeczą, że ewolucya

ta może się odbywać powoli, prawie niepostrzeżenie, nie zmuszając podlegającego jej osobnika do zbyt gwałtownych „skoków etycznych“.

Mojem zdaniem, jest to najodpowiedniejsza droga do rozwiązania palącej kwestyi socyalnej, jaką jest złodziejstwo. Droga daleko skuteczniejsza od oświaty. Ziarno oświaty może wydać zły albo dobry plon, zależnie od tego, na jaki grunt padnie, a domek, na jakimkolwiek gruncie stoi, zawsze jest dobry.

I złodzieje nasi, jak się zdaje, już to zrozumieli. To jest to tylko, że domek lepszy jest od oświaty, bo z dalszych konsekwencyj swoich czynów nie zdają sobie widocznie sprawy. Nie wiedzą, jak niebezpiecznie jest igrać z własnością. Kto raz we własność wlezie, ten już w niej grzęźnie i mimowoli uczy się szanować nietylko swoją, ale i cudzą.

Oczywiście, skoro ten rodzaj kradzieży się rozpowszechni, nie jest wykluczone, że Warszawa znajdzie się z czasem zupełnie gdzieindziej, niż jest obecnie. Osobiście niczym przeciwko temu nie miał. Uważam, że miastu naszemu jest np. niesłychanie brak morza. Gdyby więc pp. złodzieje chcieli skradzione domy przenosić gdzieś np. w okolice Copot, oddaliby nam wielką przysługę. Pominąwszy już wszystkie względy natury

hygienicznej, estetycznej i handlowej, spadłaby nam z głowy troska o otwarcie trzeciego mostu.

Ale nie wybiegając marzeniami w tak daleką przyszłość, możemy się przygotować na bliższe, a czasami może nawet i miłe niespodzianki.

Są w Warszawie wielkie a szpetne budowle, które nas drażnią. Otóż wyobraźmy sobie, że pewnego pięknego poranku budzimy się, wychodzimy na miasto, a tu któregoś z onych gmachów niema. No — niema, wczoraj był, a dziś go niema, rozstąp się ziemio, nie wiadomo, gdzie się podział.

Ten i ów z ludzi przejezdnych i nie oryentujących się w naszych stosunkach, zwraca się za-intrygowany do pierwszego lepszego przechodnia:

— Panie, co to się stało?

Przechodzień wzrusza ramionami.

— Nie widzi pan? Co się miało stać?...
Ukradli.

NEUTRALNOŚĆ.

Przed paru dniami byłem świadkiem bardzo przykrej sceny. Powracając późną nocą do domu, widziałem, jak dwóch bandytów napadło spokojnego przechodnia. Ulica była odludna i napadnięty znikąd nie mógł się spodziewać pomocy. Ale był to jakiś dzielny człowiek i mężnie stawiał napastnikom czoło. Ukryty w cieniu bramy z zapartym oddechem śledziłem perypetye walki. Wreszcie ku wielkiej mej radości dostrzegłem, że bandyci przeszli, mówiąc językiem telegramów z placu boju, do tak zwanej defensywy, to znaczy uciekli.

Wówczas wyszedłem z bramy i zbliżyłem się do bohatera, który poprawiał sobie pod latarnią ubranie.

— Serdecznie panu winszuję — krzyknąłem, wyciągając ku niemu dłoń.

Odwzajemnił mi się mocnym uściskiem.

— Rzeczywiście udało mi się — odparł z zadowoleniem w głosie.

— Nie poranili pana?

— Parę sińców, ale to nic nie znaczy.
— I nic panu nie zabrali?
— Portmonetkę, ale w niej miałem tylko trochę drobnych — roześmiał się z zadowoleniem. — Pugilares ocalał.

— Jeszcze raz panu winszuję.
— Wzruszony jestem doprawdy pańską uprzejmością.

Zamieniliśmy powtórnie uścisk dłoni, poczem, uchylając kapelusza, odezwałem się uprzejmie:

— W takim razie poproszę pana teraz o dwadzieścia pięć rubli.

Tryumfator wytrzeszczył na mnie oczy.

— Dwadzieścia pięć rubli? Za co?

— Jak to za co? Za zachowanie zasad neutralności. Przecież gdybyśmy we trzech pana napadli, nigdyby się pan nie był obronił. Z tej oto bramy śledziłem przebieg pańskiej walki z bandytami. I nie przyszedłem im z pomocą. Sądzę, że należy mi się z pańskiej strony pewna wdzięczność.

Nowy mój przyjaciel (od tej chwili miałem prawo już go za przyjaciela uważać) popatrzał na mnie z życzliwym uśmiechem, wreszcie rzekł:

— Widzę, że pan jest inteligentnym czytelnikiem pism.

— Tak panie. I dziś rano przeczytałem właśnie, że sprawa załatwienia zatargu rumuńsko-bułgarskiego jest na jak najlepszej drodze. Bardzo

mię ta wiadomość ucieszyła. Napozór może się to wydać dziwnem, bo mnie nic osobiście ani z Rumunią, ani z Bułgarią nie wiąże, więc skąd ta radość, że dwa sąsiadujące ze sobą, a nie bratnie narody nie wezmą się za łby. Ale cieszy mnie uświęcenie zasady „neutralności“. Od dzieciństwa kładziono mi w głowę dwie rzeczy: że historia powinna być mistrzynią życia i że co się robi, należy robić prędko. Otóż przystosowując się do tych dwóch wzniosłych zasad, wyciągam nauki z historii na poczekaniu.

— Skoro pan tak rzeczy stawia na gruncie polityczno-prawno-państwowym, zgodnym z uświęconą od wieków tradycją i dorobkiem kulturalnym ludzkości, nie mogę pana nazwać ani oszustem, ani złodziejem, lecz „wypróbowanym przyjacielem“. Proponuję panu rubli pięć.

— Nie, panie, nie chodzi mi o pieniądze, lecz o spełnienie pewnej misji dziejowej. Przodkowie moi w grobachby się poprzewracali, gdybym poprzestał na pięciu rublach. Chcąc zresztą drobny ten zatarg jak najprzyjaźniej załatwić, uprzedzam pana, że mam rewolwer w kieszeni.

— Jedyne moje pragnienie jest, aby przyjaźń nasza nie poniosła szwanku... I ja mam rewolwer.

Sprezentowaliśmy broń.

— A więc?

- Dziesięć rubli.
- Dwanaście i pół.
- Zgoda.

Załatwiwszy finansową operację, po raz trzeci wymieniliśmy serdeczny uścisk dłoni.

Przyjaciel mój rzekł:

— Cenię w panu jego „zmysł historyczny“. To mi osładza stratę dwunastu i pół rubla. Gdybym był barbarzyńcą, uważałbym się za pobitego i okradzionego.

— Gdyby pan nazwał to, co się stało, rabunkiem — przerwałem mu — rozgoryczenie pewnego rodzaju byłoby najzupełniej usprawiedliwione. Ale skoro zamiast brzydkiego i trywialnego wyrazu „rabunek“ użyje pan terminu „neutralność“.

— Wszystko będzie w porządku.

— I na tem polega postęp estetyczny ludzkości. Postęp ten istnieje niezaprzeczenie, stwierdzić go można na każdym kroku. Podobnie, jak piękna szata przyozdabia ciało, tak w ładnym wyrazie przystojnieje, że tak powiem, pojęcie. Stara to prawda, znana ludziom od wieków. Więc wszystkie wysiłki nasze trzeba kierować ku temu, żeby tworzyć te piękne wyrazy i określenia. Wtedy i życie stanie się pięknem.

— Święte słowa — szepnął przyjaciel mój cichym, wzruszonym głosem.

Pożegnałem go uśmiechem.

REHABILITACYA POLITYKI.

Przeczytaliśmy parę tysięcy telegramów o sytuacji europejskiej i ostatecznie nikt nie wie, czy będzie wojna, czy nie będzie wojny.

Przepowiednie polityków, opierających swe wnioski na matematycznie ścisłych rozumowaniach, są również zawodne, jak i wróżby mistycznie natchnionych astrologów. Jasnym jest, że nikt się bić nie chce i że wszyscy mogą się pobić lada chwili. Ale niemniej jest faktem, że żyjemy w bardzo pięknych czasach. Mało nawet powiedzieć — w pięknych — w przesłicznych czasach. Codziennie rano, gdy czytam przy pierwszym śniadaniu pisma, doznaję tkliwego, szczerzego zadowolenia na myśl, że się nie urodził o 50 lat wcześniej, ani o sto lat później, tylko właśnie, w momencie historycznym, który przeżywam.

Bo — naprawdę jest to wielki moment. Idee dobra, prawdy i sprawiedliwości tryumfują na każdym kroku. Nawet w polityce, co do której od dawna żywiłszy karygodne uprzedzenia, że

raczej jest skłonna do kultywowania niskich namiętności, niż wzniosłych cnót. I oto fakty, które życie niesie, rozwiewają przed nami ten przesąd. Nikt dziś nie ma już prawa powiedzieć, że mocarstwa europejskie w działaniach swoich kierują się tylko bezdusznym egoizmem własnego interesu, zapominając o ideałach ogólnych. Dość wziąć pierwszy lepszy dziennik do ręki i przeczytać pierwszy lepszy wywiad z dyplomata, który, z łatwo zrozumiałych względów, nie może wyjawić swego nazwiska, by się przekonać, że tak zwana wielka polityka europejska wkroczyła na nowe zupełnie tory. Od paru miesięcy ma już ona tylko czysto idealne cele na względzie.

Śmiało więc rzec można, że to, co się obecnie w świecie dzieje, jest w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu, rehabilitacją polityki.

Dla przykładu weźmy Albanie. Wiadomo jest, że jeśli ta wojna, która nas od paru miesięcy straszy, wybuchnie, to bardzo łatwo może się to stać z powodu Albanii. Naród albański, dzięki kulturalnym swoim wysiłkom, doszedł do tego stopnia rozwoju cywilizacyjnego, że wyłoniła się niezbędna potrzeba przyznania mu niepodległości. Europa mało miała dotychczas Albanii. Wynikało to z dość trudnych warunków podróżowania po tym malowniczym kraju, istniał tam mianowicie starodawną tradycją uświęcony obyczaj, że ka-

żdego podróżnika, który przekraczał granicę Albanii, specjalna świta, kwiat młodzieży albańskiej, wedle opowiadań tychże podróżników, odprowadzała do ustronnej jaskini i gościła przez parę tygodni, dopóki rodzina podróżnika nie nadesłała tak zwanego „okupu“, to jest drobnej kwoty, od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy franków. Był czas, że po Europie krążyły oszczerce pogłoski, że podróżników bez okupu nie wypuszczano. Jest to fałsz absolutny. Albańczycy odznaczają się wysoką bezinteresownością w sprawach pieniężnych i podróżników wypuszczali zawsze, tylko tych, którzy nie mieli na okup, wypuszczano ratami: najpierw głowę, a potem resztę ciała. W każdym razie, ponieważ okup wymagał przy obliczaniu kosztów podróży pewnego naddatku, więc to zniechęcało oszczędniejszych turystów, którzy przekładali nad malowniczą Albanie burżuazyjną, ale tańszą Szwajcaryę.

Ważnem jest jednak, że ostatecznie mimo pewnego rodzaju odosobnienia, w jakim z przytoczonych powyżej względów znajdowała się Albania, promienie jej cywilizacji przeniknęły nareszcie do Europy. I uczynił się gwałt. Dyplomatom wielkich mocarstw aż włosy popowstawały na głowach.

— Jezus Marya! Początek dwudziestego wieku i Albania nie ma jeszcze niepodległości.

Światło prawdy i sprawiedliwości przeniknęło do zrutynizowanych mózgów. Dziś niema już sporu o niepodległość albańską. Ta kwestya jest już stanowczo zdecydowana, chodzi tylko o to, aby niezależna Albania była jak największa. Europa, przejęta podziwem dla wysokiego poziomu etycznego Albanii, dla wysiłków myśli albańskiej, dla nauki i sztuki albańskiej, ścierpieć nie może, aby choć jedna piędź albańskiej ziemi pozostała pod panowaniem Turków, czy dostała się pod jarzmo serbskie.

I ta sympatya Europy nie ogranicza się jedynie do platonicznych westchnień i pobożnych życzeń, które wiecznie życzeniami pozostają. O, nie... Skoro raz wielkie mocarstwa doszły do przekonania, że Albania, dzięki nieprzerwanej pracy kulturalnej, dojrzała do niepodległości, gotowe są z bronią w ręku pomódz jej w wywalczeniu swoich najświętszych praw. A nawet nie pomódz jej, tylko poprostu wywalczyć za nią. Parę milionów rezerwistów czeka niecierpliwie w Europie na tę wielką chwilę, w której będą mogli, każdy wedle skromnych sił swoich przyczynić się do wielkiego tryumfu sprawiedliwości.

Skoro więc cała Europa może „stanąć w ogniu“, że użyję popularnego politycznego terminu z powodu takiej już niepodległościowej subtelności, jak przesunięcie przyszłej granicy albańskiej o kil-

kanaście mil na północ, czy na południe, czyż nie jest to najlepszym dowodem, że duch romantycznego idealizmu ożywia jeszcze działania wielkich mocarstw i czyż ta groźba wojny i miliardy, wydawane niepotrzebnie może na mobilizacye, jedynie, aby wzniosłym hasłom stało się zadość, nie są najlepszą rehabilitacyą polityki?

WIELKANOC.

Wielkanoc przypada w tym roku wyjątkowo wcześnie. Dzięki temu, mieliśmy krótki karnawał, no i post taki sam, jak zwykle. Można by się w tem dopatrzeć pewnego usymbolizowania życia ludzkiego, w którem karnawały bywają rozmaite, a posty zawsze jednakowo długie.

Wielkanoc jest u nas świętem narodowego ochędóstwa. Przedewszystkiem, zgodnie z ustaloną od dawien dawna tradycją, w ostatnich dniach wielkiego tygodnia odbywa się generalne mycie okien. W mieście jest to zarazem pierwszą oznaką wiosny. Gdy śnieg poczernieje, — jak wiadomo, śnieg na wiosnę zmienia kolor i z białego staje się czarnym, co zwłaszcza w Warszawie, dzięki rozumnej konserwacyi śniegu na ulicach, obserwować można doskonale — przychodzi jakiś słoneczny dzień i wówczas na parapetach wszystkich okien można obserwować pierwiosnki miejskie w postaci tęgich, czerwonych łydek, nad którymi unoszą się mniej lub więcej fantastycznie powy-

ginane kadłuby. Nie wiem, czy jest tak stetryczały śledziennik, któremuby na ten widok nie drgnęło żywiej serce, który, poczuwszy na twarzy ożywczą wilgoć skrzących się tęczo w słońcu mydlin, widząc czysty błękit nieba i fruujące na figlarnym wietrze arkusiki szarej bibuły, nie odczułby w duszy tej nieokreślonej a radosnej ochoty do życia, jaką w nas wznieca obraz odradzającej się przyrody. Może w tym roku, skutkiem nerwowego pośpiechu, z jakim zawitała do nas Wielkanoc, ostatnie dni Wielkiego tygodnia za zimne jeszcze będą, aby owa troska o ochędostwo powszechne, charakteryzująca społeczeństwo nasze w jego okresach przedświątecznych mogła wystąpić w całej tradycyjnej okazałości, ale jeśli poeta na tem straci, to natomiast zyska higiena, bo porządki wielkanocne przyspieszą się o parę tygodni. Słowem, niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, jak powiada przysłowie, będące wraz z drugim przysłowiem „o mądrym Polaku po szkodzić“, dowodem skłonności naszej do łagodnego optymizmu w przysłowiacz, boć gdyby nam naprawdę złe miało wychodzić na dobre, a każda szkoda przynosić trochę rozumu, bylibyśmy dziś najszcześliwszym i najrozumiejszym społeczeństwem na świecie.

Dotychczas jesteśmy tylko społeczeństwem bardzo uczuciowem. Przejawia się to najlepiej w tem

połączeniu podniosłości świątecznej z zabiegami o czystość. Są kraje — sam ich nie zwiedzałem, ale mówię to na wiarę podróżników — jak Holandia np., gdzie podobno gospodynie myją okna i podłogi codziennie. Może to ma i dobrą swoją stronę, ale przy tym systemie całorocznego Wielkiego tygodnia, święta nie wyodrębniają się niczem od dni powszednich, prócz wypoczynku i przez to tracą wiele ze swego ideowego charakteru. Niema tych gorączkowych przygotowań, kiedy to człowiek idzie do kąpieli, do fryzjera, część garderoby odsyła do krawca, co pomniejsze sam w domu czyści benzyną i wreszcie, po trzech dniach takiego galimatiasu, nieludzko zmęczony i wycieńczony, ale świątecznie czysty — ...a a a, oddycha z ulgą i po tem extra skomplikowaniu życia, wyczuwa w całej pełni odpoczynek uroczystego święta. W mieszkaniu, na świeżo wyfroterowanych posadzkach ledwo stąpnąć można, nogi rozlatują się jak na wrotkach, ale to właśnie, zmuszając nas do ostrożniejszych ruchów, nadaje im uroczystszy i przez to bardziej odpowiadający doniosłości święta charakter.

Narody zachodnie, w rodzaju owych Holendrów np., szorujących co świtu swoje kamienice, jak gdyby nigdy deszcze nie padały, doprowadziły kulturę materyalną życia do udoskonaleń, graniczących już nieomal z absurdem, ale kosztem

owej czystości zewnętrznej, imponującej na oko, zatracają to, co jest stokroć ważniejsze, mianowicie duchowe, wewnętrzne piękno symbolu.

Akt mycia i porządku, łącząc się u nas ze wzniosłym pojęciem święta, nabiera przez to szczególnej poezji. Rzecz można, że trochę tych mydlin, które w Wielkim tygodniu spływają z okien w szafliki, przenosi się w dusze i je też odświeża. Jest to rys czysto słowiański. Słowianie, jedni ze wszystkich narodów europejskich, potrafią korzystać z wyników cywilizacji współczesnej, nie tracąc przez to dawnego kultu dla żywiołów: jak ogień, jak ziemia, tak i woda jest dla nich świętą i nie używają jej bez należytego skupienia. To więc wyniesienie ponad poziom szarych, powszednich aktów życiowych wielkiego procesu mycia, zarówno rzeczy martwych jak i żywych, więcej od podobieństw językowych i stwierdzonych przez poetów sympatii, świadczy o przynależności naszej do wielkiej rodziny słowiańskiej, która wszelkie ofiary na jej ołtarzu złożone zawsze z zadowoleniem przyjmie.

Dobrze jest w uroczysty dzień święta, widząc czystość i ochędóstwo dookoła, uprzytomnić sobie tę przynależność i poczuć się Słowianinem.

KRACH BANDYTYZMU.

Czytałem niedawno w pismach wiadomość o śmiałym napadzie bandyckim na dwór w Królestwie. Może się komuś wydać dziwnem, że tak tę wiadomość sygnalizuję, jak gdyby było w niej coś niezwykłego. Dzięki Bogu nie żyjemy ani w Azyi, ani w Afryce, gdzie napady bandyckie bywają rzadkie, lecz w Europie środkowej. Bandytyzm nasz dawno już wyszedł z powijaków romantyzmu i stał się jedną z ważniejszych gałęzi przemysłu krajowego.

Sądzę więc, że prasa nasza stanowczo powinna mu poświęcać więcej uwagi. Inaczej — bez zainteresowania całego społeczeństwa a zwłaszcza zamożnych sfer ziemiańskich, grozi nam ni mniej ni więcej tylko upadek bandytyzmu. Smutneby było, gdyby przemysł ów, który tak świetnie się rozwijał przed paru laty jeszcze, miał pójść na marne. Pominąwszy już wzgląd czysto sentymentalny, mianowicie pewnego rodzaju pietyzm, jakim powinniśmy bandytyzm nasz otaczać, jako je-

dyną realną pozostałość po pięknej epoce wolnościowych uniesień — pamiętajmy, że w Królestwie conajmniej parę tysięcy osób utrzymuje się z bandytyzmu. To ich wiąże z krajem. Inaczej — pozbawieni możliwości zarobkowania na miejscu, skazani by zostali niechybnie na emigrację.

Bandyci nasi pracują w warunkach wyjątkowo ciężkich. Zagranicą, we Francji naprzykład, ważną przysługę bandytyzmowi oddał rozwój automobilizmu. Wszyscy mamy w pamięci głośny proces „bandytów automobilowych“, których sądzono niedawno w Paryżu. U nas, z powodu fatalnego stanu dróg korzystanie z samochodów jest niemal wykluczone. Wyobraźmy sobie polskiego bandytę, któryby chciał po naszych gościńcach uciekać na samochodzie. Ładnieby wyglądał. Z konieczności więc bandyci muszą podróżować w żydowskich wehikułach. Pomijam już niewygodę i powolność tego rodzaju lokomocyi, ale poprostu przecież na usposobienie ludzkie inaczej musi oddziaływać elegancka, sprężysta maszyna, mknąca z zawrotną szybkością po szosach, a inaczej jakaś roztrzęciona bryka, którą ledwie ciągnie dychawiczna żydowska szkapa. Uświadomiwszy sobie te różnice techniki pracy, podziwiać należy niespożytą energię bandytów naszych, którzy mogą i umieją pracować nawet w tych prymitywnych warunkach.

I gdyby jeszcze ta praca opłacała się im na-

prawdę. Ale najprostszy rachunek wykazuje, że tak nie jest. Tylko trzeba porachować, a nie opierać swoich sądów na gołosłownych, fantastycznych plotkach. Nie wiem skąd utało się przekonanie o niesłychanych zarobkach bandytów. Dla przykładu weźmy chociażby napad, o którym wspominałem na początku niniejszego felietonu. Bandytów było ośmiu uzbrojonych w brauningi i mauzery i rewizya dworu zajęła im prawie całą noc pracy. Wynagrodzenie więc należy obliczać w stosunku do pracy nocnej, która na całym świecie i we wszystkich zawodach jest droższą. Otóż dane cyfrowe — cytuję je na wiarę najpoważniejszych pism naszych — przedstawiają się tak: Gotówką zabrano rb. 800 i ponadto stare srebro. Sprzedażna wartość kradzionych rzeczy jest u nas minimalna. Jeśliby komu się zdawało, że przesadzam, może to sam każdej chwili z ła-twością sprawdzić: niech co ukradnie i spróbuje sprzedać, a przekona się, ile mu dadzą. Powiedzmy więc, że za spieniężenie sreber uzyskano rb. 80, co razem czyni rb. 880, czyli po 110 rb. na głowę. W rachunku tym niema jednak kosztów wyprawy, które są bardzo znaczne. Liczmy tylko: Przedewszystkiem studia techniczne, a więc wyszukanie odpowiedniego dworu, zorientowanie się w warunkach miejscowych, policyjnych, służbowych i t. d. Wszystko to w ciągu godziny nie

da się zrobić i wymaga conajmniej paru dni starań i odpowiedniego nakładu pieniężnego; następnie trzeba wynająć bryki — sędzę, że od bandytów żaden furman mniej niż dziesięć rubli za noc nie weźmie, i trzeba go przytem żywić w drodze; wątpliwe jest, żeby przed wyprawą nie okazało się potrzebnem odnowienie zapasu amunicji czy reparacja broni — na poczekaniu zawsze ukraść nie można — znów koszt. Słowem, zdaje mi się, że bez przesady na każdego z uczestników zarobku można liczyć trzydzieści pięć rubli kosztów, czyli zostaje siedmdziesiąt pięć czystego zysku. Ale jest to opłacona tylko sama praca, a co zostaje na ryzyko, możność dostania się do ciężkich robót? — Nic.

I gdyby to jeszcze co noc trafiała się okazyja. Trzysta sześćdziesiąt pięć nocy w roku po siedemdziesiąt pięć rubli — nie są to bająnskie sumy, ale wyżyć można. Wiadomo jednak, że w rzeczywistości jest to absolutnie niemożliwe. Każdy, kto choć trochę jest obeznany ze stosunkami bandyckimi, wie, że przeciętnie więcej, niż na jedną wyprawę tygodniowo liczyć nie można. Przypuśćmy nawet, że da ona sto rubli czystego zysku na głowę. Cóż to jest w naszych czasach czterysta rubli miesięcznie dla człowieka posiadającego rodzinę, a choćby nawet dla kawalera, który chce żyć jako tako, od czasu do czasu zagrać w karty,

wypić z przyjaciółmi parę butelek szampana, ofiarować jakiś drobiazg wybrance serca?

Znów odpowiedź musi wypaść lakonicznie i ponuro: — Nic.

Chcąc być bezstronnym zupełnie, przyznać trzeba, że pod jednym względem bandyci nasi mają stanowczą przewagę nad zagranicznymi kolegami. Mianowicie wolność ich osobista bywa u nas daleko bardziej szanowana, niż zagranicą. Ale z powodu mizernych zarobków przywilej ten drogo muszą opłacać. O ile więc ziemiaństwo nasze nie zechce trzymać po dworach znacznie-szych zapasów gotówki, w niedalekiej już przyszłości możemy być świadkami smutnego „krachu bandytyzmu“ w naszym kraju.

SI VIS PACEM.

Rząd niemiecki postanowił powiększyć armię. Oczywiście, wszystkie inne rządy muszą iść od razu za jego przykładem. Europie przybędzie milion uzbrojonych ludzi, co na pozostałej masie bezbronnych Europejczyków odbije się kilkumiliardowym wydatkiem. Nie można jednak Niemcom tej kosztownej nieco inicjatywy brać za złe. Właściwie mówiąc, ze strony Niemiec jest to tylko akt koleżeńskiej galanterii względem innych państw, boć gdyby Niemcy nie wystąpiły z projektem nowych uzbrojeń, wystąpiłby kto inny. Praktycznie nicby się nie zmieniło. Potrzeba powiększenia uzbrojeń zjawia się peryodycznie co lat parę, jak dwudziesty dziewiąty lutego, i dawno już przestała być jakimś zjawiskiem wyjątkowym i nie-normalnym.

Od dziś za parę lat więc armie europejskie będą znacznie potężniejsze liczebnie, a o ile lepiej uzbrojone, tego przewidzieć nawet w tej chwili niepodobna, zważywszy zadziwiające postępy tech-

niki wojennej. Wszystkie zdobycze wiedzy, jakimi umysł ludzki poszczycić się może, są dziś na usługach armii. Nawet rzecz tak niepraktyczna na pozór, jak poezja, w zastosowaniu do armii, oddaje praktyczne usługi, gdyż melodyjne piosenki, które żołnierze śpiewają podczas marszów, przyczyniają się do wzniecenia w ich duszach umiłowania dla wojennego rzemiosła. Słowem, niema dziś na świecie jednostki, któraby w ten czy ów sposób, czy to osobiście i czynnie, czy pieniądze czy moralnie nie przyczyniała się do udoskonalenia swej armii. Cały zaś ów olbrzymi, nadludzki już poprostu wysiłek umysłowy i pieniężny prowadzony jest w tym celu, aby owe coraz groźniejsze armie mogły się... nie bić.

Na pozór brzmi to paradoksalnie, niemniej przeto jest najoczywistszą prawdą. Gdyby Niemcy chciały się z kimkolwiek bić, to przecież armia, jaką posiadają, najzupełniejby im na to wystarczyła. Ale Niemcy nie chcą się bić i stąd cały kłopot o uzbrojenie. Zabić człowieka można od biedy i ze starej skałkowej rusznicy, ale zastraszyć go już dziś takim przestarzałym gratem niepodobna. Na to trzeba świetnych maszynowych karabinów, strzelających po kilkaset razy na minutę.

Otóż państwa europejskie stosują obecnie względem siebie metodę zastraszania: „Ty masz

milion żołnierzy, a ja mam półtora miliona, chodźno tu, kiedyś taki mądry...” System ten nie jest nowy wcale. Bardzo dawno wynaleźli go Chińczycy. Podczas pierwszych starć z wojskami europejskimi Chińczycy wynosili na wielkich drogach papierowe smoki, aby nimi wroga zastraszyć.

W owych czasach było to niepraktyczne, gdyż metoda zastraszania nie przeniknęła była jeszcze do Europy. Chińczycy cierpieli, bo również źle jest wyprzedzać swój czas, jak i pozostawać za nim w tyle. Obecnie jednak stary wynalazek chiński, świadczący o wielkiej mądrości tego narodu, powinienby być wykonany. Skoro państwa mają się już straszyć nawzajem, to czyż nie lepiej byłoby postarać się o jakieś impresyonujące współczesnego człowieka straszydła? Choćby stare chińskie smoki, widok smoka jest zawsze niemiły. Gdyby wykonanie ich powierzyć najwybitniejszym europejskim ministrom i niezależnym malarzom, to płacąc nawet od sztuki po kilkadziesiąt tysięcy już nie franków, nie rubli, ale funtów szterlingów, zyskałoby się w stosunku do tego, co kosztują armie, nieprawdopodobne oszczędności.

Wątpię jednak, czy te rozsądne słowa trafią do przekonania rządów europejskich. Prawdopodobnie nie, bo niema nic trudniejszego, jak zwalczanie zakorzenionych nałogów. A takim europejskim nałogiem stały się zbrojenia, na które potrzeba

pieniędzy. I pieniędzy potrzeba będzie zawsze, bo choćby ludzi zbrakło na powiększanie armii, to to kwestyi kosztownych reform nie rozstrzygnie, gdyż źródło ich tkwi przedewszystkiem w fatalnej skłonności umysłu ludzkiego do czynienia ciągłych nowych wynalazków. Wyjściem z sytuacji mogłoby być tylko jednoznaczne postanowienie wszystkich rządów europejskich, że każdy nowy wynalazek na polu techniki wojennej bywa natychmiastowo karany śmiercią.

Utarło się przekonanie, że wojna jest kosztowną zabawką — tymczasem praktyka stwierdza, że daleko droższą rzeczą jest pokój. Jeszcze kilkadziesiąt lat utrzymania tego błogosławionego, jak się zwykło mawiać, pokoju, a Europa zmieni się w pustynię dziką, gdzie wycieńczone, głodne, widmowo chude istoty będą żyły w lepiankach, staczając dzikie walki o jakiś ochłap pożywienia. Ale zato potężne armie, zaopatrzone w najcudowniejszą broń, jaką wymarzyć sobie można, będą czuwały nad temi stadami zdziczałych nędzarzy, gwarantując im wszystkie dobrodziejstwa pokoju powszechnego... Dziś jeszcze ludzie rwą się czasem do wojen, nie oceniając tego pokoju należycie. Ale z czasem ocenią go napewno.

GRY PEDAGOGICZNE.

Dawne gry towarzyskie wyszły z mody. Epoka, w której dorastająca młodzież i panny na wydaniu uprzyjemniały sobie wieczory zimowe zabawą „w sekretarza“ i „cenzurowanego“, minęła bezpowrotnie. Wątpię, czy nawet w jakiej zapadłej dziurze na prowincyi znalazłoby się dziś jeszcze amatorów na tego rodzaju rozrywki.

Skoro się raz coś przeżyło — Święty Boże nie pomoże i lamentować nad tem nie warto. Ale swoją drogą przyznać trzeba, że gry owe przy całej ich staroświeckiej naiwności miały tę dobrą stronę, że koncentrowały zabawę w domu. Obecnie coraz bardziej przenosi się ona poza dom. Przez to dom traci na uroku i co za tem idzie — rozluźniają się węzły rodzinne.

To jest fatalne.

W interesach więc ognisk domowych należałoby gry owe wskrzesić. O tem, aby je wskrzesić w dawnej formie, mowy być nie może. Dziesięcioletni uczeń, czy odpowiedniego wieku pen-

syonarka, gdyby im zaproponowano, aby się bawili pod okiem starszych w „Stoję, stoję na gorącym kamieniu“, rozśmieliby się cynicznie w nos i odparli z pogardliwym wzruszeniem ramion:

— Także piła!

Chodzi więc o to, aby gry owe zmodernizować. Przystosowane do warunków współczesnego życia, mogłyby znów wywalczyć sobie prawa obywatelstwa w rodzinnych salonikach. Nie chcę, aby mnie posądzano o obskurantyzm. Rozumiem doskonale potrzeby wrażliwego młodzieńczego umysłu i nie występuję bynajmniej przeciwko kinematografom, skating-ringom, walkom zapaśniczym, a nawet kabaretom kiedy niekiedy, chodzi mi tylko o to, aby i dom miał przy tem swój jeden wieczór na tydzień.

Sądzę, że ludzie dobrej woli intencje moje odczują. Przy okazji więc chcę podszepnąć rodzicom, wychowawcom i pedagogom dwie tak zmodernizowane gry, które mi na myśl przyszły. Trudno samemu pomysły swoje chwalić, ale zdaje mi się, że gry proponowane przezemnie miałyby nietylko rozrywkowe, ale i pedagogiczne znaczenie, czyli, że łączyłyby przyjemne z pożytecznym, co nigdy nie zawadzi.

Pierwsza z nich polega na tem:

Dokoła salonu (czy pokoju dziecinnego) ustawa się krzesła, na których zasiadają wszyscy ucze-

stnicy zabawy. Następnie ktoś rozpoczynający grę mówi głośno pierwsze lepsze nazwisko, byle nie fikcyjne oczywiście. Może to być nazwisko kogoś z krewnych, albo lepiej kogoś z ludzi znanych w mieście: aktorów, literatów, adwokatów i t. d. Sąsiad jego powinien w tej chwili podpowiedzieć numer telefonu. O ile nie zgadnie, daje fant. Wszystko jednak trzeba mówić z pamięci, nie zaglądną do książki. O ile towarzystwo jest już zgrane, trzeba się starać dobierać nazwiska tak, aby numery szły w kolejnym porządku, lub też przypominały ważne daty historyczne.

Zabawa ta, posiadająca doniosłe znaczenie mnemotechniczne, będzie miała i ten doraźny dobry skutek, że oszczędzi dzieciom uciążliwego szperania po książce, gdy będą chciały telefonować do kogoś znajomego w interesie, bądź też, jak to się częściej zdarza, do nieznanego dla rozrywki. Możnaby ją nazwać, przypuścimy, „małym Cedergrenem“ — jest to nazwa miła dla ucha i łatwo wpadająca w pamięć.

Druga zabawa jest również prosta. Towarzystwo znów obsiada pokój dokoła i chłopiec czy dziewczynka, rozpoczynająca grę, opowiada o swoim sąsiedzie, czy też sąsiadce jakąś złośliwą plotkę, posiadającą jednak pewne pozory prawdopodobieństwa. Więc naprzykład, jeśli ten, do kogo się zwraca, jest uczniem pierwszej klasy, nie należy

mówić, że okradł bank w Ameryce, tylko, że ukradł koledze scyzoryk. Zaczepiony w ten sposób powinien momentalnie, bez namysłu odciąć się jeszcze złośliwszą insynuacją. O ile nie potrafi tego uczynić, daje fant. Pedagogiczne znaczenie tej gry jest tak jasne, że nie trzeba nad niem się rozwodzić. To parowanie plotek złośliwymi plotkami wyrobi w dzieciach niezbędny zmysł orientacyjny do podtrzymania stosunków towarzyskich u nas. Dlatego możnaby tę grę poprostu nazwać zabawą w „towarzyskie obcowanie“.

Należy oczywiście modernizować i samo rozgrywanie fantów. Trudno od dzisiejszej młodzieży wymagać, aby ją zajmowało szukanie pierścionka za piecem, czy też deklamowanie nauczonych wierszyków. Natomiast chłopiec czy dziewczynka, którzy będą mieli fant do wykupienia, mogą wykonać jakąś kabaretową piosnkę, odtańczyć coś ładnego, ot choćby trochę już przestarzały, ale właśnie na takie okazyje jeszcze dobry taniec apaszów, czy też, o ile na to rozmiary salonu pozwolą wykonać jakąś trudną figurę na wrotkach.

Nie wątpię, że tak odświeżone gry towarzyskie zyskałyby na nowo gorących zwolenników wśród młodzieży naszej. Z tem przeświadczeniem rzucam projekt, niech go kompetentniejsi odemnie podejmą.

KINEMATOGRAF I MORALNOŚĆ.

Dzięki rozwojowi sztuki kinematograficznej w Warszawie, całe miasto upstrzone jest obecnie sensacyjnymi afiszami. Afisza, który wisi przyklejony na jednym miejscu, od biedy można jeszcze uniknąć, wskutek tego geniusz ludzki zdobył się na afisze, które chodzą, posiłkując się oczywiście w tym celu ludzkiemi nogami. Istota taka, składająca się w połowie z ludzkiego korpusu i przynależnych do niego kończyn, a w połowie z długiej tyczki z ogłoszeniowym plakatem na wierzchu, nazywa się z cudzoziemska „homme sandwich“. Po polsku tłómaczy się to jak najdosłowniej przez „człowiek kanapka“. Ponieważ przemysł ten rozpowszechnia się u nas coraz bardziej, więc niema sensu, abyśmy używali cudzoziemskiego terminu, skoro możemy go zastąpić własnym.

„Człowiek kanapka“ należy do najsmutniejszego typu, jaki wydała ludzkość od początku swego istnienia. W ciągu tygodnia obchodzi ziemię raz dokoła, trzymając się stale brzegu ryn-

sztoków, przyczem nigdy się nie uśmiecha, niema rzeczy tak ciekawej, któraby go zmusiła do odwrócenia głowy, i skutkiem tej zasadniczej ponurości typu, pomimo pozornie rzeczy wesołych, jak kolorowe ubranie i błyszczące guziki, usposabia widokiem swoim do melancholii raczej, niż do wesela...

W pewnej mierze przyczynia się do tego zapewne tekst ogłoszeń, które ludzie ci noszą ponad głowami. Tytuły utworów, grywanych po kinematografach, bywają przeważnie bardzo ponure i połączone z najrozmaitszymi rodzajami gwałtownej śmierci, co na usposobienie ludzi wrażliwych nie może nie pozostawać bez wpływu. Wyobraźmy sobie człowieka, który w najlepszym humorze wychodzi rano z domu i na pierwszym rogu ulicy spotyka na swej drodze dziesięciu drabów, z których każdy ma wypisane nad głową olbrzymimi literami „Na pewną śmierć...“ Idzie dziesięć kroków dalej i znów „Przekleństwo losu“ przypomina mu znikomość wszelkich zabiegów ludzkich i bezsilność woli wobec zarządzeń tajemniczych, ślepych sił. Spluwa trzy razy i, zdenerwowany, zawraca w boczną ulicę, a tu ze ściany szczerzą się do niego czerwone jak krew litery „Dziś tryumf śmierci“. To już może najmniej przesadnego sceptyka wyprowadzić z równowagi. Tembardziej, że kinematograf nie zna litości, ani żadnych cnót nie

uwzględnia. Najniewinniejsze dziewczę znajdzie „Śmierć niewinnej“, a człowiekowi czystemu jak łza, dramat „Pod hańbą niezasłużonego oszczerstwa“ przypomni, jak zawodną rzeczą jest tak zwana dobra opinia.

To ciągle obracanie się w kole złych przecuć może z czasem zmienić najzupełniej psychikę Warszawy. Opowiadano mi niedawno charakterystyczny fakt, za którego autentyczność ręczę.

Jeden z poważniejszych obywateli naszego miasta, człowiek zamożny, ojciec licznej rodziny, poznał, nie wiem już w jaki sposób młode dziewczę, utrzymujące się z pracy rąk własnych. Zdaje mi się, że poprostu zaczepił je na ulicy. I na ojców rodzin przychodzi czasami takie wiosenne omroczenie, sprowadzające ich z drogi cnoty i obowiązku. Dziewczę należało do tego wyjątkowego pokolenia młodzieży, które nie zatraciło szacunku dla siwych włosów. Gdy obywatel, o którym mowa, zaproponował jej schadzki, zgodziła się chętnie, nie domyślając się zapewne w naiwnem dziewczęciem niedoświadczeniu, co się poza schadzki taką kryje. Trzeba dodać, że kochał się w niej też oddawna pewien młody, ubogi, ale dzielny i uczciwy rzemieślnik, który czynił jej wielokrotne propozycje małżeństwa. Lekkomyślna dziewczyna odrzucała je jednak niebacznie. Ojciec rodziny wybrał się na schadzki z jakimś niedrogim, ale efektownym

pierścionkiem, który mógł być w danym razie podarunkiem szatana, czyhającego na zgubę młodych, niewinnych dusz. Na schadzke zazwyczaj chadza się w dobrym humorze, więc i on szedł pełen fantazyi, uczerniwszy wąsy odpowiednio, w czym może był mistyczny symbol czarności jego zamiarów. O tem jednak nie myślał zrazu, przeciwnie bardzo był wesół i melodyjnie usposobiony. Aliści ledwo kilkadziesiąt kroków zrobił, wpada mu w oczy olbrzymi afisz kinematograficzny. Młode dziewczę, wbijające nóż w gardło jakiegoś przyzwoicie ubranego pana, i nad tem napis: „Zemsta uwiedzionej“. Staremu Don-Juanowi nieprzyjemnie się trochę zrobiło, ale splunął i idzie dalej, tylko już był mniej melodyjnie usposobiony, bo przestał gwizdać. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i napotyka procesyę „ludzi kanapek“. Dziesięć wielkich afiszów: „Opuścił żonę i dzieci, śmierć go nie minęła“. Zimno mu się zrobiło. Odwrócił szybko głowę, aby niemiłego napisu uniknąć, i natknął się na słupie ogłoszeniowym na wstrząsającą scenę: „Co czyha w zaułkach wielkiego miasta...“ Schadzka była naznaczona na odludnej ulicy. Popatrzył chwilę na obraz, przedstawiający krwawe znęcanie się dwóch opryszków nad jakimś spokojnym starcem, i bez słowa zawrócił pospiesznie do domu, do żony i dzieci.

Młode dziewczę, utrzymujące się z pracy rąk

własnych, czekało na niego napróżno. I to przedstawiło jej ojców rodziny, szepczących słodkie słówka, a niepunktualnych od pierwszego razu, w tak niekorzystnym świetle, że nabrała obrzydzenia do ludzi nie ze swej sfery i w jakiś czas potem wyszła za mąż za uczciwego rzemieślnika.

Dzięki temu szczęście dwojga rodzin zostało uratowane. To jest jeden przykład... A ileż razy, o czym już ani ja, ani nikt nie wie, owe „memento mori“ afiszów kinematograficznych mogło oddać podobne przysługi moralności. Czyli, że moralny instynkt ludzkości zawsze znajdzie sposób do udzielania przestrogi przed złymi czynami. Jeśli to nie jest słowo kaznodziei, to jest afisz kinematografu.

GENIUSZ.

W literaturze naukowej i pięknej istnieje mnóstwo określeń geniuszu, ale nie o to chodzi mi na razie, lecz o zakorzeniony przesąd, że geniusz jest rzeczą rzadką. Najpowierzchniejsza obserwacja życia wykazuje, że przekonanie to jest absurdem. Niema na świecie chyba nic tak pospolitego, jak genialność, i w życiu codziennem ludzi genialnych napotykamy co krok. Co innego, że nie wszyscy chcą z genialności swej ciągnąć odrazu rozgłos i zyski. Ludzie, uprawiający geniusz, dzielą się, jak sportsmani, na zawodowców i amatorów. Przyznam się, że osobiście jest mi daleko sympatyczniejszy typ skromnego „geniusza-amatora“ od zdemoralizowanego i zarozumiałego przeważnie zawodowca.

Co za rozkosz obcować z takim człowiekiem! Przed paru dniami właśnie spotkało mię to szczęście w kawiarni. Co prawda, nie zetknąłem się z nim osobiście, ale miałem sposobność przysłu-

chiwania się temu, co mówił. W stosunku do geniuszów, to wystarcza.

Było tak, że w sąsiedztwie stolika, który sam zajmowałem, zasiadło paru mężczyzn, niczem nie wyróżniających się zresztą od zwykłych gości kawiarnianych. Ponieważ siedzieliśmy bardzo blisko siebie, więc mimowoli dolatywały mi urywki ich rozmowy. Mówili o Austrii, co było naturalne, bo o czem innem można mówić obecnie w kawiarniach, jak nie o Austrii.

Nie wiem czemu, ale jeden z tych panów od razu zwrócił moją uwagę. Było o tem dziwniejsze, że reprezentował on w całej możliwie najwyższej doskonałości typ człowieka, niczem nie zwracającego uwagi. Miał wygląd skromnie elegancki i normalnie chorobliwy, łysinę taką, jaką człowiek w jego wieku mieć powinien, ani mniejszą ani większą, mogłem go minąć tysiąc razy na ulicy i ani razu bym się za nim nie obejrzał, tembardziej nie domyślił, że człowiek, obok którego przeszedłem, był jednym z najprzenikliwszych geniuszy naszego stulecia.

Z początku mówił przyciszonym głosem, tak, że nie mogłem go słyszeć. Nagle, ożywiając się, huknął pięścią w stół, aż szklanki zabrzęczały, i krzyknął na całą salę:

— Austria straciła jedyną sposobność do wojny,

jaką miała, i to zdecydowało o jej losie. Za pięćdziesiąt lat Austrii nie będzie.

Zerwał się z krzesła, beznadziejnym gestem rozkrzyżował ręce i usiadł napowrót. Wszystko to odbyło się tak szybko i sprawnie, jakby za naciśnięciem sprężyny.

W pierwszej chwili uśmiechnąłem się niedowierzająco. Łatwo jest przepowiadać, chodzi tylko o to, aby przepowiednia się sprawdziła. Widocznie towarzysze niepozornego pana, byli tego samego zdania, gdyż zaczęli mu oponować. Wywiązała się ożywiona dyskusja, której słuchałem z rosnącym zaciekawieniem. I dowiedziałem się po chwili, że człowiek, skazujący na zagładę Austryę, był ni mniej ni więcej tylko tym samym człowiekiem, który przed pięciu laty w tej samej kawiarni, przy tym samym stoliku, aczkolwiek w innem towarzystwie, przepowiedział co do joty los Turcyi.

Odrzucałem spojrzałem na niego innemi oczami (dla ścisłości zaznaczam, że były to jednak wciąż te same, moje własne oczy). Skoro wszystkie jego dawniejsze propozycje tak się ściśle posprawdzały, od razu nadawało to inną wagę nowej. I gdy po paru minutach ożywionej argumentacji znów powtórzył z naciskiem:

— Za pięćdziesiąt lat Austrii nie będzie — szczerze zrobiło mi się Austrii żal.

— Mój Boże! — myślałem — przecież gdyby

człowiek ten był dopuszczony do steru rządów, nie pozwoliłby przepuścić Austrii tej jedynej okazji do wojny i państwo byłoby dzięki temu uratowane. Przyszło mi na myśl, że poprostu obowiązek humanitarny nakazałby uczynić wszystko możliwe, aby jakoś skomunikować go z Austryą. Idąc za tym popędem uczucia i nie zastanawiając się nawet na razie nad tem, czy moja interwencya może być na coś przydatną, zbliżyłem się do niego z ukłonem.

— Przepraszam pana... — zacząłem nieśmiało. Spojrzał na mnie niechętnie.

— Czem mogę panu służyć?

— Pragnąłbym wiedzieć, jak się pan nazywa.

— A dyabli panu do tego? — przerwał mi już zgoła opryskliwie.

— Zechce mię pan wysłuchać. Mam znajomego, który posiada pewne stosunki w austryackich sferach ministeryalnych. Otóż pańskie genialne wywody...

Złe się z tą genialnością wybrałem. Niepozorny człowieczek zerwał się z krzesła, poczerwieniał i jak nie huknie na mnie:

— Ja tu kpić z siebie nie pozwolę!...

Nie miałem czasu wytłómaczyć mu nawet, że w moich słowach nie było ani cienia ironii, bo towarzysze jego popowstawali z krzesel, z tak

wyraźnie niezyczliwemi minami, że uznałem za najodpowiedniejsze usunąć im się szybko z przed oczu.

Ale na ulicy ogarnęła mnie melancholia.

— Ot do czego prowadzi przesadna skromność. I ten pan i Austrya, podawszy sobie ręce, mogli byli być nawzajem bardzo szczęśliwi. A najtragiczniejsze jest to, że Austrya w chwili swej agonii nie będzie nawet wiedziała, że w marcu r. 1913, w jednej z kawiarni warszawskich, siedział na pozór niepokazny pan, który mógł ją głupstwem, bagatelką, jedną wojną uratować.

RÓŻOWE PERSPEKTYWY.

Kijów jest jednym z najstarszych miast słowiańskich. Skoro się więc myśli o Kijowie, mimowoli nasuwa się pytanie, co to jest słowiańszczyzna.

Przed paru miesiącami, w najgorętszym okresie wojny bałkańskiej, czytałem w *Kuryerze Warszawskim* wywiad z pewnym oficerem, Serbem, który się leczył z otrzymanych na wojnie ran w jakimś sanatorium wiedeńskim. Oficer ten mówił wiele pochlebnych rzeczy o Bułgarach; zarzucał im tylko jedno, że właściwie nie są Słowianami. Podczas pierwszej konferencji pokojowej w Londynie, delegat bułgarski mówił dużo pochlebnych rzeczy o Czarnogórcach i zarzucał im tylko jedno, że właściwie nie są Słowianami. U nas często daje się słyszeć zdanie, że Czesi są to mówiący po czesku Niemcy, ale nic słowiańskiego w sobie nie mają. No, a że my nie jesteśmy Słowianami, to już rzecz powszechnie wiadoma. Wystarczy zapytać o to pierwszego lepszego Czecha czy Rosyana...

Możnaby więc ustanowić regułę taką: Słowiańszczyzna składa się z szeregu szczepów, z których każdy nic słowiańskiego w sobie nie ma. Wobec tego wszystkie one dążą do wzajemnego zbliżenia się, porozumienia i miłości.

Opiekunką słowiańszczyzny jest Rosya. Z tego powodu, na kolejach rosyjskich, celem ułatwienia Słowianom wzajemnego porozumiewania się, poznawania i komunikowania wprowadzono system tak zwanej „jazdy na gapę“. Jest on bardzo praktyczny, ponieważ nie wymaga najmniejszego wydatku na bilet. Po prostu wsiada się do wagonu i jedzie, dopóki nie wyrzucą. Ale potem wypocząwszy, można podróż kontynuować dalej. Według danych urzędowych, w ciągu roku ubiegłego na kolejach rosyjskich korzystało z tego przywileju milion pasażerów. Co za imponujący ruch turystyczny! I co za korzyści stąd dla całej słowiańszczyzny, a zwłaszcza dla miasta takiego, jak Kijów, które jest „kolebką słowiańszczyzny“ i mieści w swych murach Polaków, Rosyan i Rusinów. Nie należy wątpić, że zwierzchność, wprowadzając bilety na gapę (zwykle, powrotne i okrężne), miała na celu rozwój idei słowiańskiej i przez to w tych środowiskach, gdzie się różnorodne elementy słowiańskie spotykają, ułatwienie im zgodnego współżycia.

Z tego względu Kijowianie powinni z wielką radością powitać projekt nowego prawa prasowego.

Jako wynalazek jest on praktyczny. Wynalazki dzielą się bowiem, jak wiadomo, na genialne i praktyczne. Do kategorii wynalazków genialnych należy n. p. telegraf bez drutu, natomiast wynalazkiem praktycznym są guziki, których nie trzeba przyszywać.

Nowy projekt prawa prasowego jest wynalazkiem praktycznym, ponieważ z telegrafem bez drutu nie ma nic wspólnego, a podobnie, jak wieczne pióra, zapalniczki automatyczne, maszynki do golenia, dążą do uproszczenia życia.

Jedną z najważniejszych rzeczy dla ludzi piszących jest, jak wiadomo, możliwość skupienia. Aby im to udostępnić, rząd ustanowił instytucję nową. Dawniej przy cenzurze prewencyjnej było to prawie niemożliwe, gdyż rzeczy nielojalne nie wydostawały się na światło Boże. Z tego powodu cenzurę prewencyjną zniesiono. Literaci w całym państwie odetchnęli. Mieli już zagwarantowaną możliwość odsiadania kozy, za to, co pisali, a więc ciszy, skupienia, możliwości koncentrowania się, obmyślenia nowych pomysłów i t. d. Ale postęp ludzki nie ma granic, więc i to udoskonalono. Według projektu nowego prawa prasowego, można będzie siedzieć za artykuł, przeznaczony do druku, a nie wydrukowany. Ponieważ nowy projekt dowcipnie kombinuje dawne korzyści cenzury prewencyjnej z wypoczynkowem dobrodziejstwem kar.

Od niego już krok tylko do kozy za pomysły nie wyszłe jeszcze z głowy. Gdy się społeczeństwo do nowego obyczaju wdroży, jak do jazdy na gapę, literaci sami się zaczną do kozy zgłaszać.

— Panie naczelniku, przyszedł mi nielojalny pomysł do głowy.

Pan naczelnik uśmiechnie się łaskawie:

— Dobrze. Posiedź pan.

Nie potrzeba chyba tłumaczyć, jak to kojąco wpłynie na literaturę. Wypoczęci i pogodnie usposobieni pisarze z tym większym zapalem będą propagowali idee pokoju, miłości słowiańskiej, zgodnego współżycia. Kijowowi, kolebce słowiańszczyzny, w którego murach żyją Polacy, Rosyianie i Rusini, wypadnie to tylko na dobre.

INTERWENCYA DYPLOMATYCZNA.

Mogę podzielić się z czytelnikami radosną nowiną:

Pokój na Bałkanach uratowany.

Bułgarzy i Serbowie nie wyrzną się już nawzajem doszczętnie, jak to lekkomyślnie przed dwoma tygodniami przepowiadałem. Będą się po dawnemu kochali. A co najważniejsze — stanie się to za naszą sprawą.

Nad zapobieżeniem nowej katastrofie wojennej na Bałkanach pracowały usilnie rządy wielkich mocarstw europejskich. Ale trzeba prawdę powiedzieć, że nie bardzo udawała się im ta praca. Mimo wszelkie wysiłki premierów i ambasadorów sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Dwa bratnie narody były tak na siebie zaciętrzewione, że zdawało się: Święty Boże nie pomoże — muszą wziąć się za łby.

Łatwo zrozumieć, jakaby stąd wynikła klęska dla całej Europy i słowiańszczyzny.

Otóż, aby tej klęsce zapobiedz, grono sports-

menów warszawskich wpadło na myśl bardzo piękną: postanowili mianowicie przyjść trójporozumieniu z pomocą.

I machnęli dwa telegramy: jeden do Sofii, drugi do Belgradu. Jednobrzmiący tekst tych telegramów wydrukował paryski *Matin*, siłą faktu od dnia 10 czerwca organ urzędowy nieurzędowej dyplomacji polskiej.

Pomijam ofiarę materyalną (jak się z każdego kalendarzyka przekonać można, za telegramy do Serbii i Bułgarii płaci się po 14 kop. od wyrazu). Oczywiście, nikt się nie będzie liczył z pieniędzmi, skoro w grę wchodzi najżywotniejsze interesy całego półwyspu Bałkańskiego. Zresztą zawsze wydać warto, gdy można liczyć na pomyslny rezultat. A odezwa naszych dyplomatów na to liczyć może. Jest zredagowana wzruszająco i mocno. Z głazu musiałyby być chyba człowiek, aby się nie wzruszyć.

Autorowie powołują się między innymi na przykład Polski. Nie dość jest uczynić coś, trzeba umieć jeszcze żyć w zgodzie... Przeszłość nasza przydała nam się na to przynajmniej, że możemy nią dziś straszyć inne narody.

Łatwo sobie wyobrazić scenę, jaka się rozegrała w Belgradzie. Pierwszy otrzymał telegram p. Pasicz. Przeczytawszy go, popędził galopem do konaku.

— Królu Piotrze, królu Piotrze!

— Co, sługo wierny?

— Z Warszawy telegrafują, żeby się nie bić.

— Hm...

— Cóż my teraz zrobimy?

— Ano trudno... Skoro nam taki ładny telegram przysłali z Warszawy, to już po prostu nie wypadałoby się bić teraz. Musimy się z Bułgarami pogodzić.

Być może, że dla zachowania pozorów Bułgary i Serbowie będą się jeszcze jakiś czas boczyli wzajemnie. Może się nawet pobiją zlekka, w każdym razie nie będzie to już nic groźnego... Możemy być pewni, że „telegram warszawski“ (sądzę, że pod taką nazwą powinien on przejść do historii) zrobi swoje. Idea bratniej jedności słowiańskiej zatryumfuje z powrotem na Bałkanach.

W wielkich wydarzeniach dziejowych poza wysiłkami ludzkimi pewnego rodzaju rolę gra też zawsze przypadek. W danym razie szczęśliwym wypadkiem było to, że zatarg bułgarsko-serbski zbiegł się z sezonem wyścigów konnych w Warszawie. Zielony karnawał, który ściąga na grunt warszawski wykwintne sfery naszego towarzystwa, przyczynił się w wysokim stopniu do umożliwienia akcji dyplomatycznej.

Jakże ministrowie państw trójporozumienia powinni być za nią Warszawie wdzięczni!

Prasa nasza oczywiście zlekceważyła nieco ten historyczny dokument. Zwykła zaściankowa zawiść. A przecież są tam napomnienia cenne nie tylko dla Serbów i Bułgarów, ale i dla nas.

Aby zachęcić pobratymców słowiańskich do zgody, autorowie naszego manifestu przypominają np., że „łączność ich daje siłę im i nam“ (*Votre union fait votre force et la nôtre*). Wielkiej tej prawdy społeczeństwo nasze nie ocenia jeszcze dostatecznie. A przecież bez żadnych już z góry powziętych sympatyj wystarcza uważnie obserwować życie, aby się przekonać, że żywiołowy wybuch solidarności słowiańskiej na Bałkanach odbił się na stosunkach naszych bardzo korzystnie. Położenie polityczne bezwzględnie zmieniło się na lepsze. O fakty chodzi? Bardzo łatwo je zacytować. No więc w ostatnich czasach uzyskaliśmy... choćby... choćby... choćby —

Otwarcie komunikacji kołowej na trzecim moście.

SZÓSTY ZMYŚL.

Bawił przejazdem w Warszawie profesor Roose, Amerykanin, obdarzony szóstym zmysłem, to znaczy umiejętnością czytania na „niewidzianego“. W praktyce tak się to odbywa, że na szereg pytań pisze się odpowiedź na kartkach i profesor odczytuje je następnie, nie patrząc. Liczne doświadczenia wykazały, że o jakiegokolwiek szarlataneryi nie może tu być mowy. Fenomenalne zjawisko można wytłómaczyć tylko zapomocą „szóstego zmysłu“, co, jak każdy przyzna, nie jest zbyt wyczerpującym wyjaśnieniem. — Ale w braku lepszego musimy się nim na razie zadowolnić.

Ludzi takich, jak profesor Roose nie wielu jest na świecie. I trzeba przyznać, że jest to szczęście dla ludzkości. Profesor Roose korzysta ze swego daru, produkując się publicznie, wyobraźmy sobie jednak, że ktoś obdarzony takim samem fenomenalnem uzdolnieniem chciałby je spożytkować na swój wyłączny, prywatny użytek. Jakby się przedstawiała karyera takiego człowieka?

Mogę mówić o tem z pewnego rodzaju kompetencyą, gdyż miałem w szkołach kolegę, który był obdarzony od przyrody „szóstym zmysłem“ i obracał go wyłącznie na swój prywatny użytek. Oczywiście, nikt z nas nie domyślał się nawet, że towarzysz nasz (przez dyskrecyę nie będę wymieniał jego nazwiska) posiadał taki fenomenalny dar. Obecnie dopiero, gdym się dowiedział o ciekawem doświadczeniu amerykańskiego odgadywacza pisma, zrozumiałem, w czem tkwiła tajemnica powodzeń życiowych mego kolegi.

W szkołach uważaliśmy go za wyjątkowo zdolnego chłopca, ponieważ wiedzieliśmy, że się nigdy lekcyi nie uczył, wszystkie podręczniki sprzedawał antykwaryuszom ze Ś-to Krzyskiej ulicy, zaraz na początku roku szkolnego, a mimo to recytował to, co było zadane bez zająknięcia, słowo w słowo, jak w książce. Nauczycieli zastanawiała czasem, że w ćwiczeniach robił te same błędy, co pierwszy uczeń. Siedzieli jednak tak daleko od siebie, że o ściąganiu, w zwykłym, szkolnem tego słowa znaczeniu mowy być nie mogło, to zaś, że może być ściąganie telepatyczne, nikomu, począwszy od najmądrzejszego nauczyciela, a kończąc na najgłępszym uczniu, nie przychodziło na myśl i dziwny objaw tłómaczyliśmy sobie tem, że ponieważ on i pierwszy uczeń byli jednakowo mą-

drzy, więc popełniali jednakowe błędy. Raz, co prawda, zdarzył się fakt, który mógł być kolegę naszego zdradzić, zbyt dalecy jednak byliśmy wszyscy od telepatycznych hipotez, aby zwrócić na to uwagę. Mianowicie, odpowiadając z geografii, zaczął: Barcelona jest miastem, które... — zawahał się chwilę i ciągnął równym, spokojnym głosem: „jeżeli mi pan w ciągu tygodnia nie zwróci owych pięćdziesięciu rubli, to będę zmuszony...“ Dostał wówczas pałkę, jedyną zresztą w ciągu całej swej karyery gimnazyalnej. Dziś rozumiem, że zasłużył na nią, bo przez karygodne roztargnienie zamiast czytać z książki, która leżała przed nauczycielem na katedrze, zajrzał do jakiegoś prywatnego listu, który pedagog nasz miał w pugilaresie.

Tłómaczyliśmy sobie wówczas ten fakt chwilowym bzikiem, bośmy wogóle uważali owego kolegę za narwanego trochę. Opinia ta została mu i po skończeniu szkoły. Zdarzało nam się często spotykać go wystającego obok skrzynek pocztowych z wyrazem dziwnego skupienia na twarzy. W takich chwilach nie lubił, aby się do niego zwracano i odpowiadał na pytanie opryskliwie, jak człowiek, któremu przeszkadzają w jakiej ważnej pracy. Komentując ten fakt, szczerze ubolewaliśmy nad losem naszego kolegi.

— On już naprawdę...

(Tu następował symboliczny gest, polegający na zakresleniu małego kółka na czole).

— Szkoda go, tak się zapowiadał...

Śmiać mi się chce, gdy uprzytamniam sobie w tej chwili, jak naiwne były ubolewania. Kolega nasz wystawał przy skrzynkach pocztowych, po prostu, aby odczytywać korespondencję. Dzięki temu mógł przejmować wiele doskonałych pomysłów i nieraz uprzedzać ludzi w bardzo zyskownych interesach. Pozwoliło mu to w krótkim czasie dojść do znacznego majątku i to zupełnie uczciwą i legalną drogą. Dziś jest człowiekiem bogatym.

Przed paru dniami spotkałem go w kawiarni. Siedział przy stoliku z charakterystycznym wyrazem skupienia na twarzy. Muszę dodać, że kawiarnia, w której spotkaliśmy się, znajduje się vis-à-vis największego naszego dziennika. Otóż, aczkolwiek wogóle nie posiadam daru odgadywania myśli, jednak i na mnie przyszedł moment jasnowidzenia, byłem co prawda, pod wrażeniem świeżo przeczytanych wiadomości o doświadczeniach profesora Roose.

Zbliżyłem się do kolegi i patrząc mu przenikliwie w oczy, odezwałem się z naciskiem:

— Wiem, co ty robisz.

— No? — odparł, spoglądając na mnie z pogodnym uśmiechem.

— Czytasz ostatnie „telegramy“... które tam

(wskazałem palcem na okno redakcyi) w tej chwili drukują...

— Zgadłeś — odparł. — Rzeczywiście posiadam dar telepatycznego czytania, ale uważam, że lepiej jest to przeznaczać na swój własny użytek, niż produkować się z tem przed ludźmi. Korzyści znacznie większe, a nie wytykają cię palcem na każdym kroku jako fenomen. Czy wiesz na przykład, że ja odkąd żyję, ani grosza jeszcze na prenumeratę pism nie wydałem. W pobliżu każdej redakcyi jest jakaś kawiarnia. Przychodzę, siadam i czytam na odległość. Mam nie tylko wiadomości za darmo, ale i znacznie wcześniej, niż inni, bo czytam pisma, gdy jeszcze są na maszynie.

Ten jeden prosty przykład przekonał mnie, jak wielkie społeczne niebezpieczeństwo tkwi w telepatyi. Szczęściem, że tacy ludzie, jak profesor Roose należą do rzadkich fenomenów. Gdyby zdolności tego rodzaju były powszechniejsze, to u nas zwłaszcza, gdzie czytelnictwo i tak jest słabo rozwinięte, byłoby to już ostateczną, kompletną ruiną dla prasy.

PIES POLICYJNY.

Na temat zadziwiającej zmyślności psów policyjnych zapisano już całe tomy. Wszystko to jest jednak niczem wobec faktu, jaki mi opowiadano niedawno i za którego autentyczność mogę ręczyć.

Opowiadał mi to przyjaciel mój, p. Z., starszy człowiek, bardzo poważny właściciel jednej z większych firm przemysłowych w naszym mieście. Dla charakterystyki mego przyjaciela dodam, że gdybym podczas największej ulewy zapytał go, jaka jest pogoda, a on mi odparł, że świeci słońce, tobym uwierzył, że świeci słońce i że deszcz jest mojem urojeniem.

Otóż, z powodu sprawy teresińskiej, coś się zgadało o psach policyjnych. Przyznam się, że wszystkie opowieści o owych psach przyjmowałem nader sceptycznie. Powiedziałem to memu przyjacielowi. On westchnął smętnie.

— Tak — odparł — i ja nie wierzyłem prze-
Do góry nogami.

różnym tym opowieściom, dopóki nie przekonałem się na własnej skórze.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Jakto pan... A cóż pan miał z psami policyjnymi do czynienia?

— Miałem.

— Lola... Wiesz pan, kto to jest Lola? — dodał po chwili.

Skinąłem potakująco głową. Lola była, jeśli tak można powiedzieć, skazą na skądinąd bardzo przykładnej zresztą cnotcie mego przyjaciela. Szczęściem dla tej cnoty Lola nie mieszkała stale w Warszawie. Była artystką jednej ze scen prowincjonalnych i kiedy niekiedy tylko zjawiała się w naszym mieście. Na każdego człowieka przychodzi chwile słabości. Gdy Lola zjawiała się w Warszawie, chwile takie przychodziły i na pana Z.

— Wyobraź więc pan sobie — ciągnął przyciszone głosem (rozmawialiśmy w kawiarni) — że Lola w zeszłym tygodniu przyjechała do Warszawy. Dostałem od niej kartkę (ze względu na stosunki domowe mego przyjaciela, Lola podpisywała się na listach „Silberstein“ i używała ko-pert z nagłówkiem: „Kancelarya adwokata przysięgłego S. Silbersteina“), no i, jak zwykle, mieliśmy spotkać się wieczorem. Z jednej rzeczy byłem niezadowolony. Lola zatrzymywała się zawsze w hotelu, a tym razem stanęła u jakichś kre-

wnych. No, ale, myślę ostatecznie, co mnie to może obchodzić? Ci krewni i tak muszą wiedzieć o naszych stosunkach od Loli...

Wymówiłem się w domu jakąś sesją i poszedłem. Bardzo miłe spędziliśmy cały wieczór. Nazajutrz rano, wychodząc z domu do kantoru, sięgam do kieszeni i znajduję co? — batystową chusteczkę Loli. Jakim cudem chusteczka ta znalazła się u mnie w kieszeni w palcie, tego do tej pory nie wiem.

Ale niech pan słucha, na co mnie to naraziło.

Idę, jak zwykle, Marszałkowską do Świętokrzyskiej, Świętokrzyską do Mazowieckiej... Był ładny dzień, głowa mię trochę bolała, ale powietrze dobrze mi robiło. Dlatego się nie spieszyłem. Na rogu Mazowieckiej spotykam jakiegoś faceta, który prowadzi psa na smyczy. Pies był bardzo ładny. Wie pan, że ja wogóle psy lubię, więc spojrzałem na niego z zaciekawieniem. I machinalnie, sam nie wiem dlaczego, wyjąłem z kieszeni chusteczkę Loli...

A tu pies, jak się nie rzuci na mnie! ale to, panie, jak rozszalały...

Ja z góry ostro na faceta:

— Co to za porządki? Jak pan śmiesz takie wściekle psy w biały dzień po mieście oprowadzać?

A on na mnie jeszcze ostrzej:

— To jest pies policyjny.

— Tem bardziej nie powinien robić hałasów na ulicy...

— On nie robi hałasów.

— Ładnie nie robi hałasów... Szczeka, wyje, piszczy, aż się cała ulica ogląda.

— To jest jego obowiązek.

Oburzyła mię ta bezczelność.

— Każę pana zaarrestować.

— No nie, to już pana zaarrestuję — odpowiada mi na to facet z ironicznym uśmiechem.

— Jakiem prawem?

— Żeby pan miał zupełnie czyste sumienie, toby ten pies na pana nie szczekał. Proszę do cyrkułu.

Ludzie zaczęli się dookoła nas gromadzić; uważałem, że najlepiej będzie iść do cyrkułu i tam sprawę wyjaśnić. Ale co pan powie? Z chwilą, gdy schowałem chusteczkę Loli do kieszeni, pies od razu przestał szczekać. Przynajmniej spokojnie moglibyśmy iść.

Komisarza znam osobiście, bo czasami przychodzi do mnie do kantoru. Mówię mu:

— Panie, cóż to, za zbrodniarza mnie macie?

— No — odpowiada — trudno... Jak ten pies na pana szczeka, to to jest poszlaka.

A pies milczy i patrzy na mnie, dość łagodnie. Za ten fałsz byłbym utłukł bestyę.

— Więc cóż ze mną zrobicie?

— Trzeba będzie przeprowadzić śledztwo.

Nie wiem, jakbym się był z tej sprawy wykręcił. Na szczęście, machinalnie, ze zdenerwowania, znów wyciągnąłem chusteczkę Loli z kieszeni. Pies znów rzucił się na mnie, jak oszalały...

I wiesz pan, co się okazało? Lola nie była zameldowana w domu. Nie miała paszportu i dlatego nie zajechała do hotelu, tylko do krewnych.

Ale co najdziwniejsze — zakończył pan Z. — to, że był to pies francuski, sprowadzony z Paryża... Patrz pan, jak to zwierzę przystosowało się od razu do naszych stosunków...

SZEKSPIROWSKI KRAJ.

Przed kilku dniami odbywałem wycieczkę automobilową wzdłuż prawego brzegu Wisły. O parę wiorst za Młocinami wjeżdża się w kraj dziki i zlekka górzysty, pokryty rzadkim sosnowym lasem. Przez pewien czas jechaliśmy w absolutnej pustce. Gdyby nie kamienie, umiejętnie porozkładane na drodze i tą symetrią układu świadczące, że zasadzała je na automobil świadomie ręka ludzka, możnaby było przypuścić, że się jest w okolicy niezaludnionej.

Nagle coś białego błysnęło nam przed oczyma. Tablica i napis: „Nowa Warszawa“. Za nią druga, trzecia, cały rząd tablic.

Za czasów Szekspira w ten sposób malowano dekoracje teatralne. Były to czasy, w których żaden Frycz by się nie pożywił, ale skądinąd dobre czasy. Zamiast się wysilać na kosztowne malowanie lasu, pisało się na tablicy: „las“, a resztę dorabiała fantazyja publiczności.

Szekspirowski ów obyczaj, przez długie lata

następnie zaniedbany, wskrzeszono obecnie pod Warszawą. Na gruntach, parcelowanych pod przyszłe miasta-ogrody, zasadza się tyczki z tablicami, na których troskliwa dłoń z wyciągniętym, wskazującym palcem zwraca uwagę na jakiś obiecujący napis. Zdawałoby się na pozór, że to, jak okiem sięgnąć, gołe pole, ale proszę się przybliżyć i rzucić okiem na napisy na tablicach. Tu „Park publiczny“, o kilkadziesiąt kroków dalej „Przystanek kolei elektrycznej“, jeszcze dalej „Kasyno“, „Teatr“... Bóg wie, czego tam niema.

Przymknąwszy oczy, przy odrobinie fantazyi można sobie wyobrazić kwitnące miasto-ogród i to takie, jakiego napróżno po zagranicach byśmy szukali. Każdego stać na odrobinę fantazyi i każdy może przymknąć oczy. Czegoż więcej potrzeba?

Sposób ów budowania miast-ogrodów ożywia niesłychanie melancholijną pustkę mazowieckich równin, nie mówiąc już o tem, że dla krajowego malarstwa szyldów i znaków otwierają się przez to nowe a rozległe horyzonty. Przedewszystkiem jednak — i w tem tkwi największe jego znaczenie — uwydatnia szekspirowski charakter naszego życia.

Mówiąc „szekspirowski“, mam na myśli umiejętność przetwarzania banalnej rzeczywistości na wstrząsające grozą poematy. Szekspir brał kiep-

skie włoskie komedye i tworzył z nich arcydzieła. My mamy w sobie coś z Szekspira. Z najpospolitszej, najbardziej małomieszczańskiej codzienności potrafimy zrobić poezję.

I to poezję w wielkim stylu.

Czyż może być coś bardziej mieszczańskiego, niż „miasto-ogród“, ideał demokratycznych dobrokiewiczów? Ta przyroda wymierzona, pokratkowana, opasana kolczastym drutem, przystosowana do potrzeb „pracującej ludności miejskiej“. Mania miast-ogrodów została nam narzucona przez zagranicę. We Francyi każdy robotnik marzy o tem, aby na starość zostać posiadaczem willi z kawałkiem ogródka. I owe osady podmiejskie są gniazdami wszelkich najpospolitszych nie cnót, ale cnótek. Może się tam wyrabiać drobna oszczędność, wstrzeźliwość i pracowitość, ale to pewna, że duch poświęcenia i rycerstwa się nie wykształci.

U nas przeciwnie. Osady podmiejskie są przede wszystkim szkołą rycerstwa i poświęcenia. Człowiek, który się „buduje“, co noc może być zarzęnięty jak baran we własnej willi. „Domek pod miastem“ nie ma w sobie nic z banalnej francuskiej sielankowości. Jeśli co przypomina, to raczej chaty pierwszych osadników amerykańskich. Każdej chwili trzeba być na pogotowiu.

Analogia z Ameryką — oczywiście z tą dawną

Ameryką z czasów powieści o „dzikich“, któremi zaczytywaliśmy się w dzieciństwie — jest tem większa, że i wrogowie, czyhający na życie osadników, są jeśli nie zupełnie „czerwonoskórzy“, to w każdym razie mocno zbliżeni do tego ideału. Osadnicy zaś już, jak ci dawni, prawdziwi osadnicy amerykańscy, mogą liczyć tylko na własne siły i na „Opatrzność“.

Albo taki przykład.

Czy może być coś bardziej prozaiczniejszego, niż niedzielny pociąg, odwożący wycieczkowiczów świątecznych do miasta? Zdaje się, że jest to zaprzeczeniem wszelkiej poezji. Na całym świecie — tak, ale nie u nas. Miałem sposobność przed paru dniami przyjrzeć się takiemu pociągowi z daleka. Ludzie jechali na stopniach, na dachach, zwisali z okien, oplatali się dookoła kół. W rezultacie tego, co jest brzydkie, to jest pociągu, wcale nie było widać. Tworzył się jakiś fantastyczny, piekielny korowód ciał. Więc nawet taką rzecz, jak pociąg, żelazny pociąg z kołami i lokomotywą, potrafiliśmy przetworzyć na pełen poezji obraz.

Wiele jest rzeczy, których może moglibyśmy innym narodom pozazdrościć. Ale tego daru przetwarzania najbanalniejszej powszedniości życiowej na poezję stanowczo wszystkie inne narody śmiało nam mogą pozazdrościć.

GRZECZNOŚĆ.

Często daje się u nas słyszeć narzekanie na brak grzeczności. Może jest w tem trochę racji, ale zapewne więcej przesady. Ludzie, którzy przy każdej okazji lubią się powoływać na autorytet „zagranicy“ — jest to specjalnie nasza mania — utrzymują np., że obsługa po sklepach zagranicą jest stokroć razy uprzejmiejsza, niż u nas. Na to — zgoda. Więcej nawet powiem. Zagranicą, o ile ktoś nie zna miasta i zwróci się po informację do pierwszego lepszego przechodnia, może być pewnym grzecznej i wyczerpującej odpowiedzi, podczas gdy u nas człowiek w tem samym położeniu na zapytanie:

— Przepraszam pana, gdzie jest ulica Marszałkowska?

Z łatwością może usłyszeć:

— Idź pan do dyabła z pańską ulicą Marszałkowską. Cóż to ja jestem od pokazywania ulic, czy co?

Sądzę jednak, że pesymistyczne uogólnianie

tych szczegółów i wnioskuje stąd, że naogół jesteśmy mniej grzeczni, niż inne narody, nie ma racyi. O jednym nie należy zapominać: że ten sam Francuz czy Niemiec, który nam będzie z zaskakującą uprzejmością zawijał jakiś drobiazg w sklepie, albo tłómaczył przez kwadrans, kreśląc topograficzny plan laską na asfalcie, jak się idzie z „Unter den Linden“ na „Friedrichstrasse“, w pięć minut potem, w jakiejś innej sytuacji życiowej okaże się od razu najpospolitszym gburą, nie mającym pojęcia o podstawowych zasadach dobrego wychowania. Pochodzi to stąd, że każdy naród posiada pewne charakterystyczne, dominujące cechy grzeczności. Francuz będzie grzeczny dla kobiet, Niemiec dla policyjanta. Jeśli Niemcy z taką uprzejmością udzielają informacji na ulicach, to po prostu dlatego, że pochlebia im to, jako funkcyja, bądź co bądź, do pewnego stopnia policyjna.

Nasi domorośli krytycy niegrzeczności swojej nie biorą tych indywidualnych różnic na uwagę. A przecież życie na każdym kroku stwarza sytuacje, w których Polacy nie tylko dorównują, ale nawet znacznie przewyższają pod względem grzeczności Francuzów, Niemców, Anglików i t. d. Być może, że francuski „pomocnik handlowy“ będzie grzeczniejszy od swego polskiego kolegi w sklepie, ale spróbujmy poczęsto-

wać go papierosem i podać mu zapaloną zapałkę. Co zrobi? Weźmie zapałkę i zapali papierosa.

O ileż grzeczniej odbywa się ta czynność w Polsce.

Obserwowałem ją przed dwoma dniami w jednym z naszych parków publicznych. Usiadło obok mnie na ławce dwóch wytwornych panów. Jeden był łysy (zdradzał to mały, błyszczący krążek z tyłu głowy pod kapeluszem, wyglądający z daleka niby marka ochronna na czaszce), drugi posiadał piękną, bujną brodę.

Po kilku minutach obojętnej rozmowy pan z brodą wyjął z bocznej kieszeni marynarki srebrną papierośnicę, inkrustowaną najrozmaitszymi monogramami, podpisami, herbami (ważyło to razem z pięć funtów) i podsunął ją towarzyszowi.

Poczem wywiązał się między nimi następujący dyalog:

Pan z brodą: Pozwoli pan...

Pan łysy: Ślicznie dziękuję (bierze papierosa).

Pan z brodą: Ale ognia nie mam.

Pan łysy: W tej chwili panu służę (wyjmuje z kieszeni paczkę zapałek, zapala jedną i, starannie osłaniając ją dłonią, aby nie zgasła na powietrzu, podaje sąsiadowi). Proszę.

Pan z brodą: Ale niechże pan pali (zręcznie odbiera łysemu panu zapałkę z palców i, z za-

chowaniem tych samych ostrożności, podaje mu ją z powrotem).

Pan łysy: Ale pocóż te ceremonie? (Końcami paznokci chwyta dopalającą się zapalną i, osłaniając ją dłonią, aby nie zgasła na wietrze, wtyka panu z brodą pod nos). Niech pan pali, bo zgaśnie.

Obaj panowie (jednocześnie): Aj! (Łysy pan nie mógł już dłużej utrzymać zapalną, która zaczęła go parzyć w palce i upuścił ją panu z brodą na kolano).

Pan z brodą (pochyliła się i uważnie ogląda kolano, po chwili płaczkliwym głosem). Jest dziura... Nowiuteńkie spodnie!

Pan łysy: Nie może być.

Pan z brodą: Jakto nie może być! Wczoraj odesłano mi je od krawca... A, żeby pana wszyscy dyabli wzięli!

Pan łysy: Mój panie... Wypraszam sobie... Trzeba było zapalić, jakem zapalną podawał.

Pan z brodą: Czemużeś pan sam pierwszy nie zapalił: Co za jakieś hrabiowskie zwyczaje!

Pan łysy: Pan raczy...

Pan z brodą: Zapłacisz mi pan za spodnie!

Pan łysy: Mój panie, tylko proszę w publicznem miejscu tym tonem do mnie nie przemawiać (z pogardą rzuca papierosa na środek alei).

Masz pan pańskiego papierosa! (Wstaje i oddala się manifestacyjnie).

Pan z brodą: Bałwan!

Pan łysy (ogłąda się i — groźnie): Słyszałem.

Końcowa wymiana słów grzeczną nie była, no, ale wszedł tu w grę nieprzewidziany wypadek. Za to ceremoniał częstowania się ogniem był wyrafinowanie greczny. I to jest właśnie ta sfera greczności, w której my celujemy i którą z dumą możemy przeciwstawić cudzoziemskim pojęciom o greczności.

NAJSTRASZNIJSZY SEN.

Znana jest historia owego bankiera, który miał sen tak straszny, że umarł, nie zdążywszy się nawet obudzić. Jest to historia dość już stara, z przed dwudziestu, nawet dwudziestu pięciu lat, ale jedna z tych, które nigdy nie tracą swej grozy. Przed kilku dniami ktoś ją przypomniał w towarzystwie, w którym spędzałem wieczór, i stąd zawiązała się rozmowa o snach.

Jak wiadomo, sny odzyskują obecnie prawo obywatelstwa. Do niedawna wyciąganie jakichkolwiek praktycznych wniosków ze snów należało do zabobonów i na studyowanie senników mogły sobie pozwolić co najwyżej kucharki. Obecnie istnieją już senniki naukowe, które oddają wielkie przysługi przy badaniu chorób nerwowych i umysłowych.

Jedna z dam zaproponowała, aby każdy z obecnych opowiedział najstraszniejszy sen, jaki miał w życiu. Podobała nam się ta myśl i zaczęliśmy się prześcigać nawzajem w wyciąganiu najrozmaits-

szych okropności, które prześladowały nas kiedyś po nocach. Przyznam się jednak, że żadna z tych opowieści nie wywarła na mnie wrażenia. Sny same przez się nie były pozbawione pierwiastków grozy: jeden z panów opowiadał naprzykład, że śniło mu się, że powrócił w nocy do domu, otwiera drzwi do sypialni, a tu z pod łóżka rzuca się na niego krokodyl. Sytuacja taka, o ileby się na prawdę wydarzyła komuś w życiu, należałaby istotnie do najprzykrzejszych, jakie sobie wyobrazić można, nawet strasznych, bo przed krokodyłem podobno trudno jest uciekać. Mówię „podobno“, gdyż sam nie uciekałem jeszcze nigdy, w opowiadaniu jednak wyszło to blade i nieplastycznie. Być może, że było to winą opowiadającego. Prześtrach na własny użytek jest rzeczą bardzo ładną: na to jednak, aby go słuchaczowi narzucić, trzeba już niebywałego kunsztu słowa.

W każdym razie, po wysłuchaniu kilkunastu snów, które każdy z nas kwalifikował jako najstraszniejsze, jakie miał w życiu, zgodziliśmy się wszyscy na jedno, a mianowicie, że pod względem grozy żaden z nich nie mógł iść nawet w porównanie z owym okropnym snem bankiera (nazwisko jego uleciało mi w tej chwili z pamięci, ale czytelnicy pamiętają je zapewne, bo to znana historia), boć ostatecznie nikt z nas nie tylko nie umarł, ale nawet żadnego z tych snów, któreśmy

sobie opowiadali, nie odchorował. Na to z kąta pokoju odezwał się cichy, smutny głos:

— Przepraszam, ja odchorowałem.

Spojrzelśmy wszyscy z zaciekawieniem w tamtą stronę. Pod ścianą siedział chudy, przedwcześnie wyłysiały młodzieniec, który dotychczas nie brał udziału w rozmowie. Ponieważ się nie odzywał, więc nikt nie zwracał na niego uwagi i zapomnieliśmy prawie o jego obecności.

— Pan przechorował? — zapytał ktoś z niedowierzaniem.

— Tak, ja — odparł smutny młodzieniec, podnosząc rękę do czoła takim ruchem, jak gdyby chciał odgarnąć czuprynę. Znaną jest rzeczą, że ruchy takie pozostają ludziom nieraz przez parę lat jeszcze po wypadnięciu włosów.

Całe towarzystwo znalazło się odrazu przy nim.

— A czemuż pan się nie odzywał?

— Co się panu śniło?

Młodzieniec milczał, wpatrując się uporczywie w podłogę. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że skłamał, chcąc nam zaimponować, i że szuka w myśli jakiegoś fantastycznego snu. Przyjrzawszy się mu jednak baczniej, spostrzegłem, że znać było na nim nieudawane przygnębienie i zdenerwowanie.

Po chwili odezwał się przyciszonym głosem, ale wymawiając dobitnie każdy wyraz:

— Śniło mi się, że jechałem Wiedeńską koleją w Lubelskie.

W salonie zapanowała cisza. Nie posiadam bynajmniej przesadnie rozdzielakowych nerwów, wiem, że koleją Wiedeńską w Lubelskie się nie jeździ, ale w fantastycznej chorobliwości tej wizji było coś tak przerażającego, że mimowoli zimny dreszcz mię przeszedł. To samo widocznie odczuwali wszyscy, bo na wszystkich twarzach znać było osłupienie.

Ktoś parsknął naraz histerycznym śmiechem.

— Tak... koleją Wiedeńską w Lubelskie... Straszniejszego snu nie umiem sobie wyobrazić. Rozumiem, że pan mógł to odchorować i współczuję z panem serdecznie.

Ktoś inny szepnął:

— Skąd się takie sny biorą?

Obecny w towarzystwie młody lekarz odparł pouczającym tonem:

— Według teorii znakomitego psychologa Freuda wizje senne są symbolem naszych utajonych pragnień. W pewnych wypadkach cierpień nerwowych analiza snów dopomaga znakomicie do postawienia dyagnozy choroby. Jeśli więc panu temu śniło się, że jechał koleją Wiedeńską i że jechał w dodatku w Lubelskie, świadczy to, że jest on dotknięty manią samobójczą.

DONIOSŁY WYNAŁAZEK.

W jednym z miesięczników francuskich czytałem niedawno artykuł o znakomitych odkryciach prof. Carrela z Nowego Jorku.

Prof. Carrel, laureat nagrody Nobla, pracuje, jak wiadomo, nad przeszczepianiem organów ludzkich. Medycyna doszła już dzisiaj do przelewania krwi z jednego organizmu do drugiego. Kuracye tego rodzaju są na porządku dziennym. Można się spodziewać, że za kilka lat będą specjalne sklepy z krwią, w których każdy osobnik anemiczny i wycieńczony będzie mógł nabyć flakon gotowej, świeżej krwi, z uwzględnieniem temperamentu. Na pierwszych stronicach pism, w rubryce „Nadesłanych“ będziemy czytali ogłoszenia:

„Znana firma „Krew dla wszystkich“, z powodu zmiany lokalu, wyprzedaje całkowite zapasy. Katalogi z licznymi zaświadczeniami na żądanie franco i gratis. Wszystkie gatunki na składzie: oryginalne angielskie (flegmatyczne), wę-

gierskie, włoskie (dla pań) i t. d. Poszukuje się również przedstawicieli na prowincyi“.

Ale przelewanie krwi jest niczem jeszcze wobec przeszczepienia organów. Prof. Carrel dowiódł przedewszystkiem, że każdy organ może żyć sobie oddzielnie poza ciałem. Oczywiście, trzeba go tylko odpowiednio zabezpieczyć.

Wobec tych wszystkich zdobyczy geniuszu ludzkiego, jakich na każdym kroku jesteśmy świadkami, nie można wątpić, że udoskonalenie techniki tego zabezpieczania jest tylko kwestją czasu.

Czem jest w dzisiejszych naszych warunkach śmierć? Z punktu widzenia teorii prof. Carrela marnotrawstwem nie do darowania. N. p. umiera ktoś z powodu paraliżu mózgu. Ale pozostają zdrowe nerki, serce, płuca, no i niema żadnej dobrej racy, aby to wszystko dla kaprysu mózgu bezpowrotnie ginęło. Na szczęście odkrycia profesora Carrela i całego sztabu uczonych, którzy wraz z nim pracują nad tą kwestją w nowojorskim instytucie Rockefellera, raz na zawsze położą kres tego rodzaju nadużyciom.

Umrze ktoś na serce — bardzo pięknie — pochowa się serce — ale reszta zostanie... na sprzedaż. Ku temu bowiem dążą wszystkie wysiłki genialnego francuskiego uczonego, aby organy zużyte zamieniać nowymi.

Dziś człowiek, który ma chore płuca lub nerki, leczy je i nie zawsze mu się to udaje.

W przyszłości kwestya będzie daleko prostsza. Zamiast kupowania medykamentów, wyjazdów do wód, w góry, nad morze — małe, „drobne“ ogłoszenie: „Nerki w bardzo dobrym stanie potrzebne natychmiast. Wiadomość tu i tu...“ Chirurg dokona przeszczepienia — rachunek: za operację tyle, za nerki tyle, i sprawa załatwiona.

W ten sposób ludzie zamożni będą się wciąż mogli częściowo odnawiać, co im zapewni życie wieczne. I oto kwestya fizycznej nieśmiertelności człowieka, która była przedmiotem badań pewnej grupy mistyków amerykańskich z drugiej połowy zeszłego stulecia, zostaje pomyślnie rozwiązana.

Szkoda, że z owych pierwszych pionierów nieśmiertelności nikt już nie żyje.

Ujrzeliby przynajmniej świt tryumfu swych idei, a zarazem poznali swój błąd, który polegał na tem, że szukali nieśmiertelności na drodze ćwiczeń duchowych, podczas gdy nauka daleko racjonalniej i zgodniej z duchem czasu rozstrzyga tę kwestyę pieniądze.

Dla przeciwników kapitalizmu będzie to oczywiście nowy argument agitacyjny. Z góry już można sobie te tyrady wyobrazić. „Bogacze, którzy kupują sobie nasze serca, mózgi, żołądki i t. d.“.

Ale jeśli patrzeć na tę sprawę z punktu rzeczywistych interesów ludności pracującej a nie zaślepienia partyjnego, to się okaże, że rozpowszechnienie przeszczepiania organów będzie dla ubogich klas ludności prawdziwym dobrodziejstwem.

Po co np. człowiekowi, który nie ma co jeść, zdrowy żołądek? Kłopot tylko i niepotrzebny zbytek.

W przyszłości, gdy biedak taki będzie mógł korzystnie swój żołądek sprzedać — przedewszystkiem zarobi, a sam doskonale będzie się mógł obejść gorszym. Społecznie będzie to miało ten nieoceniony skutek, że położy kres, jeśli tak można powiedzieć, fizyologicznemu życiu nad stan.

Zapewne, że ta wizya, którą tu nakreśliłem, jest na razie jeszcze marzeniem.

Ale czyż nie żyjemy w czasach, kiedy wszystkie marzenia się urzeczywistniają?

Przed dwudziestu laty przelot z Warszawy do Paryża w ciągu czternastu godzin był większą fikcją, niż przy dzisiejszym stanie odkryć prof. Carrela przeszczepianie organów.

Udoskonalenie techniki przeszczepiania, poza doniosłym znaczeniem społecznym, przyczyni się i do etycznej reformy ludzkości. Zamiast skazy-

wać bandytów, będzie im się zaszczepiało tkliwe, czułe serca.

U nas zwłaszcza będzie to rzecz nieoceniona, bo, zdaje się, że dopiero tą drogą — naukową — pozbedziemy się bandytyzmu.

ANALFABETYZM.

Odkąd umiem czytać, czytam wciąż o potrzebie oświaty ludowej. I w tych dniach wyczytałem taką wiadomość:

„W jednym z większych miast prowincjonalnych, którego ogół ludności uważa się za więcej inteligentny, niż w innych dziurach, zwołano w magistracie naradę całej miejscowej elity. Szło o urządzenie w ciągu lat kilku 10-ciu szkół początkowych, bo tyle ich w mieście potrzeba w stosunku do liczby dzieci w wieku szkolnym. Przedstawiciel rządu oświadczył na zebraniu, że skarb daje na ten cel 50.000 rb. na warunkach najdogodniejszych: około 4 proc. spłaty rocznej wraz z amortyzacją na lat 30. Trzy czwarte obywateli, uczestniczących w owej naradzie, oświadczyło stanowczo, iż się na projekt nie zgadzają, bo nie uważają za właściwe nakładanie na miasto takich ciężarów“.

Pismo, które wiadomość tę podało, zaopatrzyło ją jeszcze w pewien niepochlebny dla elity ko-

mentarz. Nie powtarzam go, bo go nie podzielam. Skoro miasto to jest już samo przez się, z urodzenia, jeśli tak można powiedzieć, inteligentniejsze od innych, to rzecz prosta, że mu szkół nie potrzeba. Stanowisko elity zrozumieć można.

Ale mimo, że Opatrzność jest na nasze miasto wogóle łaskawa, nie wszystkie jednak obdarzyła przyrodzonym rozumem. Są miasta, którym samo promieniowanie inteligencji „elity“ nie wystarcza. I tym potrzeba szkół.

Zdawałoby się, że wszelkie argumenty, przemawiające za nauczaniem początkowym, są już od dawien dawna w prasie naszej wyczerpane. Ale nie. Życie nasunęło mi pewien przykład z dziedziny nie uwzględnionej jeszcze przez socjologów.

Znam człowieka, który przez długie lata był zdecydowanym przeciwnikiem oświaty ludowej. Nie z powodu braku uczuć obywatelskich, ale raczej przez ich nadmiar. Nam, Polakom, zarzucają często, a przedewszystkiem my sami zarzucały sobie — lekkomyślność i brak przezorności. Otóż zdaje mi się, że jest to jeden z najfałszywszych komunałów, że niema drugiej nacyi na świecie, któraby była tak przezorna i przewidująca, jak my właśnie. Dowodem ów mój znajomy właśnie. Ile razy była mowa o oświacie ludowej, zawsze trapiły go przewidywania.

— Dobrze, dobrze — mówił znękanym głosem — nic łatwiejszego, jak kogoś nauczyć czytać, ale co potem? Człowiekowi, który umie czytać, trzeba dostarczyć dobrych książek do czytania, a czy je mamy? Albo na starość zacznie tracić taki biedak wzrok i nie będzie mógł czytać bez szkieł... Kto się tem zajmie, aby mu dać okulary?

I ta wizja tragedyi staruszka, który łaknie strawy duchowej, rwie się tylko do tego, aby coś przeczytać, a nie stać go na okulary, tak roztkliwiała mego przyjaciela, że z dwojga złego wolał już analfabetyzm, niż oświatę z perspektywą tego rodzaju dramatycznych konfliktów.

Nie powiem, aby ta jego przezorność i sentymentalizm nie były mi sympatyczne. Tego rodzaju przezorność i ten gatunek uczuciowości są tak typowo nasze, że nic polskiego musiałbym chyba w sobie nie mieć, aby nie wyczuwać ich swojskiego uroku. Mimo to upierałem się jednak przy swoim, że oświata jest rzeczą pożyteczną.

I życie przyznało mi rację.

Nie wiem jak, gdzie, kiedy, ale zdarzyło się, że przyjaciel mój zawarł jedną z tych płochych znajomości, o których nie mówi się zazwyczaj przy żonie, teściowej, dzieciach i wogóle w tak zwanem gronie istot sobie najbliższych, przed którym nie ma się tajemnic.

Nie wiem, jak długo snułaby się owa intryga, ile zakazanego szczęścia znalazłby w niej mój znajomy, gdyby nie fatalny zbieg okoliczności, który, jak się jednak następnie okazało, pod względem wychowawczo-społecznym był wypadkiem bardzo dodatnim.

Mianowicie tak było:

Pewnego dnia przyjaciel mój wstąpił do sklepu z kwiatami, nabył prześliczny kosz róż i kazał go odesłać pod adresem ukochanej.

Do kwiatów dołączył bilet wizytowy, na którym było parę tkliwych słów. Własnoręcznie zaadresował kopertę, zapłacił i wyszedł wesół, jak człowiek, któremu się wszystko pomyślnie w życiu układa.

W kwadrans potem tylnymi drzwiami wyszedł ze sklepu posługacz, któremu polecono odnieść kwiaty. Był to zabiedzony polski analfabeta, bandyta o złotem sercu, czy też — jeśli kto woli — człowiek o złotem sercu, posiadający zewnętrzny wygląd bandyty.

Powiedziano mu adres na wychodnem, ale oczywiście zapomniał go w tej chwili. Musiał więc zwrócić się do kogoś, aby mu odcyfrował tajemnicze znaki na kopercie. Szła jakaś elegancka pani z ładnie ubraną dziewczynką, zwrócił się do eleganckiej pani z ładnie ubraną dziewczynką.

Ludzie przenikliwi mogą się już reszty domy-

ślić. Mniej przenikliwym powiem, że pani, rzucając okiem na kopertę, zaczerwieniła się, potem zbladła, nerwowym ruchem rozdarła kopertę i, zmiąwszy bilet, cisnęła go zdumionemu analfabecie z okrzykiem:

— Łajdak!

Analfabeci nie umieją czytać, ale mają poczucie honoru. I obfity zapas wyrażań, któremi potrafią swego honoru bronić. Scena, jaka nastąpiła potem, była straszna.

Ktoś z przechodniów chciał już telefonować z najbliższej apteki po pogotowie.

Bo owa dama, do której analfabeta zwracał się z prośbą o odczytanie adresu na kopercie, była oczywiście żoną mego przyjaciela, a dziewczynka jego córka.

Trafić w takiej sytuacji na matkę z córką — to już szczyt ironii życia. Ale życie bywa czasami ironiczne.

Za to przyjaciel mój stał się od owej chwili (wydłużyła mu się ta chwila na parę dobrych miesięcy...) zapalonym zwolennikiem oświaty ludowej. Teraz rozumie już potrzebę nauczania powszechnego.

Powtarzam tę historję tak, jak ją słyszałem. Inteligentne elity różnych naszych miast powiatowych powinny się, mojem zdaniem, dobrze nad nią zastanowić.

KONTROLERZY KULTURY.

Pragnąłbym zwrócić uwagę szerszego ogółu na ciężkie warunki bytu naszych kontrolerów kultury.

Jest to urząd specjalnie warszawski. Warszawie można wiele rzeczy zarzucić, ale trzeba jej też oddać sprawiedliwość, że pod względem dbałości o kulturę przewyższa wszystkie inne miasta europejskie. Stąd też wynikła potrzeba kontrolerów kultury.

Praca kontrolerów uchodzi wogóle za łatwą. Zapewne, jeśli weźmiemy za przykład kontrolerów kolejowych, którym życie upływa na robieniu trzeciej dziurki w bilecie, gdzie już są dwie dziurki, to każdy się zgodzi, że jest to zajęcie nie wyczerpujące umysłowo, ani zbyt ciężkie fizycznie. Wystarczy mieć wszystkie pięć palców u prawej ręki i już można być kontrolerem.

Ale co innego jest sprawdzać bilety, a co innego czuwać nad prawidłowością cywilizacyjnego rozwoju całego społeczeństwa. Kontroler kultury

musi być pod każdym względem człowiekiem niepospolitym.

Z przyjemnością stwierdzić trzeba, że, mimo tak trudnego warunku kwalifikacyjnego, amatorów na posady kontrolerów kultury nigdy u nas nie braknie.

Ale to nie wszystko.

Praca kontrolerów kultury jest czysto honorowa. Nikt im za nią nie płaci. Więcej nawet. Ponieważ kontrolerzy kultury wykonywają swe czynności przeważnie po restauracjach i kawiarniach, więc oni jeszcze nieraz muszą dopłacać.

Jest to objaw pocieszający. Świadczy, że nie brak u nas jednostek ofiarnych, gdy chodzi o dobro społeczeństwa.

Kontrolerzy kultury rekrutują się z pośród ludzi wszelkich stanów i wszelakiego wieku. Przeważnie jednak są to ludzie młodzi. Ale, mimo to, posiadający nieprzebrane skarby doświadczenia życiowego. I wszechstronność, która jest zresztą nieodzownym warunkiem ich zawodu.

Wystarczy poruszyć pierwszy lepszy temat. Na przykład:

— Ta kawa jest niedobra.

Kontroler kultury obowiązany jest w tej chwili pouczyć nas, na czym polega kulturalna niższość naszych kawiarni w porównaniu z kawiarniami Zachodu, ponadto nakreślić szeroki plan reform,

jakie należy przeprowadzić, abyśmy znaleźli się wreszcie na poziomie „Europy“.

Można zacząć:

— Czytałem ostatnią powieść...

I dość. Nie trzeba dopowiadać wcale, czyja to była powieść. Dobremu kontrolerowi kultury błahy ten szczegół bynajmniej nie jest potrzebny. I bez tego wyłoży nam od razu wszystkie braki naszej literatury, które sprawiają, że jest ona zaściankową i nie może wywalczyć sobie w „Europie“ odpowiedniego stanowiska.

Wiadomo, że na całym świecie niema stosunków tak zabagnionych, jak u nas. Wszyscy ludzie, zajmujący jakiegokolwiek wybitniejsze stanowiska, tworzą jedno wielkie Towarzystwo wzajemnej adoracji. Literatura jest głupia, sztuka konwencjonalna, prasa sprzedajna.

A społeczeństwo musi żyć. Musi mieć odpowiednich duchowych przewodników. Ciężki ten trud spełniają kontrolerzy kultury.

Jeśli kiedyś staniemy się „Europą“, im to będziemy zawdzięczali. Dziś są oni ambasadorami mistycznej „Europy“ w naszym ubogim i zacofanym kraju.

Czy praca ich jest odpowiednio ceniona?

Ze wstydem należy odpowiedzieć, że nie. Przeciwnie, wzamian za cały swój trud i poświęcenie, spotykają się bardzo często z jawną nie-

chęcią i złośliwymi oszczerstwami. Mógłbym cytować nazwiska bardzo poważnych i zasłużonych „kontrolerów kultury“, którzy w opinii ogółu nic innego nie robią, tylko „marnują czas po knajpach“.

Niechby jednak ci, którzy lekkomyślnie oszczerstwami tego rodzaju występują, albo, co częściej, bezmyślnie je za oszczercami złej woli powtarzają, spróbowali tak samo przesiadywać po tych knajpach od rana do późnej nocy — nieraz do świtu, gdy interes kultury narodowej tego wymaga. Przekonaliby się może, że nie jest to praca tak łatwa, jakby się na pozór zdawać mogło, że, aby móżdż takim życiem wyżyć, trzeba wielkiej siły woli i twardego charakteru.

A na taką siłę woli i charakter może zdobyć się tylko człowiek, który nosi w duszy umiłowanie jakiegoś ideału.

Pomijam ciężkie warunki materialne, w jakich żyją nasi „kontrolerzy kultury“. Społeczeństwo rzadko przychodzi im z pomocą, nie uwzględniając tego wcale, że restauracje i kawiarnie warszawskie należą dziś do najdroższych na świecie. Trudno zaś od tych ludzi wymagać, aby zajmowali się jeszcze jakimiś pobocznymi pracami. Zdaje się, że kontrola kultury jest zajęciem, które samo przez się może wszystko czas i siły pochłonać.

Wkrótce na szczęście będziemy mieli samorząd. Otóż zdaje mi się, że jednym z pierwszych zadań tego naszego samorządu powinno być polepszenie warunków bytu naszych „kontrolerów kultury“.

Niechby im dano stałe pensje i umundurowanie. Gdyby byli umundurowani, łatwiejby ich było po kawiarniach poznawać i każdy z nas, mając chwilę wolnego czasu, mógłby się przysiadnąć i korzystać z cennych uwag o naszych potrzebach kulturalnych.

Jakżeby się to dodatnio na naszym życiu odbiło!

OSTATNI BUŁGAR.

Było nas parę osób przy śniadaniu w restauracji hotelowej i rozmawialiśmy o nowej wojnie bałkańskiej.

— Bułgarzy są najżywoźniejszym narodem w Europie — obwieścił ponurym głosem błądy mężczyzna z głęboko zapadniętymi oczami, w których malowała się melancholia chronicznego kataru żołądka. — Statystyka wykazuje, że w Bułgarii jest największa ilość stułetnich starców.

— Cóż mi z tego — odparł ktoś inny — kiedy niedługo już ich wcale nie będzie. Od wybuchu pierwszej wojny bałkańskiej nie przepuściłem ani jednego telegramu z placu boju i ponadto prowadziłem dokładną statystykę zabitych. Otóż teoretycznie naród bułgarski powinien już być przestać istnieć jeszcze przed upadkiem Adrynopola. Wówczas już liczba poległych przewyższała, nie o wiele, co prawda, ale zawsze o jakieś parę tysięcy liczbę całej ludności bułgarskiej,

według tego, co nam mówią podręczniki geografii i encyklopedje. Widocznie jednak cyfry, zamieszczane w podręcznikach geografii i encyklopedjach, nie były zgodne z prawdą. Część Bułgarów musiała jeszcze pozostać przy życiu, skoro się mogą bić. W każdym razie jednak musiało ich pozostać nie wielu, a ponieważ mają obecnie przeciwko sobie Serbów, Greków, a ewentualnie i Rumunów, więc zważywszy jeszcze straszne działanie współczesnej, udoskonalonej broni palnej, łatwo przewidzieć, że w ciągu najbliższych tygodni wszyscy Bułgarzy będą wystrzelani co do jednego.

Trudno było znaleźć odpowiedź na tak logiczne wywody. Przy stole zapanowała cisza. Potem wszyscy zaczęliśmy się roztkliwiać nad oplakany koniec narodu, którego przyszłość zapowiadała się tak świetnie, dzięki lakto-bakcylinie i kulturalnym wysiłkom wszystkich warstw.

Ten ponury nastrój przerwał nagle wesoly okrzyk:

— A ja wam mówię, panowie, że z Bułgarami tak źle nie będzie.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę stołu, skąd padły te nieoczekiwane słowa, powiem nawet, trochę rażące swym nieuzasadnionym optymizmem. Wypowiedział je jakiś staruszek, który aż do tej pory nie brał udziału w ogólnej rozmowie, tak,

że zapomnieliśmy prawie o jego obecności przy stole. Ponieważ opinia nasza była już ustalona, więc odezwanie się staruszka wywarło wrażenie, jakie po polsku określa się przysłowiem: „wyrwał się, jak Filip z konopi“, na pamiątkę jakiegoś Filipa, który zresztą na tem nietaktownem wyrwaniu się zrobił dobry interes, bo inaczejbyśmy go nie wspominali.

Po chwili milczenia ktoś się odezwał:

— Sądzi pan?

Było to powiedziane chłodno, bez zaciekania — po prostu przez zdawkową grzeczność, aby słów staruszka nie pomijać zupełnym milczeniem.

Staruszek wyprostował się nad talerzem.

— Nie sądzą, ale jestem przekonany.

W tej chwili dopiero mogliśmy mu się dokładniej przyjrzeć. Od śnieżnej białości włosów odbijała jaskrawym kontrastem zdrowa, rumiana cera i młodzieńcze, błyszczące oczy. Słowem, był to jeden z tych ludzi „dawnego pokolenia“, którzy dzięki innemu zupełnie pojmowaniu życia, niż to się dziś dzieje, aż po najsędziwsze lata nie zatracają młodzieńczego entuzjazmu.

Miałem wrażenie, że wszyscy obecni przy stole tak go scharakteryzowali w myśli. I od razu mieliśmy potwierdzenie prawdziwości tej charakterystyki, bo staruszek, odgarnąwszy włosy z czoła,

co mógł przewidzieć każdy, kto zna choć trochę psychologię entuzyastów, począł mówić pełnym zapału głosem:

— Nie, panowie. Mojem zdaniem, najniepotrzebniej w świecie roztkliwiacie się nad losem Bułgarów. Zgadzam się z wami najzupełniej, że wobec przeważającej liczby wrogów i wyższości armat francuskich nad niemieckimi, narodowi bułgarskiemu grozi poważne niebezpieczeństwo zagłady. Tembardziej, że jeżeli mahometanie lubili wyrzynać bezbronną ludność w chrześcijańskich wioskach, toć jasną jest rzeczą, że chrześcijanom musi to stokroć żywszą radość sprawiać, bo i ja sam i każdy z nas, mając kogoś do zarzynania zawszeby wolał wybrać na ten cel człowieka, z którym go łączą wspólne węzły pochodzenia, wiary i języka. Może się w tem ktoś dopatrzeć pewnego snobizmu, ale faktem jest niezaprzeczo- nym, że to podnosi wartość zarznięcia. Dalej nie zapominajmy, że na wojnie nie wszyscy ludzie giną od kul. Pewna liczba dostaje się do niewoli. Tych dziesiątkują choroby, głód, złe obchodzenie się i t. d., ale w każdym razie można przypuścić, że po najkrwawszym wyniku kampanii jeden Bułgar pozostanie przy życiu. Zgadzacie się ze mną panowie?

— To możliwe — odparło kilka głosów.

— Nawet tuzin — dorzucił ktoś lekkomyślniejszy.

— Jeden. Jeden mi wystarczy, a raczej nie mnie, tylko przyszłości narodu bułgarskiego. Wyobrażacie sobie, panowie, los tego człowieka? Wyobrażacie sobie karierę „ostatniego Bułgara“ po skończonej wojnie? Wszystkie „variétés“ i „tingle“ europejskie i amerykańskie będą się przelicytowały, aby mózdz go zdobyć choć na parę występów. W miastach nic innego nie będziemy oglądali, tylko wielkie kolorowe afisze, przedstawiające dorodnego mężczyznę w barwnym, bałkańskim stroju z podpisem: „Sensacya. Nieodwołalnie tylko parę występów. Ostatni Bułgar“. W ciągu pół roku człowiek ten dorobi się milionów. Oczywiście, stworzy to taki popyt na „ostatnich Bułgarów“, że cudzoziemcy zaczną się na gwałt po bułgarsku uczyć, a zwycięzcy Serbowie i Grecy o tem tylko będą marzyli, aby symulować „ostatnich Bułgarów“. I co się po pewnym czasie okaże: że Bułgarów będzie więcej, niż ich było przed wojną. Poczną rozwiązywać kontrakty i na nowo osiedlać się w Bułgarii.

I to jest, panowie, wielka mądrość życia! Opłakujemy „tingle“, „kabarety“, „variétés“ i niezdrową reklamę, która szerzy zamięłowanie do tego rodzaju poziomych rozrywek, jako dowód moral-

nego upadku społeczeństw, ale w tym upadku tkwią również ziarna odrodzenia... społeczeństw, doprowadzonych do zagłady przez męstwo, odwagę, poświęcenie, słowem, najwznioślejsze cnoty, jakie wymarzyć można...

CZAROWNICY.

Przeglądając dziś rano pisma, natrafiłem na ciekawe sprawozdanie z kongresu psychologii doświadczalnej w Paryżu i to przypomniało mi nieboszczyka pana Antoniego.

Na kongresie owym uczeni zajmowali się ciekawem, a po dziś dzień niezbadanem zjawiskiem odkrywania wody we wnętrzu ziemi za pomocą tak zwanej różdżki czarodziejskiej, czyli poprostu odpowiednio wygiętego kawałka drutu, który w miejscu, gdzie pod ziemią znajdują się ukryte źródła wody, zaczyna wykonywać wahadłowe ruchy. Tajemnica zjawiska tego tkwi jednak nie w samej różdżce, lecz w ukrytej sile człowieka, który ją trzyma. O ile ktoś tego przyrodzonego daru wyczucia wody we wnętrzu ziemi nie posiada, może wziąć po pół tuzina różdżek w każdą rękę, stanąć nad morzem i stać pół dnia nawet, a żadna mu nie drgnie. Podobnie człowiek bez nóg nie będzie cyklistą, choćby mu zaofiarowano najpiękniejszy rower.

Sposób ten znano już w wiekach średnich. Poszukiwanie stanowiło korzystny, choć zarazem i ryzykowny nieco proceder, bo przez dziwną ironię kontrastu ludzi, którzy wyszukiwali wodę, palono dość często na stosach, sądząc widocznie, że ten rodzaj śmierci będzie dla nich najpouważniejszym. Obecnie zajmują się nimi kongresy naukowe, sam fakt jednak pozostał tak samo tajemniczym, jak i przed kilkuset laty. Dowodzi istnienia jakichś tajemnych sił w człowieku, których przy całej naszej naukowej zarozumiałości określić nie potrafimy. Co najwyżej można stwierdzić, że niektóre metale, jak n. p. w danym razie drut cynkowy, z którego wyrabiane są różdżki czarodziejskie, pomagają człowiekowi do skoncentrowania tej siły.

Otóż, gdy o badaniu dziwnych tych zjawisk czytałem, dlatego przyszedł mi na myśl nieboszczyk pan Antoni, że był on człowiekiem w wysokim stopniu obdarzonym tą tajemniczą siłą. W tym zagmatwanym kamiennym labiryncie, jaki tworzy współczesne miasto, z przedziwną intuicyą, która, jak to miałem sposobność wielokrotnie sprawdzić, nie zawodziła go nigdy, wyszukiwał źródła alkoholu.

W owym czasie, kiedyśmy obcowali z sobą, jakieś mniej więcej dziesięć lat temu, pan Antoni był krzepkim, sześćdziesięcioletnim staruszkim,

pełnym humoru i tej jasnej pogody, jakiej dzisiejsze przedwcześnie zneurastenizowane pokolenia starców już nie znają. Psychologia nie zwracała jeszcze uwagi na sympatyczne nici, łączące ciała ludzkie z ciałami płynnymi, i pan Antoni wyżył swe talenty z całą prostotą naiwnej nieświadomości, nie domyślając się nawet, że służy sprawom nauki, w myśl zasady: „Czyń każdy w swoim kółku, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży“.

Przypominam sobie, że pewnej nocy, kiedyśmy razem powracali do domu, pan Antoni westchnął nagle i, zacierając ręce, odezwał się melancholijnym tonem:

— Dobrze byłoby się teraz sznapsika napić.

Była już późna noc, wszystkie kawiarnie i restauracje pozamykane. Odparłem mu, wzruszając ramionami:

— A gdzież pan teraz wódki dostanie?

— Żebym miał pieniądze, tobym dostał.

Wręczyłem mu parę drobnych monet. Pan Antoni wyprostował się, przymknął na chwilę oczy, jakby dla lepszego skupienia władz duchowych. Widoczne było, że wpada w trans. Po chwili ruszył się szybko naprzód i, zbliżywszy się do nocnego postoju dorożek, odezwał się pewnym siebie tonem:

— Ociec, nie macie trochę monopolu?

I w moich oczach — dostał. Dorożkarz posiadał flaszeczkę, którą mu po zdwojonej cenie ustąpił. Metalowy krążek odegrał tu rolę różdżki czarodziejskiej, pozwalającej człowiekowi na skupienie swoich sił duchowych.

Wyobrażam sobie, jak dumnym byłby pan Antoni, gdyby wiedział, że kongres najznakomitszych uczonych, i to w Paryżu w dodatku, zajmuje się dziś badaniem tajemnego jasnowidztwa, w którym on tak celował. Niestety, pan Antoni już nie żyje! I na czarowników śmierć przychodzi. Jedni wyszukują wodę we wnętrzu ziemi, są tacy, którzy przy pomocy latarki elektrycznej i laseczki magicznej w postaci zakrzywionego kawałka żelaza potrafią do najbardziej ukrytych skarbów się dobrać, a wszyscy oni razem, wyłamując się z pod strychniowców, które wiedza chce narzucić na bezmiar duszy człowieka, świadczą, że jesteśmy w posiadaniu wielkich tajemnych, głębokich sił, których umiejętne kultywowanie może pchnąć ludzkość na zgoła nowe tory.

MIĘDZYKARODOWA KOMISYA OKRUCIEŃSTW.

Przed paru dniami wyczytałem w *Kuryerze Warszawskim* cztery po sobie następujące telegramy, tak zatytułowane: „Okrucieństwa bułgarskie“, „Okrucieństwa greckie“, „Okrucieństwa serbskie“ i „Okrucieństwa tureckie“. Wszystkie te okrucieństwa podaję tu w porządku alfabetycznym, aby mnie nie posądzano o stronność i faworyzowanie jednej narodowości kosztem innych. Poza tem w prasie europejskiej pełno jest protestów przeciwko okrucieństwom. Protestują (znów porządek alfabetyczny): Bułgarzy, Grecy, Serbowie i Turcy. I protesty te nie są bynajmniej gołosłowne. Każda z narodowości protestujących ma na poparcie „dokumenty ludzkie“ w postaci osób z powypalanymi oczami, poobcinanymi nosami, uszami i t. d.

Najmniej może uwagi zwracają okrucieństwa rumuńskie. Te mają charakter specjalny. Pretensjom rumuńskim Bułgaria gotowa była zadość

uczynić bez wojny. Ale Rumuni chcieli się bić. Zdaje się, że w ostatnich czasach więcej już im chodziło o samą wojnę, niż o ów kawałek ziemi, problematycznie zaokrąglający granicę. I to jest najzupełniej zrozumiałe. Skoro się cały rok okrągly przemieszka w sąsiedztwie ludzi, wciąż się z sobą bijących, to samemu mimowoli przychodzi ochota do bójki. Wynika stąd jasno, jak na dłoni, że złe towarzystwo zarówno jest szkodliwe dla państw, jak i dla dzieci.

Ale Rumuni, wyczerpawszy cały entuzjazm, jakim naród rozporządzał, na mobilizację i przygotowania do wojny, jednej rzeczy nie przewidzieli: że Bułgarzy nie będą się chcieli z nimi bić. Wobec tego działalność armii rumuńskiej z konieczności musi się ograniczać do wysadzania w powietrze mostów i niszczenia szyn. O tem tylko donoszą biuletyny z placu boju. Wiadomo, jak ważną jest rzeczą, aby wódz umiał do żołnierzy przemówić. Napoleon kilku słowami potrafił elektryzować armię. Jenerałowie rumuńscy odzywają się do swej „wiary“ prawdopodobnie w ten sposób:

— Chłopcy, widzicie ten most?... Czy wasza krew rumuńska nic wam nie mówi?

Krew rumuńska przemawia — i po pięciu minutach mostu niema. Czytelnikowi europejskiemu może się to wydać dziwne. Skoro ci ludzie wiedzą, że nikt ich nie będzie atakował, ani do nich

strzelał, co im mosty i szyny winne?... Ale psychologicznie to się tłómaczy. Coś na wojnie trzeba robić!

I oto, aby nie stanąć przed sądem potomności z pustemi rękami, Rumuni znęcają się nad mostami i szynami kolejowemi.

Mamy więc na Bałkanach dwie kategorie okrucieństw, w stosunku do ludzi i w stosunku do rzeczy martwych. Jest to zasadnicza teoria klasyfikacyi. Pozatem w kategorii pierwszej (okrucieństw nad ludźmi) należy jeszcze rozróżniać okrucieństwa albańskie (A), bułgarskie (B), czarnogórskie (C) i t. d. Słowem, ile narodowości, tyle okrucieństw.

Dawniej wszystkie te okrucieństwa monopolizowała Turcja. Miała na nie „Regie“, jak na tytuń. Okrucieństwa tureckie stosowały się wyłącznie do ludzi. Mosty, plant kolejowy i budynki stacyjne pozostawiano w spokoju. Miało to przynajmniej tę jedną dobrą stronę, że nie pociągało za sobą kosztownych reparacyi.

Okrucieństwa tureckie umiały sobie zdobyć sławę w Europie — jak tytuń. No i doprowadziły do wojny, której szczęśliwym rezultatem jest odebranie monopolu rządowi tureckiemu i autonomiczne zróżniczkowanie okrucieństw.

Nad tem jednak, czy to jest reforma pożądana, należałoby się poważnie zastanowić.

Z punktu widzenia konserwatywnego, który zasadniczo musi być przeciwny wszelkim zmianom — oczywiście, że nie.

A z punktu widzenia postępowego? Partye postępowe na całym świecie chętnie włączają do swych programów wszelkiego rodzaju upaństwowienia. To więc, co obserwujemy na półwyspie Bałkańskim, a mianowicie pozbawienie rządu tureckiego monopolu okrucieństw, celem zaspokojenia drobnych, lokalnych ambicyj, musi być uważane nie za krok naprzód na drodze postępu, ale raczej za cofnięcie tego postępu wstecz.

Oczywiście nie śmiem narzucać się ze swoim zdaniem konferencji ambasadorów w Londynie. Ale uważam, że panowie ci, choć już rok blisko obradują, niewiele jeszcze uradzili. „Europa“ wciąż ma wystąpić ze stanowczą interwencją i wciąż jej nie widać. Nie dlatego, aby „Europa“ była opieśzała, albo jej brakło dobrych chęci — Boże uchowaj! — tylko, że poprostu nie wie, na czyją korzyść ma interweniować.

Otóż czy nie najlepsza byłaby orientacja taka:

Aby wszystkie mocarstwa, zdobywszy się raz na należyłą energię, zaprowadziły porządek na Bałkanach — to znaczy cały półwysep oddały z powrotem Turcyi, co, jak doświadczenie długich lat wykazało, było jeszcze najlepsze.

A natomiast — celem zaspokojenia słusznych

potrzeb i wymagań ludności chrześcijańskiej i wogóle nietureckiej — ustanowiły międzynarodową komisję okrucieństw, któraby sprawę znęcania się nad bezbronną ludnością miast i wiosek ujęła w swe ręce.

Komisya mogłaby ustalić pewne normy, np. że starcom ponad lat 75 wolno jest wydłubywać tylko jedno oko... i t. d. Słowem zreformować palącą kwestyę „okrucieństw“ zgodnie z wymaganiami współczesnemi.

Na czele jej powinienby stanąć oczywiście przedstawiciel jakiegoś neutralnego państwa. Najlepiej Chińczyk, bo ze wszystkich narodów podobno Chińczycy odznaczają się najbardziej wyrafinowanem okrucieństwem.

RADY NA LATO.

Przedewszystkiem najprostszy sposób zabezpieczenia się od złodziei.

Warunki bezpieczeństwa na letniskach podwarszawskich pozostawiają wiele do życzenia. Zwłaszcza ostatnimi czasy, gdy ciągle obławy policyjne zmusiły większość rzezimieszków do przeniesienia się na willegiaturę. Otóż ludziom, którzy tejsze willegiatury zażywają nie przymusowo, ale dobrowolnie i radziby w całości dowieźć swoje mienie z powrotem do Warszawy, daje się to bardzo nie-mile we znaki.

A jednak zaradzić złemu łatwo — potrzeba tylko trochę inwencji. Każdy letnik, który naprawdę chce w ciągu dwóch czy trzech miesięcy korzystać w pełni ze wszystkich rozkoszy wsi i lata, zaopatruje się przedewszystkiem w fonograf. Przez dzień wszystkie te fonografy wygrywają naprzemian, lub razem, najrozmaitsze marsze, arye, walce, polki, lub poważne symfonie, stosownie do wyrobienia muzycznego danej rodziny.

W nocy możnaby je użytkowywać dla ochrony przed złodziejami.

W tym celu należałoby się tylko postarać o specjalne płyty (każda fabryka wykona je z łatwością), któreby powtarzały, oczywiście nie głosem Carusa, ani panny Messalówny, tylko jakimś złodziejsko - andrusowskim akcentem: „Uciekaj... obława!“, czy jakąś inną przestrożę w tym rodzaju.

Tak naładowany fonograf należy następnie ustawić gdzieś przed domem w krzakach i, puściwszy go w ruch, można się już jak najspokojniej kłaść spać, nie zamykając nawet okiennic na noc. Złodziej, któryby się skradał, posłyszawszy nagle gdzieś w mroku szept: „Uciekaj!... obława!“, będzie myślał, że to jakiś towarzysz przestrzega go przed policją i oczywiście drapnie odrazu. Ani się nawet nie będzie oglądał.

Sposób ten, moim zdaniem, jest sto razy lepszy od praktykowanego dotychczas „ostrzeliwania“ domów przed udaniem się na spoczynek. Przedewszystkiem, złodzieje strzałów się nie boją, następnie, na posiadanie rewolweru trzeba mieć specjalne pozwolenie, trudne do uzyskania, podczas gdy fonografy można kupować bez pozwoleń.

Czytałem również o projekcie opodatkowania letników, aby z zebranego tą drogą funduszu utrzymywać straż ziemską. Czyż nie lepiej sko-

rzystać z fonografów, które już są, zamiast wykosztowywać się na służbę bezpieczeństwa, która dopiero kiedyś będzie?

Przytem na każdym lotnisku istnieją szeregi malkontentów, wyrzekających bezustannie na „plagę fonografów“. Nie tylko artystyczne, ale i praktyczne zastosowanie tego wynalazku, którym wielki Edison tak się podmiejskim naszym okolicom przysłużył, zamknęłoby malkontentom usta.

* * *

Druga moja rada tyczy się much.

Muchy stanowią plagę już nie tylko naszych lotnisk podwarszawskich, ale wogóle wszystkich miejscowości w lecie. Ta rada może więc mieć praktyczne znaczenie i dla osób, wybierających się na wakacje gdzieś dalej — do Zakopanego, na Kaszuby, czy do jakichś wód zagranicznych.

Studując od szeregu lat z zaciekawieniem obyczaje drobnych tych stworzonek, odkryłem, że mają one specjalny, niczem nie przewyciężony pociąg do łysin.

Każda, mniej lub więcej okazała łysina służy zatem za skating-rink (wrotnisko) dla najrozmaitszych sportowych zrzeszeń much. Ale ludzie niechętnie zazwyczaj głów swych na ten cel użyczają.

Wskutek tego między właścicielami łysin a muchami dochodzi do ciągłych konfliktów.

Ileż to razy, obserwując ludzi łysych w lecie, widzi się, jak raz po raz z oznakami nerwowego zniecierpliwienia biją się dłońmi po czaszkach. Jest to ruch przedewszystkiem upokarzający (bo sprowadza każdego człowieka do rzędu „bitych w ciemność”), a następnie absolutnie bezcelowy, gdyż mucha, posiadając jakąś nieprawdopodobną liczbę oczów, zawsze ruch w porę spostrzeże i ucieknie.

Ale to specjalne zamiłowanie much do łysin możnaby w inny sposób wyzyskać.

Mianowicie tak. Należy wysmarować łysinę miodem i na jakąś godzinkę usiąść nieruchomo na słońcu. Można przy tem czytać, palić cygaro, należy się tylko wystrzegać zbyt gwałtownych ruchów. Muchy, widząc łysinę, zaczną się oczywiście zlatywać do niej chmarami i będą się przylepiały do miodu. Gdyby w domu nie było miodu pod ręką, można również wysmarować łysinę pierwszym lepszym kleistym płynem. Po pewnym czasie, gdy się zbierze odpowiednia ilość much, zmywa się głowę wrzącą wodą (należy uważać tylko, aby była dobrze zagotowana), i pozbywamy się odrazu całej masy niemitych i natrętnych stworzeń.

Operacja taka dla człowieka, który się jej poddaje, nie może absolutnie mieć nic niemiłego,

gdyż warstwa miodu (czy jakiegoś innego lepkiego płynu) najzupełniej zabezpieczy skórę na czaszce od drażniącego dotyku muszych łapek.

W zamian za to — powtórzona parę razy dziennie, może w krótkim czasie całkowicie oczyścić mieszkanie z much. Jest to lepsze od siatek w oknach, które, bądź co bądź, tamują dopływ światła i powietrza.

I, co jest również nie bez znaczenia, pozwala w bardzo praktyczny sposób wyzyskiwać łysinę, uważane dotychczas jako coś absolutnie nieużytecznego.

Na psychikę ludzi łysych może to mieć wpływ bardzo dodatni. Znajdą się zapewne i tacy, którzy od tej chwili dopiero poczują się użytecznymi członkami społeczeństwa.

Nie przeceniam doniosłości tych dwóch skromnych rad na lato, z którymi pozwoliłem sobie tu wystąpić, ale myślę, że zastosowane w życiu, mogłyby się trochę przyczynić do uprzyjemnienia wakacji naszym letnikom.

KWIATEK.

Przed laty, kiedy umysł ludzki był jeszcze skłonny do niewinnych, sielankowych rozrywek, najrozmaitszym kwiatom ponadawano symboliczne znaczenia. Fijołek oznaczał skromność, lilia — niewinność, tulipan — dumę, czerwona róża — miłość, bratek — wierność i t. d. Dziś, kiedy tak obrazowy sposób wyrażania swych uczuć nie bawiłby już nas zapewne, staroświecka owa symbolika poszła w zapomnienie. Ale na jej miejsce powstała nowa. Mianowicie — pod wpływem rozwoju instynktów społecznych wszystkie kwiaty stały się symbolami filantropii i ofiarności publicznej.

Odbiło się to nawet w potocznej mowie, w której coraz rzadziej rozróżniamy poszczególne gatunki kwiatów. Nie mówi się: „dziś sprzedają tulipan na umysłowo-chorych, a dziś szarotkę na wdowy i sieroty po ofiarach taternictwa“ — tylko ogólnie:

— O... do dyabła! dziś znów sprzedają kwiatek.

W Warszawie niepodobna sobie wyobrazić od pewnego czasu niedzieli ani święta bez kwiatka. Od wiosny do jesieni wyczerpujemy wszystkie okazy flory krajowej. Pod tym względem Warszawa stanowczo zajmuje pierwsze miejsce wśród licznych stolic europejskich. Co zresztą bardzo jej się chwali. Na wstępie muszę odrazu powiedzieć, że daleki jestem od jakiegokolwiek zamiaru ironizowania kwiatka. Przeciwnie, chciałbym tu wskazać nowy sposób wyzyskania tego ładnego zwyczaju już nie dla celów filantropii, ale dla higieny i sportu.

* * *

Nie wszyscy ludzie mogą na lato wyjeżdżać. Trudne warunki współczesnego życia sprawiają, że wielu z nas przez cały rok musi pozostawać w mieście. Przyczynia się to bardzo do rozwoju neurastenii. Znakomitym przeciwko niej środkiem są wszelakiego rodzaju sporty, ale, niestety, neurastenia przychodzi zazwyczaj wcześniej, niż ta świadomość, tak, że z chwilą, gdy człowiek zaczyna odczuwać potrzebę sportu, nie ma już dostatecznej siły woli, aby piękny swój zamiar wprowadzić w wykonanie.

Zdenerwowanym pracą biurową i zdemoralizowanym restauracyjno-kawiarnianym trybem życia

mieszkańcom miast potrzebaby sportu, któryby im się sam narzucał.

Otóż sport taki istnieje. Należy tylko połączyć umiejętnie dwie nowe idee, jakie przyniosły nam ostatnie czasy, mianowicie: skaut i kwiatek.

1) I bardzo pożyteczne i zdrowe ćwiczenie będzie się przedstawiało tak:

Obrać sobie jakiś punkt wyjścia (obóz), np. bramę, wiodącą z ogrodu Saskiego na Marszałkowską. Następnie, zakomenderowawszy w myśli: „raz, dwa, trzy“, równym, miarowym krokiem ruszyć naprzód. Przejść Marszałkowską do Bagateli, Bagatelą do Alei Ujazdowskich, Alejami, Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem do placu Zygmunta, z Placu Zygmunta przez Podwale i boczne ulicami do ogrodu Krasińskich, z ogrodu Krasińskich drogą, odbywaną zazwyczaj przez pogrzeby (tylko idąc oczywiście w przeciwnym kierunku) na Plac Teatralny, z Placu Teatralnego przez Niecałą do Saskiego ogrodu i do bramy, wiodącej na Marszałkowską, to znaczy do obozu.

2) Całą tę drogę (tu się zaczyna dopiero właściwy sport) starać się przebyć tak, aby ani razu nie dać się zbliżyć do siebie na odległość propozycji (mniej więcej półtora łokcia do dwóch) panienkom, sprzedającym kwiatek.

Wolno jest przechodzić z chodnika na chodnik, w miejscach postojów dorożek i automobi-

łów kryć się za dorożki i automobile, w razie potrzeby nawet kucać pod końmi, natomiast absolutnie jest zakazane chowanie się do bram. — Miejski skaut, któryby, dopuściwszy niebacznie do siebie kwiaciarki, ukrył się w ostatniej chwili przed niemi w bramie kamienicy, dopuszcza się ciężkiego wykroczenia przeciwko regułom marszu i honoru sportowego wogóle.

Zważywszy zaznaczoną już powyżej, specjalnie warszawską obfitość kwiatków, zabawie tej możnaby się oddawać regularnie przez całe lato co niedzielę i święta. Nie ulega też kwestyi, że w razie odpowiednich starań ze strony amatorów najrozmaitsze nasze instytucje społeczne, potrzebujące poparcia ogółu, zgodziłyby się chętnie na urządzenie dodatkowych kwiatków w godzinach pozabiurowych w tygodniu.

Nad korzyściami takiego sportu dla zdrowia zbyt niechyba rozwodzić nie potrzeba. „Kwiatkowskaut“ (tak pozwoliłbym sobie tę zabawę nazwać), pomijając już wszystkie zalety pieszego sportu, rozwijałby niesłychanie pewność oka, zimną krew, dar błyskawicznej orientacji.

Nad wszystkimi innymi sportami posiadałby tę niezaprzeczoną wyższość, że nie wymagałby ani specjalnych strojów, ani przyrządów, ani jakichkolwiek wydatków. Byłby to sport tani w całym tego słowa znaczeniu.

Jestem przekonany, że po jednym sezonie takich ćwiczeń najbardziej wycieńczony neurastenik nabrałby zdrowia, cery i humoru. Świat począłby mu się wydawać lepszym, praca obowiązkowa przestałaby go nużyć, najrozmaitsze drobiazgi denrowować. I przez wdzięczność, do końca życia stałoby już kupował kwiatki co niedzielę i święto.

PAWI OGON.

Profesor Petrażycki zamieścił w jednym z pism rosyjskich krytykę wywodów ks. Pranajtysa w głośnym procesie kijowskim. To oburzyło do najwyższego stopnia *Nowoje Wremia*. *Nowoje Wremia* jest pismem znakomicie prowadzonym i, gdy trzeba wymyślać, znajduje talenty na zawołanie. Tym razem profesorowi Petrażyckiemu nawymyślał niejaki pan Rozanow. Ale cóż to jest nawymyślać jednemu człowiekowi, choćby ten człowiek był uczonym i profesorem? Nic. Nie warto się fatygować po prostu. To też pan Rozanow nawymyślał odrazu całej nauce polskiej.

Zdaniem pana Rozanowa, nauka polska ma pawi ogon i ciekawa jest tylko od ogona, a nie od głowy. Co to symboliczne porównanie ma znaczyć — nie wiem. Przypuszczam, że pan Rozanow nie wie również i że ani jeden z jego kolegów redakcyjnych nie potrafiłby tego wytłómaczyć. Ponieważ spór profesora Petrażyckiego z księdzem Pranajtysem powstał na tle talmudycznym,

a talmud odznacza się zawilnością stylu, więc może pan Rozanow, chcąc, aby jego napaść na naukę polską miała choć cień jakiegokolwiek związku z kwestyami kabały i „szulchan-aruch“, postanowił wyrażać swe myśli za pomocą talmudycznych parafraz. Taka jedna hipoteza tylko przychodzi mi na myśl.

Ale mniejsza o to. Dotychczas na ogoniaste i nieogoniaste dzieliły się małpy. Pan Rozanow wprowadza tę klasyfikację do nauk. Przypuśćmy, że ma słuszność, że symbolicznie naukę polską można sobie wyobrazić w postaci jakiejś istoty, obdarzonej pięknym pawim ogonem.

Nasuwa się teraz kwestya, z której strony ta postać będzie ciekawsza: od głowy, czy od ogona? Jest to kwestya, na którą my, Polacy, odpowiedzieć bezstronnie nie potrafimy, ponieważ sami nauki nasze studujemy od głowy, pozostawiając okolice ogona różnym amatorom w rodzaju pana Rozanowa. Niech się w nie wpatrują!

Ale jest rzecz inna: stosując tę samą metodę badań do ludzi, musimy przyznać, iż współpracownicy tak troskliwie zajmującego się wiecznie naszymi sprawami organu są ciekawi przedewszystkiem od głowy.

Niema w tem żadnej ukrytej myśli, przenośni, łatwej złośliwości. Mówię szczerze, bo mi *Nowoje Wremia* imponuje.

Pismo to nie odznacza się dla nas sympatya, Ale uważam, że względem przeciwników należy być przedewszystkiem lojalnym i jeśli jest co sprawiedliwego do oddania — oddać.

Tem bardziej, jeśli są to przeciwnicy nieszczęśliwi. A nie wiem, czy można sobie wyobrazić egzystencję bardziej ponurą od tej, jaką prowadzą współpracownicy *Nowego Wremi*. Przecież tygodnia niema, ale co tygodnia, trzech dni niema, żebyśmy my, Polacy, nie mówiąc już o innych *inorodcach* w państwie, nie dostarczyli im jakiego powodu do ciężkiej troski. W takich warunkach najodporniejszy człowiek może dostać ulania żółci.

Oczywiście nie byłem nigdy w redakcyi *Nowego Wremi*. Ale, sądząc z tonu artykułów, pełnych to gniewu, to rozpaczy, wyobrażam ją sobie jako jakiś posepny lokal, w którym siedzą przy stolikach ludzie wychudli, bladzi, strawieni gorączką... Skrzyp piór i stukot maszyn do pisania przerywa kiedy niekiedy jakieś bolesne westchnienie. Ktoś się zrywa i poczyna biegać po pokoju, gryząc gorączkowo paznokcie. Ktoś inny wydziera włosy z głowy i wraz z podartemi kartkami rękopisu ciska je do kosza redakcyjnego. Naraz krzyk. Referent od Polaków spadł z krzesła ze spazmatycznym płaczem:

— Nie, nie, ja już nie mogę!

Zapewne — są ludzie wytrzymali i silni. Co

do mnie, gdyby mi tak codzień kazano się martwić i wymyślać, po miesiącu uciekłbym do dyabła, rzekł się dochodów, ambicyi pisarskich, byle tylko nadszarpane nerwy ratować.

A ci ludzie piszą. Latami piszą. I jak!

Weźmy chociażby dla przykładu ten ostatni artykuł, o którym mowa: napaść na naukę polską i profesora Petrażyckiego. Jak to jest wymyślane! Jaka w tem jędrność, prostota i logika... Czuć, że autor nie wyszukiwał obelg w słowniku, że się nie namyślał nad ordynarnemi porównaniami. Wszystko to samo płynęło mu pod pióro.

Wielki jest w tem kunszt.

Ludziom niefachowym się zdaje, że niema nic łatwiejszego, jak napisać artykuł i nawymyślać w nim komuś, czy czemuś. Nic fałszywszego nad takie przypuszczenie. Nie zapominajmy, że żyjemy w czasach, które wogóle nie sprzyjają rozwojowi umiejętności prawdziwego, porządnego wymyślenia. Składa się na to mnóstwo przyczyn: literatura, nauka, sztuka, wychowanie domowe, słowem, to wszystko, co oznaczamy jednym, ogólnem mianem kultury.

A wpływ tej kultury, aczkolwiek często nieuchwytny, jest tak zjadliwy, że wystarczy poprostu, aby człowiek nauczył się czytać i pisać i już mimo najszczerzejszej chęci, nieraz przez całe życie nie może się z niego otrząsnąć. A cóż dopiero mówić, jeśli

przez jakie szkoły przeszedł. Wtedy jest już zdeprawowany doszczętnie. Zdaje się na pozór, że się prawie niczem nie różni od tych kosmatych istot, które oglądamy w podręcznikach antropologii z podpisem: „człowiek jaskiniowy“ — sam może nawet w to naiwnie wierzyć, ale niech się jaka okazyja nadarzy, ot, choćby chęć nawymyślenia bliźniemu, a wnet okaże się, że jest już innym człowiekiem. Czas robi swoje.

Jakiej więc odporności ducha potrzeba, aby mózgię otrząsnąć z tych wszystkich naleciałości, aby mózgię czarowną siłą obelg i przezwisk oderwać nas od burżuazyjnej szarzyzny dzisiejszych cywilizowanych czasów i przenieść w dawne, jaskiniowe światy. To rozbiera. I dlatego, czytając wymyślenia *Nowego Wremi*, zapomina się nawet nieraz o tem, że to wszystko nas dotyczy. A jeśli się weźmie jeszcze pod uwagę, że ten kult wielkiej, klasycznej tradycyi wymyślenia uprawiają ludzie, żyjący w tak ciężkich udrękach moralnych, mimowoli budzi się dla nich podziw. I chce się powiedzieć:

— Panowie, my nie wiemy, czy nauka polska ma pawi ogon, ale jeśli wy go się dopatrujecie, to wpatrujcie się w niego, oglądajcie go z najrozmaitszych stron, i niechże to wszystko, co tam ładnego zobaczycie, służy wam ku osłodzie waszej smutnej redakcyjnej pracy.

PEDAGOGICZNE ZNACZENIE NIEDZIELI.

Niedziela jest dniem święta i wypoczynku u wszystkich narodów, z wyjątkiem Izraelitów i mahometan. Izraelici obchodzą niedzielę w sobotę, czyli o dwadzieścia cztery godziny wcześniej, niż my. Jest to zupełnie normalne, skoro się weźmie pod uwagę niecierpliwy i gorączkowy charakter rasy. Mahometanie obchodzą niedzielę w piątek. Na pozór więc mogłoby się zdawać, że jeszcze wcześniej, niż Izraelici. Ale jest to złudny pozór tylko. Niedziela mahometańska wypada nie już w piątek, ale dopiero w piątek, czyli o cztery dni później, niż nasza. Jest to w najzupełniejszej zgodzie z powolnym i opieszałym charakterem rasy.

Wbrew utartemu przekonaniu, że każdy naród bawi się inaczej, pozwolę sobie zauważyć, że ludzie różnią się od siebie przy pracy, ale na całym świecie są mniej więcej jednakowi podczas zabawy i wypoczynku. Dlatego też rozmaite wielkie miasta europejskie, tak różne od siebie w dni powsze-

dnie, upodobniają się w niedzielę. W niedzielę sklepy są pozamykane, natomiast na ulicach widzi się całe tłumy ludzi w odświętnych garniturach. Dość przez chwilę ich obserwować, aby od razu rzucił się w oczy pierwszy charakterystyczny rys święta. W dni powszednie człowiek dominuje nad ubraniem, w niedzielę — ubranie nad człowiekiem. Gdyby krawcy mogli mieć chorobliwe wizye, co, jak dotąd, jest wyłącznym przywilejem poetów, prawdopodobnie niedziela przedstawiałaby się im w wyobraźni jako dzień buntu gotowych garniturów, które, znudzone całotygodniową niewolą po wystawach sklepowych, czynią inwazyę na miasto. Każdy rzuca się na pierwszą lepszą ofiarę ludzką i każe tryumfalnie przez cały dzień po ulicach obnosić. Czy najprzestronniejsza z tych ulic nosi nazwę Pól Elizejskich, czy Alei Ujazdowskich, to już jest rzeczą drugorzędną i przypadkową...

Drugim konwenansem niedzielnym są wycieczki zamiejskie. Narzuca to każdemu miastu obowiązek tak zwanych okolic, to znaczy restauracyi, posiadających dogodną tramwajową, czy kolejową komunikacyę z miastem. Stosownie do tego reguluje się „malowniczość“ danych okolic. Dla ścisłości zauważyć należy, że na malowniczość tę mogą się składać jeszcze i różne inne cechy (lasy, wody, falistość gruntu i t. d.), ale te inne cechy występują na jaw tylko w dni powszednie. W nie-

dzielę przyroda pod Paryżem, pod Berlinem, czy pod Warszawą jest absolutnie jednakowa. Głównymi jej elementami stają się na ten dzień stare gazety, potłuczone butelki, pudełka od sardynek... Nie można powiedzieć, aby las, upstrzony tem wszystkim, nie posiadał pewnego rodzaju wdzięku. Przeciwnie, stanowi to nawet łagodne przejście od sztuczności miejskiej do dzikiej żywiołowości przyrody.

Uwieńczeniem niedzieli jest powrót wieczorem do miasta. I to na całym świecie odbywa się według jednych i tych samych praw. Wycieczkowiczów jest zawsze za wiele, a wagonów za mało. Pomiędzy godziną dziewiątą a jedenastą wieczorem, w niedzielę, na całym kontynencie europejskim, po polsku w Warszawie, po francusku w Paryżu, po rumuńsku w Bukareszcie, rozlegają się narzekania, że „takie porządki tylko u nas są możliwe“.

Owe skargi więc, które dość często daje się u nas słyszeć: „A, Warszawie brak ładnych okolic“, albo: „Takich fatalnych komunikacyi, jak u nas, na całym świecie chyba niema“ — w gruncie rzeczy są dość naiwne.

W dni powszednie okolice podmiejskie są dostępne tylko dla nielicznej garstki próżniaków, nad którymi nie mamy chyba powodu się roztkliwiać, a niedziela, która jest dniem wypoczynku dla szerokich mas pracujących, jest zarazem tym jednym jedynym dniem w tygodniu, w którym

stoimy na poziomie kultury zachodniej. Nasz niedzielny wycieczkowiec wraca tak samo nieludzko zmordowany, jak i jego paryski kolega.

I w tem tkwi poważne, wychowawcze znaczenie niedzieli. Ludzie, zarabiający w ten, czy ów sposób własną pracą na życie, posiadają zazwyczaj tendencję do przeceniania wartości próżniactwa. Ileż to razy słyszy się utyskiwanie: „A, mój Boże, gdybym był bogaty i mógł nic nie robić!...“ Jest to kierunek myśli, który może doprowadzić do bardzo niepożądanych rezultatów. Na szczęście istnieje psychologiczna kłapa bezpieczeństwa, jeśli tak można powiedzieć, w postaci niedzieli i niedzielnych rozrywek. Gdy taki człowiek, trochę niezadowolony z losu, trochę zazdroszczący możliwym ich dostatkowi, ustroi się w niedzielę w nowy garnitur i, przyszedłszy do natłoczonej kawiarni, przez cały czas myśli o tem tylko, aby go kelner przez nieuwagę czem nie oblał, albo, gdy wybierze się na wycieczkę zamiejską i zazna wszystkich udręk i niewygód tej tradycji odpoczynkowej, wówczas, mimowoli, budzi się w nim obrzydzenie do świętowania, któreby było tylko jednym pasmem majówek i bójek przy tramwajach, i z radością wita powrót do dni powszednich i pracy.

I w tem umoralnieniu pojęć właśnie, a nie w problematycznym wypoczynku, tkwi najgłówniejsze pedagogiczne znaczenie niedzieli.

BIURO INFORMACYJNE KOLEI WIEDEŃSKIEJ.

Dbaly o dobro publiczności nowy zarząd kolei wiedeńskiej otworzył na dworcu w Warszawie „Biuro informacyjne dla podróżnych“. Zawiadomienia o godzinach działalności biura zredagowano w trzech językach: po rosyjsku, po francusku i po niemiecku. Języka polskiego zarząd kolei nie uwzględnił.

Natomiast pasażerowie Rosyanie, jeżdżący koleją wiedeńską, przemawiają czasami po polsku. W tych dniach wracałem ze Szwajcaryi do Warszawy. W Aleksandrowie wsiadł do przedziału, w którym jechałem, jakiś stary lekarz wojskowy. Rozejrzawszy się po sąsiadach, złożył ręce, jak do modlitwy i odezwał się łamaną polszczyzną:

— Nu, aby tylko Pan Bóg dał szczęśliwie do Warszawy dojechać...

Znać było, że wypowiedzenie tego zdania po polsku sprawiało mu trudność, ale zmuszał się

nieborak do obcego języka, chcąc na wypadek nieszczęścia zaskarbić sobie sympatyę polskich towarzyszków podróży.

Przyznam się, że przeszedł mię lekki dreszczyk, kiedym to modlitewne życzenie usłyszał. Przez całe Niemcy, aż do granicy, jechałem wesoło i wszystko raczej mogło mi być przyjść na myśl, tylko nie to, żeby robić akt skruchy i rachunek sumienia. Nawet formalności graniczne w Aleksandrowie nie zdołały stłumić we mnie tej lekko-myślnej pyszałkowatości. Zdawało mi się, kiedym przez półtorej godziny czekał na paszport w wielkiej, mrocznej sali, że jestem emigrantem, wysyłanym przez „Canadian Pacific“ do Ameryki, no, ale od tego do śmierci w mękach jeszcze daleko. Dopiero owa polszczyzna lekarza wojskowego uprzytomniła mi całą posępną grozę rzeczywistości...

Dzięki Bogu skończyło się na strachu. Tego dnia nie było katastrofy na kolei wiedeńskiej. Trafiłem na wyjątkowy dzień — moje szczęście, ale com się nabał, tom się nabał. I tego wcale się nie zapieram. Naogół nie uważam się za tchórza, ale są sytuacje, w których najodważniejszy człowiek z lekkim sumieniem może sobie na strach pozwolić.

Do takich sytuacji należy podróżowanie koleją wiedeńską. Katastrofy na tej miłej linii stały się

już czemś zupełnie normalnem. Jeszcze trochę, a zarząd pocznie je oznaczać na rozkładach jazdy. Gwiazdka przy godzinie odejścia pociągu będzie oznaczała zwykle wykolejenie, dwie gwiazdki doświetlone rozbicie się wszystkich wagonów.

Trzeba mieć dużo humoru, aby w tych warunkach zakładać Biuro informacyjne dla podróżnych.

Bo jakimi informacjami ma to biuro podróżnym służyć?

Jeśli temi, jakie zazwyczaj w zakres informacji kolejowych wchodzi, no to na dyabła się to nie zdało. Bo cóż mi z tego, co mi urzędnik powie po rosyjsku, po francusku, czy po niemiecku, że pociąg przychodzi tam a tam, o tej i o tej godzinie, skoro ten pociąg po drodze się rozbija i wcale nie przyjdzie. Przypuszczam raczej, że powinien to być rodzaj popularnych kursów, pouczających, jak się zachowywać na wypadek nieszczęścia. Na kolejach francuskich na nocne pociągi wynajmują pasażerom poduszki. Dobrzeby było, aby, przystosowując ten praktyczny obyczaj do naszych trochę odmiennych warunków, nowe biuro informacyjne kolei wiedeńskiej miało zawsze na składzie pewną liczbę środków opatrunkowych, bandaży i t. p., któreby za odpowiednią opłatą można podróżnym wynajmować.

Poza tem informacye w owem biurze takbym sobie wyobrażał:

Pasażer (wchodząc). — Najmocniej szanownych panów przepraszam, chciałbym się wybrać do Pruszkowa.

Urzędnik (po rosyjsku, po francusku, lub po niemiecku). — Do Pruszkowa?... Dobrze... Dziś jest dobry dzień, żeby do Pruszkowa jechać. Wczoraj była wielka katastrofa, tak dziś pociągi będą szły ostrożnie, powolutku.

Pasażer (uradowany). — Doprawdy? Więc nic nie ryzykuję?

Urzędnik. — Nic... nic... Co za naród jakiś! Chciałby z Warszawy jechać do Pruszkowa i nic nie ryzykować. Mówię, że dziś będzie bezpiecznie. Co najwyżej małe wykolejenie... złamanie nogi, zebra, głupstwo.

Pasażer. — To i środków opatrunkowych nie potrzeba.

Urzędnik. — No... nie... bandażę niech pan weźmie. Zawsze lepiej. I nogi trzymać na ławce.

Pasażer pocieszony wychodzi. Urzędnik troskliwy woła za nim:

— I nic ciężkiego nie kłaść na siatkę!

Tak postawione biuro mogłoby dopiero naprawdę przynieść podróżującej publiczności korzyść. Ale jest to dopiero tylko pobożne życzenie. Na razie biuro będzie się ograniczała zapewne do

informacji ściśle kolejowych w utartem zachodnio-europejskiem tego słowa znaczeniu. A póki tak sprawa stoi, to nie mamy nawet czego żałować, że język polski został przez biuro pominięty... Przeciwnie, możemy mieć nawet trochę złośliwej uciechy, że to nie nas, tylko cudzoziemców będzie biuro „brało na kawał“.

NASZ EKSPORT.

Jak nasz handel wywozowy z roku na rok coraz pomyślniej się rozwija, dowodem następujący fakt:

Przed tygodniem w kawiarni przy ulicy Królewskiej policja aresztowała kilkudziesięciu handlarzy żywym towarem. Przy tej okazji pisma codzienne doniosły, iż w Królestwie bawi obecnie kilkuset przedstawicieli tej intratnej gałęzi handlu, którzy przyjechali do nas z Argentyny przed sezonem po zakupy. Tak, jak od nas, właścicielki mód jeżdżą po nowości wiosenne do Paryża.

Mało się znam na handlu wogóle, a na handlu żywym towarem — wcale. Nie wyobrażam sobie jednak, aby najskromniejszy nawet przedsiębiorca ryzykował daleką, kosztowną i niebezpieczną wyprawę za ocean dla jakiejś jednej tylko istoty. Aby mu się podróż opłaciła, musi chyba liczyć co najmniej na pięć do dziesięciu okazów, czyli, że skoro w tym sezonie mamy panów kupców

kilkuset, to znaczy, że możliwość eksportu obliczają oni na parę tysięcy sztuk.

Dobre musiały być urodzaje w tym roku w Argentynie!

Przypuśćmy nawet, że jest to sezon wyjątkowo dla nas pomyślny. Ale handel żywym towarem w Królestwie nie wyczerpuje jeszcze całego handlu ludźmi u nas. Aby mieć pełen obraz tego ruchu, konieczne trzeba wziąć pod uwagę do dziś dnia głośną jeszcze sprawę „Canadian Pacific“ w Galicyi.

To dopiero pozwoli nam sobie uprzytomnić, jak rozległe horyzonty otwierają się przed naszym eksportem. I w każdym poważniejszym umyśle musi się zbudzić zapytanie: czy podołamy temu zaufaniu, jakim nas Ameryka darzy?

Bezpośredniego niebezpieczeństwa na razie może — niema. Na ten rok podołamy. Ale chodzi o przyszłość.

Poglądy nasze ekonomiczne, zwłaszcza w dziedzinie stosunków handlowych z zagranicą, cechuje, niestety, pewnego rodzaju zaśniedziałość. Przywykliśmy wciąż jeszcze uważać Królestwo za to, czem było kilkadziesiąt lat temu — a więc za kraj, gdzie można sobie żyć, jeśli nie jak u Pana Boga za piecem, to w każdym razie, jak w ciepłej izbie przy cyrkule — nie ruszając się z miejsca.

W ostatnich zaś latach stosunki zmieniły się zasadniczo. Przedewszystkiem Afryka, jako centrum handlu ludźmi, straciła najzupełniej dawne swe znaczenie. Ulegając ewolucyi, stosownie do zmienionych form życia, handel ten przeniósł się na rynki europejskie, aż wreszcie skoncentrował się najzupełniej w Galicyi i Królestwie.

Nastąpił przytem bardzo ciekawy podział: Galicya dostarcza siły pociągowej — mężczyzn, a my przedmiotów zbytku — kobiet. I oba te rynki są już na całym świecie — bezkonkurencyjne. O tem, aby nam Niemcy, Francya, albo Anglia, ten artykuł handlu dziś odbiły, mowy już nawet być nie może. Choćby nawet odpowiednie rządy owych państw starały się sztucznie ten ruch do siebie skierować, możemy być przekonani, że na próbach tylko się skończy. Rynków tego rodzaju nie tworzy się na zawołanie za pomocą dyplomatycznych i ekonomicznych wykrętów. One muszą mieć grunt w życiu.

My ten grunt mamy. Mamy taką ilość analfabetów, jaką żaden kraj w Europie poszczycić się nie może — dalej do tego poziomu umysłowości potrafiliśmy tak przystosować stosunkowo świeże jeszcze tradycje epoki wolnościowej, że to dla żywego naszego eksportu wytworzyło atmosferę wprost idealną.

Nawet więc przy naszej ekonomicznej inercyi o utraceniu tej placówki na świecie na razie mowy jeszcze być nie może.

Ale chodzi o to, żeby nie dopuścić do gospodarstwa rabunkowego.

W Galicyi widzimy już pierwsze kroki na tem polu. Wpłynęła na to, co prawda, nie tyle troska o normalny rozwój naszego rynku, co uboczne, militarne względy. Ale mniejsza o to, skoro rezultaty na jedno wychodzą. Rząd ujął w swe ręce i postanowił unormować sprawę wywozu, stosując system nie ceł ochronnych, ale „kozy ochronnej“ — daleko praktyczniejszy w tym wypadku. System ten i nasza policya stosuje również z powodzeniem. Świeżo trzydziestu dziewięciu „argentyńczyków“ z należnemi owacyami osadzono w kozie. Można się domyślać, że w nadchodzącym karnawale nie tylko w salonach, ale i w więzieniach warszawskich najmodniejszym tańcem będzie tango.

Sprawa to jest jednak dla nas tak ważna, że lekkomyślnie byłoby może całą troskę o niej pozostawiać wyłącznie policyi. Tu i społeczeństwo musi działać samo.

W przeciwnym razie grożą nam niemiłe powikłania. Wyobraźmy sobie, że parę lat z rządu w Ameryce będzie dobrych i że w stosunku do tego popyt na nasz „towar“ będzie wciąż wzrastał.

Przy nieopatrzmem, rabunkowem gospodarstwie może się w końcu wytworzyć sytuacja taka, że wobec panów kupców, którzy do nas z Argentyny przyjadą, staniemy z pustemi rękami.

Mniejsza już nawet o to, że Amerykę zawód spotka, ale z czego będą żyli ci wszyscy panowie Szulimowie Laccy, Żytniccy, Cejlonowie, Dyszelbaumowie i t. d. i t. d. — wszyscy ci pionierzy naszych stosunków handlowych z Ameryką, którzy mężnie i odważnie przepływają niebezpieczne oceany, byle tylko nowe rynki dla naszych żywych produktów znaleźć.

Przecież nie dopuścimy do tego, aby mogli powiedzieć, że ta Polska, o której oni nawet na drugim końcu świata — w Argentynie nie zapominają, okazała się wobec nich niewdzięczną.

ŚWIAT DUCHOW.

Spędziłem niedawno wieczór na seansie spirytystycznym. W Warszawie seanse te znów weszły w modę i zyskują coraz liczniejszych zwolenników w licznych sferach naszej inteligencji, co bardzo korzystnie wpływa na rozwój i ożywienie stosunków z przedstawicielami inteligencji zagrobowej. Był czas, żeśmy stosunki te zaniedbywali. Na usprawiedliwienie to chyba tylko możemy przytoczyć, że codzienne troski i specjalnie nerwowe warunki życia pozbawiały nas tej pogody umysłu, jaka jest nieodzownym warunkiem przyjemnego i pożytecznego obcowania z duchami. Zwrot obecny jest więc bardzo pocieszający i świadczy o znacznem wypogodzeniu się naszej umysłowości.

Znam ludzi sympatycznie skądinąd dla sprawy spirytyzmu usposobionych, ale którzy na seansach nie bywają, obawiając się rzekomo silnego wrażenia.

Przesąd! Obcowanie z duchami nie tylko nie jest straszne, ale przeciwnie bardzo miłe i pełne swoistego wdzięku. Gasi się światło, towarzystwo zasiada przy stoliku, wszyscy biorą się za ręce, stykają kolanami i zaczynają chórem śpiewać jakąś prostą a melodyjną piosenkę — n. p.: „Chciało się Zosi jagódek“. Jest to konieczne, aby przygotować mózg do przyjmowania spirytystycznych wrażeń. I jako metoda — świetne. Kiedy się tak po ciemku piętnaście albo dwadzieścia pięć razy z rzędu odśpiewa „Chciało się Zosi jagódek“, najbardziej zmateryalizowane mózgi nabierają od razu, jeśli tak można powiedzieć, mistycznej giętkości.

Gdy towarzystwo jest już należycie „ześpiewane“ (termin ten może się wydać komuś niezwykłym, ale w spirytyzmie wogóle wszystko jest niezwykłe), wówczas z pośrodku stołu rozlega się suchy trzask. Ma to takie znaczenie, jak w zwykłych życiowych warunkach odgłos elektrycznego dzwonka w przedpokoju. Oznacza przyjście gościa.

Tylko — tym gościem jest duch. I to nie byle jaki: Napoleon, Kopernik, Galileusz albo Aleksander Macedoński. Czasem stolik wypukuje jakieś imię popularne, a nie posiadające wszechświatowej sławy, n. p. Barbara.

W takich wypadkach ktoś z uczestników seansu obwieszcza zaraz, że imię Barbary nosiła, przy-

puścmy, ś. p. siostra jego babki. Na pochwałę spirytystom zaznaczyć należy, że w stosunkach ich z duchami niema ani cienia snobizmu. Napoleon czy Sobieski, bez względu na korony, jakie za życia zdobyły ich czoła, bywają identycznie tak samo przyjmowani, jak i skromna pani Barbara. Do duchów przemawia się zawsze w drugiej osobie.

— Czy możesz mi odpowiedzieć na pytanie, jakie ci zadam w myśli?

— Mogę — odpowiada duch.

I po chwili stolik wypukuje odpowiedź:

— Piau.

Wszystkich ogarnia łatwo zrozumiałe wzruszenie. Duch powiedział „Piau“ — czyż to nie jest niezbitym dowodem możliwości komunikowania się ze światem zagrobowym?

Ale naogół duchy nie bardzo lubią mówić. Może dlatego, że sam proces mówienia jest dla nich dość uciążliwy i żmudny. Raz po raz trzeba recytować cały alfabet. Przy odpowiednich literach stolik uderza nogą w podłogę. W takich warunkach zwykła towarzyska rozmowa zajęłaby co najmniej ze dwa tygodnie czasu.

Duchy wolą więc manifestować swoją obecność czynami. Nie można jednak powiedzieć, aby zbyt wiele wysilały na to fantazyę. Czyny te są zawsze mniej więcej jednakowe, a więc: układanie foteli

na stoliku, wtykanie uczestnikom seansu palców w oczy, szczypanie, drapanie, dmuchanie, wreszcie, o ile jest fortepian w domu, brząkanie po strunach, wewnątrz zamkniętego pudła. Ten objaw ostatni, aczkolwiek bardzo ciekawy, zazwyczaj bywa mniej mile widziany, przez właścicieli mieszkania, jako że fortepian jest instrumentem kosztownym i trudnym do naprawy.

Najciekawszą stroną seansów spirytystycznych jest to, że pozwalają się nam zbliżyć do świata zagrobowego i zapoznać się choć pobieżnie z psychiką istot, zamieszkujących ten świat. I wówczas dopiero zdajemy sobie sprawę, jak błędne i pełne fantastycznych uprzedzeń były nasze ponure wyobrażenia o duchach, jakimi nas od dzieciństwa karmiono.

W gruncie rzeczy niema istot weselszych, niż duchy. Jeśli gdzie, to tylko tam w czwartym wymiarze można się jeszcze spotkać z prawdziwym, niefrasośliwym humorem.

Czy Napoleonowi, albo Dantemu przysłoby do głowy za życia, aby w towarzystwie ludzi rozumnych i dobrze wychowanych dmuchać komuś w ucho, albo szczypać go w nos?

Napewno — nie. Na ziemi tylko jakiś dziesięcioletni urwis mógłby sobie na taki żart pozwolić, ale wówczas takby dostał w skórę, że napewno na drugi raz odechciałoby mu się tych żartów.

Przykład ten dostatecznie chyba wyjaśnia, na czem polega wyższość duchów nad ludźmi. A niepodzielną zasługą tego odkrycia zarówno ważnego dla nas pod względem moralnym, jak i praktycznym, w zupełności należy przypisać spirytystom. Bardzo dobrze więc się stało, że inteligencja warszawska znów zaczyna powracać do zaniedbanego przez pewien czas spirytyzmu.

WYTWORNE DOROŻKI.

Przed jakimiś trzema tygodniami, a może i dawniej, wyczytałem w *Kuryerze Warszawskim* sensacyjną nowinę o nowej, wytwornej dorożce, jaka się ukazała na ulicach Warszawy. Potem oglądałem fotografię tej dorożki w *Tygodniku*. Przyznam się nawet szczerze, że w głębi duszy byłem trochę zły, że ją *Tygodnik* zamieścił, gdyż obawiałem się, że to odwróci uwagę czytelników od mego felietonu. Ale stłumiłem w sobie to małostkowe uczucie. Ostatecznie — dobro ogółu przedewszystkiem.

Skoro na szerokim świecie ludzie nauczyli się już latać do góry nogami w aeroplanach, czas jest, aby i typ warszawskiej dryndy uległ jakiejś ewolucyi.

Sam dorożki owej nie widziałem. Wciąż się mijamy. Jak ja jestem na Marszałkowskiej, to ona jeździ po Nowym Świecie i odwrotnie. Jeden ze znajomych mówił mi, że widział ją na Chmielnej, ale w to bardzo wierzyć mi się nie chce, gdyż

wątpię, aby nowa i elegancka dorożka odważała się wjeżdżać w ulicę, gdzie na każdym kroku może zawadzić o ścianę jakiegoś domu.

Fotografia, choćby najartystyczniejsza, dokładnego pojęcia o dorożce dać nie może, gdyż kli-sza nie uwydatnia tego, co jest w danym razie bardzo ważne — mianowicie charakteru dorożkacza. Oczywiście przyjdzie czas, że w moich peregrynacjach po Warszawie uda mi się ową dorożkę napotkać i zawrzeć z nią bliższą znajomość. Na razie musi mi wystarczyć świadomość, że jest.

I ten fakt w zestawieniu z innymi budzi we mnie pewnego rodzaju melancholijne refleksje. Zapewne — cenię postęp, rozumiem jego nieubłagane prawa. Ale co innego rozum, a co innego uczucie. Gdy sobie uświadamiam, że już się wzięto do przebudowy teatru Rozmaitości, że za parę lat nie będziemy mieli poczty na ulicy Czerniakowskiej, że z czasem jakiś nowy, wspaniały gmach zajmie miejsce takiego miłego, przytulnego budynku, jakim jest dworzec Nadwiślański — mimo wszelkie rozumowania, że to jest dobre, niezbędne i pożyteczne, wieje ku mnie jakiś chłód od tych obrazów.

Ale co już absolutnie nie może się pomieścić w mojej warszawskiej głowie i na warszawskich uczuciach wykarmionem sercu, to myśl, że na tych ulicach, po których chodzę od dzieciństwa, gdzie

znam nieomal każdy kamień na pamięć, z czasem będą krążyły czyste, eleganckie dorożki.

Co prawda, aczkolwiek postęp jest nieubłagany, ale i Warszawa ma pewną swojską moc wewnętrzną, która jest również nie tak łatwa do zwalczania. Czasem i postęp musi jej ulegać. Weźmy dla przykładu automobile. We wszystkich miastach zachodnio-europejskich kokietują one oczy przechodniów czystością i połyskliwą elegancją. U nas stosunkowo jest ich najmniej jeszcze, ale za to wszystkie są brudne, obdrapane, rozklekotane... Przystosowały się od razu do wymagań tradycji ruchu kołowego warszawskiego.

Może więc i z nowymi dorożkami tak będzie.

Co prawda, nie zmartwiłoby to mnie znów tak bardzo osobiście. Mam świeżo w pamięci historię autentyczną, jaką mi opowiadano przed paru dniami.

Pewna pani, żona zamożnego przemysłowca, wybrała się za sprawunkami. Jakiego rodzaju miały to być sprawunki, nie wiem, ale w każdym razie wchodzące raczej w zakres zbytku, niż koniecznych potrzeb. Padał deszcz — przed domem wsiadła w dorożkę, pierwszą, jaka jej się nawinęła.

Po godzinie, czy dwóch wraca. Spóźniła się na obiad; mąż, trochę zły z tego powodu, wita ją opryskliwie:

Do góry nogami.

— Kupiłeś?...

— Nie...

— Nie mogłeś znaleźć?

— Nie... nie to...

Trochę niewyraźny ton tej odpowiedzi usposobił pana domu podejrzliwie. Zmierzył małżonkę badawczym spojrzeniem.

— A co?

— Ja... ja...

Pani spuszcza oczy, widocznie jest zmieszana i zażenowana. Wreszcie jednym tchem wyrzuca z siebie przyciszonym głosem:

— Ja złożyłam te pieniądze na biednych.

— Na biednych?!

(Była to osoba raczej rozrzutna, niż miłosierna, więc łatwo zrozumieć osłupienie męża).

— Czy ty kpisz ze mnie?... Co to wszystko ma znaczyć?

Kpin w tem nie było. Tylko — jak to pani owa zaraz wytłómaczyła mężowi — gdy wsiadła w dorożkę, widok brudnego wehikułu, nędzarza z batem na koźle i zdychającej szkapy usposobił ją tak ponuro, że straciła od razu chęć do strojenia się i zbyteków. Nędza życia stanęła jej tak jaskrawo przed oczyma, że — wzruszona — zamiast do sklepów po niepotrzebne sprawunki, kazała się wieźć do wydziału ofiar *Kuryera Warszawskiego*.

Fakt ten jest jak najzupełniej autentyczny. Jeśli stare nasze poczciwe warszawskie dryndy mają już być skazane bezpowrotnie na zagładę, niechże im to na pochwałę pójdzie, że umiały czasem kierować ludzi do dobrych uczynków. A jest to trudniej i szczytniej, niż przewieźć kogoś z Marszałkowskiej na Żabią.

EUTANAZYA.

Parlament niemiecki ma się podobno zająć wkrótce sprawą eutanazji. Eutanazja nie jest imieniem kobiecym, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło przez analogię do Eufrozyny i Anastazyi, ale humanitarną ideą, polegającą na uśmiercaniu ludzi nieuleczalnie chorych przez lekarzy. Idea ta znalazła w Niemczech liczne grono zwolenników, którzy pragną uzyskać dla niej sankcję prawną. O ile dojdzie to do skutku, Niemcy staną się rajem dla ludzi nieuleczalnie chorych.

Pomysł eutanazji nie jest nowy. Przypuszczam, że Maeterlinck w głośnym swoim wierszu „Dźwięk instrumentów miedzianych pod oknami nieuleczalnie chorych“ miał właśnie eutanazyę na myśli, aczkolwiek środki, jakie w tym celu proponował, były zbyt prymitywne i hałaśliwe.

Usankcjonowanie eutanazji zmieniłoby zasadniczo stosunek ludzi do nieuleczalnych chorób. Nie należy zapominać, jak ważnym czynnikiem w psychice ludzkiej jest snobizm. Przy eutanazji,

ludzie nieuleczalnie chorzy umieraliby najmodniejszą śmiercią, z zastosowaniem wszelkich wymagań higieny i komfortu. Łatwo sobie wyobrazić, jak kwaśne miny mieliby przytem ludzie uleczalnie chorzy, skazani na banalną, staroświecką śmierć. Prawdopodobnie okazałaby się konieczna kontrola, aby jakieś ambitniejsze jednostki, dotknięte przypuścmy katarem, nie chciały się podszywać pod suchotników.

Eutanazję możnaby stosować zarówno do cierpień fizycznych, jak i moralnych. Przypuszczam nawet, że głośne zajścia w Saverne, w Alzacyi, spowodowane tem, że porucznik Forstner zalecał żołnierzom zabijanie Alzaczyków, nie były niczem innym, jak pierwszą próbą rządowej eutanazji. Humanitarny oficer, wiedząc z doświadczenia, że wielu Alzaczykom już od dawna musiało życie obrzydnać, chciał w ten sposób przynieść im ulgę. Niestety, piękna idea eutanazji słabo jest jeszcze w Alzacyi rozpowszechniona. Ludność nie umiała ocenić intencji oficera i stąd cały hałas.

Przyszłość zrehabilituje oczywiście dzielnego porucznika, na którego prasa całego świata napada dziś w bezmyślny sposób.

Łatwy do przewidzenia jest zarzut, że w eutanazji niema nic nowego, bo odkąd świat istnieje, ludzie, znudzeni życiem, mogli się byli truc, wieszać, topić, rzucać pod automobile (kiedy auto-

mobilów jeszcze nie było, pod zwykłe wozy), skakać z okna na bruk i t. d. Zapewne, ale to wszystko były tylko samobójstwa, a między samobójstwem a eutanazją istnieje ta zasadnicza różnica, że do samobójstwa trudno jest kogoś namówić, nawet choćby to czyniła osoba bliska i zaufana. Co innego, gdy taka namowa przyjdzie na urzędowym papierze, poparta autorytetem wiedzy i biurokracyi. Wówczas, choćby człowiekowi nieuleczalna jego choroba nie dawała się nawet we znaki, odrazu zgodzi się na eutanazję, choćby dlatego, aby się nie narażać na zarzut obskurantyzmu.

Eutanazya wywarłaby z tego powodu ciekawy wpływ na uczucia rodzinne. Ludzie nieuleczalnie chorzy dzielą się na dwie kategorie: takich, którzy nie mają pieniędzy, i takich, którzy je mają. Pierwsi są ciężarem dla najbliższego otoczenia, drudzy nie tylko dla bliższych, ale i dla dalszych spadkobierców. Dotychczas w rodzinach zdarzało się czasem słyszeć takie dyalogi:

Dziaduś (kaszląc): Oj, moje dzieci... źle ze mną. Zdaje się, że już niedługo się rozstaniemy.

Pierwszy wnuczek: Ale co też dziadzio mówi!

Pierwsza wnuczka (płaczliwym głosem): Dziadusi, niech dziaduś tak nie mówi, bo ja... ja... (Płacz nie pozwala jej skończyć zdania).

Drugi wnuczek: Wielka rzecz, trochę kaszlu. Wszystkich nas dziaduś jeszcze przeżyje.

Druga wnuczka: A najlepiej odrazu się terpentyną wysmarować. (Wnuczkowie i wnuczki biegną do okolicznych aptek po terpentynę).

Po uchwaleniu prawa o eutanazji, dyalog ten brzmiałby prawdopodobnie trochę inaczej:

Dziaduś: A... psik!

Pierwszy wnuczek (grobowym głosem): Słyszeliście?

Pierwsza wnuczka: Dziaduś kichnął! To jest nieuleczalne.

Dziaduś: Ależ...

Drugi wnuczek: Nie, dziadusi, my ci się męczyć nie pozwolimy.

Druga wnuczka (przeglądając książkę telefoniczną): Jaki jest numer eutanazji? (Ponieważ w domu jest tylko jeden telefon, a wnucząt czworo, więc troje pozostałych biegnie do najbliższych sklepów, aby telefonować).

U nas propaganda eutanazji słabe, jak dotąd, czyni postępy. Natomiast, wśród ludu zwłaszcza, istnieje dość rozpowszechniony obyczaj mówienia sobie: „A bodaj-eś skonania nie doczekał!“ — czego nie należy rozumieć jako życzenia wyjątkowo długiego życia, ale raczej skomplikowanych mąk

przedzgonnych. Świadczy to o instynktach absolutnie sprzecznych z piękną ideą eutanazji.

Zresztą, czyż nam potrzebne eutanazye sztuczne? Człowiek nieuleczalnie chory może sobie iść poprostu na spacer, wieczorem, po chłodku, gdzieś na ulicę Obozową, albo plac Kercelego i tam mu odrazu taką eutanazyę zrobią, jakiej żaden Niemiec nie wymyślił.

OBROŃCA POLAKÓW.

Często daje się słyszeć narzekania, że coraz mniej mamy na świecie przyjaciół. Być może, ale zastanówmy się nad tem, czy nie jesteśmy sami temu winni. Czy nie robimy wszystkiego, aby zniechęcić do siebie ludzi, którzy są nam oddani szczerze, prawdziwie, całym sercem?

Dla przykładu weźmy ot, chociażby stosunek społeczeństwa naszego do p. Hurki. Ponieważ p. Hurko dołożył wszelkich starań, aby nie dopuścić do używania języka polskiego w samorządzie, okrzykliśmy go odrazu wrogiem. A on tymczasem tylko i wyłącznie dobro nasze miał na względzie.

Więcej nawet. Jak się dowiadujemy z rozmowy korespondenta *Słowa* z dygnitarzem petersburskim, p. Hurko, mając do wyboru interes nasz i interes państwowy, ani chwili się nie wahał, aby nam dać pierwszeństwo.

Z punktu widzenia państwowego samorząd z językiem polskim byłby może pożądanym, ale

inna kwestya, jakby to się odbiło na naszych interesach, na naszej własnej skórze?

Nad kwestyą tą, którą myśmy najzupełniej pominęli, długo, poważnie, a nawet, można powiedzieć, i tkliwie zastanawiał się pan Hurko. I doszedł do wniosku, do jakiego każdy logicznie rozumujący polityk dojśćby musiał. Oto na pozór rzecz tak niewinna, jak trochę języka polskiego w samorządzie, wywołałaby w kraju... nowe powstanie!

Psychologicznie jest to najzupełniej zrozumiałe. Wyobraźmy sobie, że schodzą się ludzie i zaczynają po polsku radzić nad tem, co jest praktyczniejsze: czy makadam, czy bruk kostkowy. Oczywiście, po kwadransie takich rozpraw, jużby wszyscy byli wojowniczo usposobieni.

I dośćby było potem jednej iskry, np. projektu nowej linii tramwajowej, albo zamiany lamp gazowych na elektryczne na ulicy Mylnej, aby ściągnąć na kraj katastrofę nieobliczalną w skutkach.

Od tego wszystkiego uchroniła nas szczęśliwie interwencya p. Hurki.

Bo zresztą, gdy zachodziła tego potrzeba, p. Hurko potrafił występować energicznie w obronie języka polskiego. Opowiadał korespondentowi *Słowa*, że, przed dwudziestu paru laty, gdy był komisarzem do spraw włościańskich w Królestwie, zdarzało się, że sam musiał prosić obywateli, aby

raczyli mówić po polsku, a nie po rosyjsku. A to wtedy, kiedy, podczas roztrząsania jakiegoś sporu z włościaninem, obywatel zaczynał mówić po rosyjsku, nie chcąc, aby chłop go rozumiał. Ale p. Hurko osadzał odrazu z miejsca te jezuickie zapędy:

— Nu... nu... już lepiej po polsku...

Słowem, równocześnie: bronił ludu naszego przed wyzyskiem przebiegłych szlachciców i przywracał językowi polskiemu należne mu prawa. Czy można sobie wyobrazić dalej idący polonofilizm?

A jak gorąco p. Hurko bierze sprawy nasze do serca, dowodem fakt, że podczas rozpraw, w uniesieniu, czując, że może nam się stać krzywda, użył pod adresem premiera tonu i uwag, które do wykwintnych salonów Rady Państwa wprowadziły na chwilę atmosferę herbaciarni, oczywiście nie tych japońskich, gdzie gejsze tańczą, tylko petersburskich z nad Obwodnego Kanału.

Sympaty p. Hurki dla nas są zupełnie zrozumiałe. Wychowywał się pośród nas, zna kraj, ludzi, stosunki... Co prawda, niezupełnie ściśle jest jego twierdzenie, jakoby większość ludności u nas mówiła żargonem. Ale to jest błąd, który się powtarza. Sam znałem pewnego Rosyanina, który parę lat w Warszawie przemieszkał i to samo utrzymywał. Tylko, co prawda, ów Rosyanin,

mój znajomy, miewał stosunki przeważnie z lichwiarzami.

Na pozór jedna rzecz jest niezrozumiała. Dlaczego w Galicyi Polacy nie urządzili jeszcze ani jednej rewolucyi? A przecież tam o takich sprawach, jak rzeźnie miejskie, wodociągi, oświetlenie ulic — słowem o sprawach z punktu widzenia państwowego najdrażliwszych, obraduje się w radach miejskich po polsku. W myśl teorii petersburskiego dygnitarza o wpływie języka polskiego na wojowniczość temperamentu, rodacy nasi z poza kordonu od kilkudziesięciu lat już nic innego nie powinniśmy robić, tylko w partyzanckich utarczках zmagać się z armią austriacką. Tymczasem, pominąwszy drobne nieporozumienia między „cywilami“ i „zugführerami“ w pewnego rodzaju kawiarniach nocnych, nieporozumienia, które zresztą mają podkład raczej erotyczny, niż polityczny, o wojnie na dobre jakoś nic nie słyhać...

Tłómaczę to sobie tem, że Galicyanie mają lepszy, niż my, charakter. Z tego też względu zapewne p. Hurko oświadczył, że z wielką chęcią zamieniłby Królestwo na Galicyę. No, ale na razie musi to pozostać w sferze pobożnych życzeń. Biedna Galicya, sama nie wie, co traci.

WALKI KOGUTÓW.

Pisma doniosły, iż na krańcach Warszawy zaczynają wchodzić w modę walki kogutów. Istnieje przytem pewien rodzaj totalizatora, co każe przypuszczać, iż inicjatorzy nowego sportu mają na celu uszlachetnianie rasy koguciej. Inaczej, co prawda, trudnoby było nawet wytłómaczyć sobie zaniepokojenie, jakie te walki budzą w sferach sportmeńskich z placu Kercelego. Przecież panowie ci nie są tak sielankowi i naiwni, aby ich miało bawić czubienie się jakichś dwóch kogutków. To dobre dla dzieci. Dorosły człowiek, gdy chce silniejszej emocyi, zarzyna przechodniów. W mieście takim jak Warszawa, łatwiej jest nawet o przechodniów, niż o koguty.

Na razie Towarzystwo walk kogucich nie jest jeszcze ulegalizowanem i dlatego musi walczyć z pewnemi trudnościami. Mianowicie każdorazowe ukazanie się policyjanta płoszy ludzi i ptaki. Z tego powodu zapewne nie można jeszcze tymczasowo przenieść zapasów do śródmieścia, na plac Tea-

tralny, czy do Saskiego ogrodu, gdzieby i ruch widzów był żywszy i obroty totalizatora poważniejsze.

O tem, aby walki kogutów wyrządziły konkurencyę wyścigom, czyli inaczej mówiąc, aby interesy rasy koguciej miały się odbić niepomyślnie na interesach rasy końskiej, mowy chyba być nie może. Warszawa jest miastem tak bogatym, że ją stać nie na dwa, ale na parę totalizatorów.

Inna rzecz, czy się walki kogutów spopularyzują. Emocye, jakich mogą dostarczać, są zbyt słabe i naiwne dla sportsmenów podmiejskich. Inteligencya i sfery zamożniejsze nie zechcą zapewne sprzeniewierzać się idei poprawiania rasy końskiej. Bądź co bądź, nie uchybiając kogutom, trzeba przyznać, że koń jest stworzeniem okazalszem. Kto wie zatem, czy z czasem, gdy minie ten pierwszy zapał, jaki każda nowość u nas budzi, walki kogutów nie zejną do roli popularnej zabawy dla uliczników.

Ulicznik warszawski jest z natury wesoły i lubi figle. Niedawno spędzałem wieczór w towarzystwie, gdzie mówiono o tem.

Jedna z pań skarżyła się, że gdy pojechała na spacer do Łazienek, jacyś urwisze rzucali w dorożkę błotem i kamieniami; inna opowiadała, że taki pędrak (ręką pokazała wzrost od podłogi —

rzeczywiście zadziwiająco niski) — otóż, że taki pędrak podbiegł do niej z tyłu na ulicy i jakimś drutem, czy blachą, rozdarł jej żakiet; jeszcze inna przytoczyła fakt, gdy ośmioletni synek stróża i jego dwie siostrzyczki, jedna sześć-, druga dziesięcioletnia, powtykali szpilek w poręcz od schodów i że ktoś tam się skaleczył, a ponieważ szpilka była brudna, dostał zakażenia krwi.

Wypadek przykry, ale z drugiej strony trudno przecież od dzieci wymagać, aby dezynfekowały szpilki w karbolu za każdym razem, gdy im przyjdzie ochota do zabawy. Sądzę, że dla tej miłej dziatwy walki kogutów byłyby w sam raz odpowiednią rozrywką.

Walki kogutów wytworzyły nową gałąź przemysłu. W jednym z uroczych zakątków Warszawy, na placu Kercelego, gdzie się odbywa tradycyjny targ na psy i gołębie, obecnie sprzedają już i koguty, wyspecjalizowane do zapasów.

Walki kogutów są pochodzenia hiszpańskiego. Do nas więc przyszły prawdopodobnie przez Argentynę. Obyczaj jakiś, przeniesiony z obcego kraju, wtedy tylko może się przyjąć, o ile znajduje odpowiedni grunt do rozwoju o narodowym charakterze.

Z tego względu walki kogutów powinnyby się
Do góry nogami.

u nas przyjąć. Czyż mało mamy walk kogucich w życiu?

Pominąwszy więc kulturalne i sportowe znaczenie nowej zabawy, to jeszcze podnieść przede wszystkim należy, że symbolizuje ona nasze stosunki codzienne.

Jedno jest charakterystyczne. Arystokracja stworzyła sobie „tir aux pigeons“, z inicjatywy sfer podmiejskich wyszły walki kogucie. Intuicyjnie lud okazał się bliższym zrozumienia charakteru narodowego, niż arystokracja. Czyż to nie jest objaw pocieszający?

W każdym razie, bez względu na to, jaka przyszłość walki kogucie czeka, na razie jedno stwierdzić trzeba, że lud nasz zyskał na nadchodzące święta nową i godziwą rozrywkę.

BOHATEROWIE ROKU.

Gdybym był miliarderem, ustanowiłbym nagrodę Sylwestra, na cześć patrona ostatniego dnia w roku i przeznaczył ją dla ludzi, którzyby się w ciągu roku poodznaczali jakimiś wybitnymi czynami, a nie byli dostatecznie przez bliźnich swych ocenieni.

Pieniądzy nie mam, ale spróbuję przedstawić listę swych kandydatów. A nuż znajdzie się jaki miliarder, który się do projektu mego zapali i zechce wypłacać nagrody z własnej kieszeni?

Przedewszystkiem zatem wymieniłbym na liście panią Pankhurst, przywódczynię sufrażystek angielskich. Na pani Pankhurst ostrzą sobie dziś języki wszyscy. A mojem zdaniem, jest to genialna kobieta, która zrozumiała parlamentaryzm.

Dwa są miejsca na świecie, gdzie dorosły człowiek może przez parę godzin z rzędu wyć, gdać, grać na piszczałce, albo bębnić pięściami po stole: — szpital waryatów i parlament... A raczej

tylko parlament, bo gdyby jakiś Rusin chciał się zachowywać w Kulparkowie tak, jak w parlamencie wiedeńskim, napewno jakimiś łagodzącymi środkami lekarze uspokoiłoby go odrazu.

Pani Pankhurst, która chcąc rodaczkom swoim wywalczyć wstęp do parlamentu, używa takich środków, jak gdyby je chciała powprowadzać wszystkie do szpitala waryatów, nie jest zbyt daleką od prawdy o przedstawicielstwie ludowem.

Wprawdzie w parlamencie londyńskim atmosfera panuje inna, niż w wiedeńskim, ale to niczego nie dowodzi. Rusini są narodem młodym, a przyszłość należy do narodów młodych, wzbogacających świat swoją jędrną, zdrową, nową kulturą. Pani Pankhurst poprostu przewiduje tę chwilę, w której światło rusińskie przyjdzie ze Wschodu do mglistego Londynu.

W każdym razie niezwykła kobieta. Nie wiem, kto zacytował nieboszczyk Pankhurst, ale barwne musiał mieć życie...

W Niemczech miałbym dwóch kandydatów do nagrody: owego hakatystę, który wpadł pierwszy na pomysł ogłoszenia konkursu na powieść antypolską, i porucznika Forstnera z Saverne. Obaj oni naprawdę przysłużyli się ojczyźnie. Bo każdy, kto przeżywał podniosłe dni uroczystości jubileuszowych w Niemczech, mógł zauważyć, że,

mimo wszystko, brakło tam czegoś w ogólnej atmosferze entuzjazmu. Na razie trudno było się zorientować, czego brakło. Wystawiono taki pomnik, jakiego drugiego niema na całej kuli ziemskiej absolutnie. Opatrzność, chcąc usymbolizować w jakimś efektownym obrazie zwycięstwo Niemców, puściła lwy na Lipsk, a mimo to wrażenie tryumfu geniuszu niemieckiego było niekompletne.

Bo był pomnik, był obchód, ale nie było kwiatów kultury niemieckiej, tego kwiecica, które ubarwia i nasycy wonią powszedniość zwykłych, codziennych dni. Aż dopiero powiedział porucznik Forstner w Saverne do żołnierzy: „Możecie zabijać Alzatzyków, jak psów“ — a z drugiego krańca państwa odhuknęło mu echo: „Piszcie powieść na Polaków“ — i odrazu w całych Niemczech zrobiło się jaśniej. Jak gdyby ktoś do wspinających, ale zimnych srebrnych wieńców, jakie złożono na pomniku zwycięstwa, dorzucił garść rodzinnych, polnych kwiatów.

To były kwiaty kultury niemieckiej...

Wobec tego zrozumiałem się staję, iż kanclerz Bethmann-Hollweg począł nawoływać swych rodaków do szerzenia tej kultury. Słowo kanclerskie ma u Niemców posłuch. Możemy się spodziewać, że w roku 1914 nietylko tandeta, ale

i kultura, „robiona w Niemczech“, zacznie się szeroko rozchodzić po świecie.

Pod dobrą wróżbą zaczyna się rok.

W liście swym, powtórzonym przez wszystkie pisma, kanclerz cytuje aforyzm Rostanda, że „aby zdwoić siłę, należy zdwoić wdzięk“. Niemcom co prawda na wdzięk nie zbywa. Ot, choćby taki porucznik Forstner w Saverne. Aby pokazać Alzacyjnykom, że się ich nie boi, wziął sześciu żołnierzy z nabitymi karabinami i poszedł... kupować cukierki. Cóż to dopiero będzie, jak się ten wdzięk podwoi.

Pod jednym tylko względem kanclerz nie ma słuszności. Mówi, że „nie każdy Niemiec za granicą odzwierciedla w tym stopniu swoją ojczyznę, jak Francuz — Paryż i Anglik — wyspy brytańskie“. Otóż to nie prawda. Zdarza się na szerokim świecie, że ludzie biorą Francuzów za Włochów i Anglików za Szwedów... ale Niemca już zdaleka każdy pozna zawsze.

Z pośród narodów łacińskich bez chwili wahania, wybrałbym do nagrody p. Peruggię, owego patryotę, który ukradł Giocondę, aby ją zwrócić Włochom i zemścić się na Napoleonie.

Takie ujęcie kwestyi niesłychanie rozszerza granice patryotyzmu. Wyobrażam sobie, że musiało wywołać wielkie wrażenie w sferach między-

narodowych złodziei. Być może nawet, że teraz wszyscy ci, którzy lubią i chcą kraść, będą się starali czynić to poza granicami własnej ojczyzny. Gdy ich złapią, będą mieli odrazu patryotyczne usprawiedliwienie:

— Chciałem się zemścić.

Z tego względu te nowe, patryotyczne kradzieże mogą nawet wpłynąć dodatnio na rozwój wiadomości historycznych wśród złodziei...

Ale w stosunku do sztuki włoskiej czyn Peruggii jest wysoce patryotyczny. Czy trzy lata temu, nim Giocondę wykradzono z muzeum, myślał kto o niej?... Paru maniaków... A dziś? Gioconda ma takie wzięcie, jak gdyby Leonardo był modnym malarzem paryskim, posiadał parę samochodów i namalował ją wczoraj.

P. Peruggia liczył na wdzięczność ojczyzny, Ojczyzna wsadziła go do kozy. Prawdopodobnie pojęcia p. Peruggii o wdzięczności ludzkiej ulegną teraz pewnej krytycznej rewizji. Ale jeśli wierzy we wdzięczność duchów, może się pocieszać, że Leonardo da Vinci łaskawem okiem patrzy na niego z nieba.

W Polsce wszystkie trzy dzielnice powinnyby się złożyć na nagrodę dla p. Stapińskiego. Przedewszystkiem dlatego, że p. Stapiński potrzebuje pieniędzy. Nie dla siebie — Boże uchowaj!... Cze-

góż dla siebie może chcieć człowiek, który żyje tylko ideą. I to ideą tak wzniosłą, jak miłość ludu. Ale miłość ludu nie wyłamuje się z pod ogólnej reguły miłości. Potrzeba na nią pieniędzy. P. Stapiński, usprawiedliwiając się z czynionych mu przez ministra Długosza zarzutów, wygłosił na wiecu w Rzeszowie mowę, która powinna przejść do historii. We Francji istnieje obyczaj, że wybitniejsze przemówienia ministrów drukuje się czasami i rozlepia po całym kraju. Powinnaby Galicya ten francuski przykład naśladować. Niechby się dowiedzieli wszyscy, jak tragicznym jest los polityka polskiego, który chce lud kochać i dla jego dobra pracować.

Pan Stapiński był człowiekiem wyjątkowo skromnych wymagań. Jadał „Pod kogutkiem“ i to jeszcze prawdopodobnie wybierając tańsze potrawy z menu. Gdy mimo to zbrakło mu czasem pieniędzy, jechał na wieś do jakiegoś przyjaciela chłopca i mówił szczerze, bez dyplomatycznych wykrętów:

— Bracie, nie mam pieniędzy, daj mi piątkę i daj kromkę chleba i szklankę mleka, bom głodny.

Ten *régime* mleczny doskonale p. Stapińskiemu robił. Dawał mu siły potrzebne do pracy nad ludem. Ale tu się zaczyna błędne koło. Bo, aby ta praca mogła być coraz owocniejsza, p. Stapiń-

ski musiał zacząć wdawać się z ekscelencyami, bywać u dworu.

Żeby bywać u dworu, trzeba mieć frak i czarne spodnie, a przynajmniej ciemne. Pierwszy wydatek. Ale naprawdę złym duchem p. Stapińskiego stał się dopiero minister Długosz.

Człowiek ten nauczył go jeździć fiakrami i samochodami. Naznaczał mu spotkania w Grand-hôtelu.

W wiedeńskim Grand-hôtelu nie można, jak „Pod kogutkiem“, poprzestać na małym piwie i jednej parówce z chrzanem. Czekając na ministra, p. Stapiński musiał pałaszować sole nie sole, antrykoty nie antrykoty. Nie smakowało mu to, ale trudno: czego człowiek dla ojczyzny nie przełknie!

A minister robił greka, jak to się często ministrom austriackim zdarza, mimo pozornej sprzeczności interesów austriackich i greckich w Albanii. Nie przychodził. I w rezultacie p. Stapiński musiał za wszystko płacić sam.

— Rachunek... Panie święty, rybka, kawałek ptaszka, pół butelczyny jakiegoś wina i odrazu kilkanaście koron pękło!

A w całej Galicyi, jak długa i szeroka, lud spał już w tej porze najspokojniej i ani przeczuwał, jak się tam jego poseł męczy.

Oczywiście na to wszystko skądś brać było

trzeba. Rząd dawał — p. Stapiński brał. I naraz z tego powodu robią mu zarzuty.

Ponad zarzuty p. Stapiński jest wyższy. Ale rząd może nie chcieć dawać więcej pieniędzy. I co wtedy? P. Stapiński nie będzie mógł jeździć fiakrami i samochodami i spotykać się z ministrami w Grand-hôtelu. Lud pozostanie bez opieki. W każdym innym społeczeństwie takiemu posłowi zebranoby natychmiast odpowiedni kapitał, aby mu zapewnić swobodę menu i środków komunikacji... Ale w Polsce, ale w Galicyi...

Lepiej o tem nie myśleć... Szkoda, że nie jestem miliardерem!

B A M B U L A.

Paryski *Journal* w numerze z dnia 2 b. m. przyniósł wiadomość egzotyczną na pozór, ale która może mieć wielki wpływ na życie europejskie. Mianowicie wicegubernator Konga belgijskiego, generał Henry, zabronił murzynom tańczyć bambulę. Niewiele osób u nas wie zapewne, jak się bambulę tańczy. Przyznam się, że i ja nie wiem, niestety. Jako danser nie mogłem nigdy zdobyć najmniejszego uznania i dlatego mało się tańcami interesuję. *Journal* podaje tylko ogólnikową informację, że wobec bambuli tango jest niewinną igraszka.

Trzeba przyznać, że to jest już coś jednak... Taniec, wobec którego tango jest tem, czem wobec tanga jakaś zabawa w „koci, koci, łapki“, banalnym być nie może. To też w Kongo cieszył się powodzeniem szalonym. Murzyni, murzynki i murzynięta bambulowali zawzięcie.

Ale generał Henry uznał, że nadmierne odda-

wanie się bambuli bardzo źle wpływa na rozwój cywilizacyjny murzynów. I zabronił im ją tańczyć.

Jeżeli i w Kongo, tak jak u nas, zaczyna się obecnie karnawał, to trzeba przyznać, że wicegubernator wybrał porę na taneczne represye bardzo złośliwie.

Nie wiem tylko, czy względy, jakimi rozporządzenie swe motywował, są zupełnie szczerze... O ile słyszałem zawsze, szlachetni Belgowie miśkę swą cywilizacyjną w Kongo pojmują w sposób dość niezwykły. Zdaje się, polega ona głównie na obcinaniu murzynom nosów, uszu, rąk i wierceniu dziur w brzuchu — nie w znaczeniu przenośnym, jak to się często u nas praktykuje, ale w dosłownym. Raczej więc byłbym skłonny do przypuszczenia, że ze strony wicegubernatora Henry był to wybryk manii wielkości...

Ponieważ słyszał, że cesarz Wilhelm zabronił oficerom armii niemieckiej tańczyć tango, więc i on chciał się czemś podobnym odznaczyć i zabronił murzynom bambuli. Ale jest to, że tak powiem, afrykańska strona sprawy. Niesłuchanie ważniejsze dla nas jest co innego. Bez tej represyi generała Henry mogliśmy długie lata jeszcze przeżyć, nic nie wiedząc o bambuli. Zadawalalibyśmy się tangiem.

A dziś śmiało już można powiedzieć, że karjera tanga skończona.

Dziś dopiero. Bo to, że mu wypowiedzieli wojnę król Jerzy V, cesarz Wilhelm i Franciszek Józef, że go wyklinali arcybiskupi we Francyi, że go się wyparł ambasador argentyński w Paryżu, p. Laretta — ach! to wszystko były dąsy bez znaczenia. Tango tryumfowało... Aż naraz jakiś zaspany urzędnik telegrafu, ziewając i przecierając oczy, odebrał krótką depezę z Afryki:

— Jest bambula.

W tym momencie we wszystkich stolicach, w barach, w salonach, w teatrach szalało jeszcze tango, w różowych buduarach panieńskich podłotki snuły płomienne sny o tangu — a to już był koniec tanga.

Bo skoro w Afryce zabroniono murzynom bambuli, to czyż to nie jest wystarczający powód, aby Europa zaczęła za bambulą szaleć?

Bambuli możnaby jeden zarzut uczynić. Murzynki w Kongo ubierają się znacznie lżej od europejskich pań — niewiadomo więc, czy na bambulę nie byłoby za zimno w naszym klimacie? No, ale na to ostatecznie rada jest łatwa: dobrze palić w piecach.

W każdym razie przyszłość należy do bambuli...

Na przyszły karnawał nikt już zapewne nie będzie mówił o tangu. Jeśli odżyje, to dopiero za dwa lata w lecie i już nie w salonach, nie na

estradach, ale w Parku Ujazdowskim. Działwa będzie się nim zabawiała już pod okiem piastunek. A my, rozbambulowani ludzie dorośli, będziemy sobie przypominali czasy tanga ze szczerem, nieudawanem zdziwieniem:

— I co w tem ludzie mogli widzieć złego?

W tej chwili jedno podejrzenie nasuwa mi się na myśl. Czy ta wiadomość, podana przez dzienniki paryskie, jest aby prawdziwa? Że istnieje Kongo, wiem, bom się o tem uczył w geografii, ale czy był w tem Kongo jaki wicegubernator Henry i czy zakazywał czego murzynom?... Może to po prostu jacyś ambitni baletnicy, pragnąc nas obdarzyć nowym, barwniejszym od tanga tańcem, wymyślili tę plotkę i przekupili prasę paryską, aby ją rozpuszczała. Byłby to podstęp złośliwy, ale chytry.

Bambulę powinni radośnie powitać moralisci. Bo moralisci są to ludzie, którym radość sprawia narzekanie. Skoro przy tangu mogą już tak folgować sobie z lamentami, cóż to dopiero będzie, gdy w salonach uzyska prawa obywatelstwa bambula?

TRAGEDYA HR. BOBRINSKIEGO.

Najtragiczniejszą istotą w Słowiańszczyźnie jest dziś bez wątpienia hr. Bobrinskij, człowiek, który od szeregu lat wszystkie swe siły wyteża na to, aby służyć sprawie słowiańskiej.

Służba to twarda i niewdzięczna. Dość wspomnieć o tem, co spotkało hr. Bobrinskiego w Polsce. Wyciągał bratnie, słowiańskie dłonie do rodaków z nad Wisły... A rodacy z nad Wisły? Odwdzięczyli mu się absolutnem niezrozumieniem jego szlachetnych intencji. Kogo innego taki zawód mógłby być rozgoryczyć najzupełniej. Powiedziałby sobie: „Nie chcecie mnie, to nie“. Ale hr. Bobrinskij jest człowiekiem wielkiego serca. Odepchnięty, nie przestał w miarę sił i możności pracować dla naszego słowiańskiego dobra.

Pociechę w tej pracy mogło mu to być, co prawda, że nie wszyscy Słowianie okazywali się tak tępymi na jego słowiańskie hasła, jak my. Był czas, w którym hr. Bobrinskij przypominał cesarza Wilhelma. Jeździł i mówił. Gdzie tylko

byli jacy Słowianie, choćby dwóch, trzech Słowian, mogli się spodziewać odwiedzin hr. Bobrinskiego ze słowami dobrej nowiny na ustach.

W pielgrzymkach tych nowy apostoł dotarł do małego węgierskiego miasteczka Marmarösz-Sigeth, zamieszkanego przez Rusinów. Rusini ci żyli sobie tam cicho, spokojnie, jak u Pana Boga za piecem, nie wiedząc nawet zapewne, że istnieje jakaś wielka idea słowiańska na świecie. Na pozór nawet czuli się bardzo dobrze, ale w gruncie rzeczy jakież było poniżające to przystosowanie się do niewoli, nie zdawanie sobie sprawy z ohydno węgierskiego ucisku.

Hr. Bobrinskij otworzył im oczy. Obudził w nich świadomość słowiańską, wskazał nowe cele, nowe drogi.

Ziarna jego porywającej wymowy padły na grunt podatny. Proste serca braci z Marmarösz-Sigeth okazały się daleko bardziej podatnymi do przyjęcia prawd słowiańskich, niż chytre, jezuickie umysły braci z nad Wisły. A ponieważ ponadto hr. Bobrinskij przyrzekł im swoją pomoc, więc uważali, że skoro się ma taki autorytet poza sobą, można się od razu z Węgrami rozprawić. Ale Węgrzy rozprawili się z nimi wcześniej. Wytoczyli wszystkim proces i w rezultacie zapakują ich do kozy.

I tu się zaczyna tragedia hr. Bobrinskiego,

jedna z najbardziej wstrząsających tragedij duszy ludzkiej, jaką sobie wyobrazić można. Moralne przejścia nieboszczyka Hamleta są wobec niej głupstwem, tembardziej, że, czy Hamlet napewno istniał, niewiadomo, a hr. Bobrinskij istnieje. To napewno wiadomo.

Otóż hr. Bobrinskiego boli to, że, dzięki jego porywającym słowom, pewna liczba braci Słowian dostanie się do kozy. Nie mogąc pomódz im inaczej, chciałby przynajmniej cierpieć z nimi, dostać się do węgierskiej ciemnicy, być katowanym, ale... nie ma czasu...

Tak oświadczył publicznie, w artykule, który zamieściło „Nowoje Wremia“.

Czy można sobie wyobrazić tragiczniejszą sytuację? Człowiek, który chce siedzieć w kozie i nie ma czasu. A zdawałoby się, że na co jak na co, ale na kozę zawsze już czas się znajduje.

Liczne przykłady wskazują, że ludzie nawet bardzo zapracowani, gdy na nich czas kozy przyjdzie, umieją się tak urządzać, aby ją odsiedzieć. Ale hr. Bobrinskij na to czasu nie ma... Można stąd sobie wyobrazić, jak musi być zapracowany...

Na pociechę za to hr. Bobrinskij oświadcza, że, jeśli go przy następnych wyborach do Dumy państwowej nie wybiorą, wówczas będzie miał dość wolnego czasu, uda się do Marmarösz-Sigeth i, zamiast do hotelu, zajędzie wprost do więzienia...

Gdyby rząd węgierski miał choć trochę poczucia przyzwoitości, to po takiej obietnicy wstrzymałby się z procesem, aż do czasu ukończenia przysyłanych wyborów do Dumy.

Ale Węgrzy są niecierpliwi. A może boją się poprostu, że hrabia Bobrinskij znów będzie wybrany na posła.

Bo niewiadomo, czy wyborcy hr. Bobrinskiego uszanują jego tęsknotę do więzienia węgierskiego. W każdym razie, podczas przyszłych wyborów rozegra się scena niezwykła. Wyborcy będą wszelkimi siłami starali się nakłonić hrabiego, aby przyjął mandat do Dumy. Jest to zupełnie zrozumiałe. Bo jakżeby wyglądała Duma bez tak wybitnego działacza. Ktoby bronił praw słowiańskich za granicą?

A biedny hrabia będzie się wymawiał ze łzami w oczach:

— Nie, nie, moi najdrożsi, nie wybierajcie mnie, bobym nie miał czasu siedzieć w kozie.

Słowem, zupełnie hamletowska sytuacja, tylko zamiast „Być albo nie być“ — „Siedzieć, czy nie siedzieć“.

Szczęśliwi bracia Słowianie z Marmarösz-Sigeth. Oni mają tyle wolnego czasu, że mogą bez wahanja kozę odsiadywać... Gdyby się tak też mogli jeszcze tym czasem z opiekunem swoim podzielić serdecznie, po słowiańsku...

ZAPALNICZKI.

Człowiek, który ileś tam tysięcy lat temu pierwszy odkrył sposób krzesania ognia, był geniuszem — potomek jego, który wynalazł automatyczne zapalniczki, był złoczyńcą.

W tych drobnych błyszczących cackach wszystkich najmożliwszych, a raczej najniemożliwszych kształtów tkwi jakaś dziwna, przyciągająca siła. Raz, drugi, trzeci i dziesiąty człowiek mija obojętnie szyby sklepowe, za którymi leżą zapalniczki. Ale potem zaczyna go coś korcić. A może to naprawdę praktyczne?... Zdarza się taka sytuacja, że w nocy zabraknie zapalek, albo, że ktoś ze znajomych ściągnie najspokojniej pudełko do kieszeni — i to przechyla szalę wahań. Przy pierwszej okazji, jaką nastęrcza kupno papierosów, rzuca się od niechcienia pytanie:

— Czy też te zapalniczki naprawdę są coś warte?

Na twarzy subjekta, czy samego właściciela

sklepu maluje się wyraz niewypowiedzianego podziwu.

— Pan dobrodziej sam się najlepiej przekona. Trzask. Płomień bucha, jak z wulkanu. A subjekt, który ten cud zademonstrował z dumą, jak gdyby był co najmniej Prometeuszem, objaśnia:

— Niesłuchanie praktyczne. Szanowny pan nie będzie już potrzebował kupować zapalek... Należy się benzynki... Franek, podajno benzynkę... O, nalewa się benzynki... parę kropel i to na tydzień starczy.

Benzyna jest groźnym materiałem palnym, ale benzynka ma w sobie coś niesłuchanie przymilnego. Kogóż zresztą nie nęciłaby perspektywa, że już nigdy aż do sędziwej starości nie będzie potrzebował kupować zapalek.

O zakład, z chwilą, gdy się za zapalniczkę zapłaci, drzwi otwierają się z trzaskiem i do sklepu wchodzi jakiś opryskliwy jegomość.

— Proszę pana, jakże wy możecie takie świństwa sprzedawać? Tydzień temu kupiłem i już się nie zapala...

Jest to jakby pierwsza przestroga, ale już po niewczasie. Reszta wydana, zapalniczka w kieszeni.

Człowiek staje się ofiarą zapalniczki.

„Nie śmieję się, dziadku, z cudzego wypadku“, powiada przysłowie polskie, przypisując niewia-

domo czemu skłonność do wyśmiewania się z cudzych utrapień ludziom starym, podczas gdy jest to raczej wadą lekkomyślnej młodzieży. Ale pominawszy tę nieściśłość, jest to bardzo rozumna przestroga. Sprawdziłem ją sam na sobie. Przez długi czas nie uznawałem zapalniczek, wyśmiewałem się ze znajomych, którzy je przeklinali...

I skończyło się tem, że sam kupiłem zapalniczkę.

Bo to przychodzi z powietrza, jak katar.

Skoro kupno zapalniczki jest nieuniknione, byłaby na to jedna rada. Kupić i w tej chwili wyrzucić. Ale niewielu ludzi potrafi zdobyć się na taki akt odwagi cywilnej. Przeważna większość kupuje i męczy się, wyczekując w duchu chwili, aby zapalniczka okazała się całkiem niezdatna do użytku.

Ale do właściwości zapalniczek należy to, że się nigdy nie psują doszczętnie. Zawsze są tylko trochę nadpsute, tak, że je z łatwością można naprawić. Przytem, ponieważ są metalowe, więc, gdy je człowiek z furją ciska na podłogę, nic im to nie szkodzi. Prawdziwym dobroczyńcą ludzkości byłby fabrykant, któryby je zaczął robić ze szkła...

Wszystko to nie przeszkadza zresztą, że jako wynalazek zapalniczka jest niesłuchanie praktyczna. Zło idzie od benzyny, czyli tej „benzynki“, jak

się pieśczośliwie w sklepach mówi. Benzyny jest albo za mało i wówczas zapalniczka się nie zapala, albo za dużo i wówczas również się nie zapala. Uchwycenie momentu pośredniego jest bardzo trudne.

Dzięki tej subtelności maszyneryi nic tak nie odgradza człowieka od ognia, jak zapalniczka. Bo wychodzi się ze staroświeckich zapalek, a zapalniczka ognia nie daje. Z tego względu automatyczne zapalniczki mogłyby mieć doniosłe zastosowanie, ale nie w praktycznej sferze życia, tylko w moralnej. Mianowicie, najzjadlejszych podpalaczy możnaby wyleczyć z ich zbrodniczej namiętności, każąc im używać wyłącznie... zapalniczek.

Przed paru dniami zdarzyło mi się odwiedzić jednego z bardzo miłych znajomych. Zasiadliśmy do kawy, poczęstował mię doskonałym cygarem i z uśmiechem podsunął mi pod nos zapalniczkę.

— Służę panu...

Trzask... trzask... trzask... ani iskierki.

Przez następne pół godziny już nic nie mówiłem, siedziałem z niezapalonym cygarem w ustach, a przyjaciel mój manipulował koło zapalniczki, mruczając pod nosem...

— To się czasem tak zacina... Teraz już powinno się zapalić... — Trzask... trzask... — Wie pan, że to dziwne, dziś rano funkcjonowała doskonale... Nie ma pan scyzoryka?

Wyciągnąłem scyzoryk, próbując zarazem nawiązać rozmowę na ogólniejszy temat. Ale on niecierpliwym ruchem głowy dał mi znak, żebym mu nie przeszkadzał, i dalej majstrował około zapalniczki. Znów pół godziny upłynęło. Wreszcie spojrzął na mnie z bolesnym uśmiechem.

— Wie pan, że to może zdenerwować.

Po tych słowach rozstaliśmy się. Przyjaciel mój nie próbował mię już nawet zatrzymywać, stracił wszelki humor do rozmowy. Wyszedłem z niezapalonym cygarem, a ponieważ na szczęście nie miałem własnej zapalniczki, więc przed bramą zaczępiłem jakiegoś przechodnia i poprosiłem go o ogień.

W tej samej chwili usłyszałem nad sobą trzask otwieranego okna. Nie troszcząc się o możliwe przeziębienie, przyjaciel mój wychylił się na mróz.

— Panie... panie... już się zapaliła!

I to jest właśnie tajemnica powodzenia zapalniczek. W chwili, gdy się już wszelką nadzieję straci, one się zapalają nagle. Budzi to taką wdzięczność w sercu, że człowiek nabiera z powrotem przekonania do zapalniczki i poczyna ją uważać za przedmiot niezbędny.

KSIEŻNA WIED.

Jestem pełen szczerego uwielbienia dla księżnej Wied, przyszłej królowej albańskiej.

Znając choćby pobieżnie koncepcye rojalistyczne albańczyków, łatwo można przewidzieć, że rządy księstwa Wied w Durazzo nie potrwają długo. Pesymiści obliczają je na dni zaledwie. Jest to rzeczywiście termin panowania tak krótki, że można się zawahać, czy warto wogóle jeździć. To też, jak się zdaje, księżę Wied przeżywał chwile takiego wahania. Ale wówczas, jak posag obowiązku, zjawiła się przed nim małżonka.

Nie ulega wątpliwości, że w pierwszej chwili księżę starał się ostudzić te jej rojalistyczne zapęły.

— Ależ luba, Albania to nie Alzacya, mimo złudnego podobieństwa pierwszych sylab. Tam niema jeszcze sądów, któreby czuwały nad całością oficerów pruskich.

Argument, któremu każdy z nas musiałby

przyznać rację. Ale kto przekona kobietę pragnącą władzy?

— Pojedziemy.

Jaka scena rozegrała się potem między księstwem — nie wiadomo, faktem jest jednak, że pogłoski o zrzeczeniu się przez księcia tronu ustały momentalnie, natomiast zjawilo się w prasie kateryczne oświadczenie księcia, że do Albanii pojedzie.

I zamiast do rozpakowywania kufrów, książę Wied zabrał się z powrotem do gramatyki albańskiej, której uczy się obecnie na gwałt. Język albański jest jeszcze tak mało rozpowszechniony, że poza Albaniją rozmówić się nim niepodobna. Książę zdaje sobie już napewno sprawę, że w Albanii mówić po albańsku nie będzie miał czasu. Uczy się więc po to tylko, aby w chwili detronizacji być wobec swoich poddanych w porządku. Będą go wypędzali, jako albańskiego króla, wypada więc, aby umiał po albańsku.

Jest to wzór sumiennosci, zasługującej na jak najwyższe uznanie.

Nie ulega kwestyi jednak, że jest w tem trochę wpływu żony. Księżna Wied postanowiła być władczynią w wielkim stylu. Oświadczyła publicznie, że pragnie spełnić misję cywilizacyjną w Albanii i odegrać rolę Carmen Sylvy. Czyli, że należy się domyslać, że zacznie pisywać po albańsku

wiersze. Książę zawiezie Albańczykom koronę, a księżna lutnię.

Sądząc z nadsyłanych przez korespondentów z Durazzo wiadomości, słowa księżnej o misji cywilizacyjnej nie były pustym, obliczonym na efekt jedynie frazesem. W malowniczej stolicy nowego państwa, kosztem przyszłych władców, zało, żono kinematograf, do którego cała ludność ma wstęp za darmo. Pierwszy w Europie darmowy kinematograf dla szerokich mas. Na program składają się obrazy, przedstawiające parę księżną w najrozmaitszych uroczystych pozach.

Oczywiście był tu i wzgląd uboczny, nie tylko cywilizacyjny. Przez kinematograf księstwo chcieli zapewne zaskarbić sobie miłość Albańczyków. Może podziałał na nich przykład Maksa Lindera, który we wszystkich miastach, gdzie się tylko pokazał, był tak entuzjastycznie witany.

Nie można rzec, aby tych dobrych chęci Albańczycy nie potrafili ocenić. Powiedzieli sobie: „Ludzie, którzy dla nas tyle robią, zasługują, aby i dla nich coś zrobić. Skoro ich mamy przepędzić, to odrazu“. I mimo, że księstwo nie wybrali się jeszcze w drogę, w Albanii już się czynią gorączkowe przygotowania do rewolucyi. Nie pamiętam daty dokładnie, ale zdaje mi się, że w tych czasach jakoś Albania powinna święcić pewną rocznicę swej niepodległości. Być może

więc, że oba historyczne momenty: obchód rocznicy i wypędzenie księcia Wieda, zbiegną się w jednym dniu. Dla niezamożnej Albanii byłyby to duża oszczędność.

Z punktu widzenia interesów albańskich zresztą pośpiech taki może być tylko pożądany. Bo im więcej władców w jak najszybszym czasie się zmieni, tem dla Albanii lepiej. Każdy przywiezie trochę pieniędzy. Księżę Wied na pierwszy ogień ma przywieźć siedmdziesiąt pięć milionów, tak, że po pewnym czasie Albania z najbiedniejszego kraju w Europie może się stać państwem bardzo zasobnem.

Powtóre, gdy każdy z kandydatów do tronu pocznie się uczyć języka albańskiego, język ten rozpowszechni się z czasem wśród arystokracji europejskiej, od arystokracji przejdzie do snobów i wogóle stanie się modnym.

Dla kultury albańskiej będzie to tryumf nie-lada!

Wobec tego nie można się dziwić patryotom albańskim, że, wzywając gorączkowo księcia Wieda do przyjazdu, z niemniejszym zapałem przygotowują się do tego, aby go przepędzić. Z drugiej strony nie można się dziwić księciu, że się trochę ociąga z wyjazdem... Ale podziwiać należy księżnę Wied, która odkryła nagle w sobie taki zasób

miłości dla przyszłej skalistej ojczyzny, że na żadne niebezpieczeństwa nie zważa.

W każdym więc razie, choćby panowanie jej miało być kilkodniowe tylko, powinna przejść do historii Albanii jako wielka królowa.

HUMANITARNE INTERWENCYE.

Dwa najpopularniejsze dzienniki paryskie: *Journal* i *Matin*, zamieściły przed paru dniami sensacyjny telegram z Polski, donoszący, jak jakiś włościanin ze wsi „Delinkowo“ pod Łodzią, zabił żonę, usmażył i zjadł.

Ta chata wieśniacza, zamieniona na tak oryginalny grill-room, podziela zapewne na wyobraźnię czytelników francuskich. Ale szkoda, że Francuzi nie czytują po rosyjsku. Bo korespondencya z Warszawy, jaką równocześnie nieomal wydrukowało *Nowoje Wremia*, uzupełniłaby im obraz stosunków, panujących w Polsce.

Korespondencya ta zaczyna się od słów:

„Pisma polskie nie przestają atakować marywitów ręką w rękę z duchowieństwem i bandytami.“

To są fakty. Spróbujmy na zasadzie tych faktów, podanych przez tak poważne organy prasy europejskiej, jak *Journal*, *Matin* i *Nowoje Wremia*,

nakreślić rodzajowy obrazek z życia polskiego w początkach XX-go stulecia.

Scena pierwsza. Domek na odludnem przedmieściu Warszawy. W oddali tor kolejowy. Starannie utrzymaną i oświetloną drogą dzięki funduszom, jakimi gmina na ten cel rozporządza, kroczą trzy tajemnicze postacie. Trzech mężczyzn. Jeden ogolony w sutannie, drugi w kosztownem futrze, trzeci w amerykańskim ulstrze i meloniku. Są to: ksiądz, bandyta i dziennikarz, którzy idą mordować maryawicką rodzinę.

Scena druga. Mord. Dzieci ubogich maryawitów błagają napastników o darowanie im życia, tłómacząc się tem, że, jako nieletnie, nie mogły same decydować o wyborze religii. Ale rozbestwieni fanatycy odpowiadają na to wybuchem szatańskiego śmiechu. Dziennikarz wyciąga z kieszeni wieczne pióro i najmłodszemu niemowlęciu wierci niem dziurę w oku aż do mózgu. Na dworze świta. Po torze kolejowym z głuchym łoskotem przelatuje kilka wagonów, które się oderwały od pociągu i wracają do Warszawy.

Scena trzecia. Zadowoleni z mile spędzonej nocy ksiądz, bandyta i dziennikarz, ujawszy się pod ręce, powracają do Warszawy. Znów ta sama jasno oświetlona i starannie utrzymana droga dzięki funduszom, jakimi gmina na ten cel rozporządza. Trójka kroczy, podśpiewując wesoło, ale po chwili

milknie. Wiadomo, że nic tak nie zaostrza apetytu, jak zbrodnia. To też wszyscy trzej: ksiądz, bandyta i dziennikarz, uczuwają wściekły głód.

— Wiecie co — odzywa się dziennikarz, zawsze najbardziej pomysłowy — w Warszawie wszystkie restauracye już zamknięte, zresztą jesteśmy trochę zakrwawieni i nie wypada się tak ludziom pokazywać... A cośmy się zjadło...

— Oj, zjadło! — potakują mu towarzysze.

— Chodźmy na wieś.

Zawracają i po pewnym czasie pierwsza chata chłopska ukazuje się ich oczom. Dziennikarz puka do okna.

— Gospodarzu, gospodarzu...

— A co tam? — odpowiada zaspany głos z zewnątrz.

— Jesteśmy głodni. Nie moglibyście nam żony usmażyć?...

Okno otwiera się pośpiesznie. Krótki targ i wieśniak wprowadza przybyszów do chaty. W chwilę potem bucha wesoły ogień na kominie i przyjemna woń smażonego ciała rozchodzi się po izbie.

Stosunki takie musiały wstrząsnąć opinią europejską i poruszyć ją do głębi. Przedewszystkiem za maryawitami ujęli się hakatyści. Humanitarne to stowarzyszenie niemieckie ma, jak wia-

domo, na celu obronę wszelkich „mniejszości“, ciemiężonych przez Polaków — mniejszości pruskiej w Poznańskim, rusińskiej w Galicyi i maryawickiej w Królestwie.

Gdzie tylko chodzi o obronę słabych, wydziedziczonych i upośledzonych, tam musi być *Nowoje Wremia*. Wynika to z tradycyi tego pisma. Nic więc dziwnego, że i tym razem stanęło do apelu i szuka sposobów zabezpieczenia maryawitów przed atakami księży, dziennikarzy i bandytów.

Z kolei weźmie zapewne w obronę wieśniaczki polskie, spożywane przez smakoszów mocniejszej płci. W tej sprawie petersburskiemu pismu mógłby być pomocny konsul angielski we Lwowie, p. Załoziecki, któryby powinien wzbudzić wśród sufrażystek angielskich odpowiednią agitację pod hasłem: „Nie jeść kobiet!“

Nim to nastąpi, dobrze jest, że choć za maryawitami już się ktoś ujął. Zwłaszcza, że *Nowoje Wremia* ma szerokie plany. Chce ich bronić nie tylko przed księżmi i dziennikarzami, ale i przed bandytami. Temu powinniśmy z radością przykłaśnać. Bo z tego bardzoby mogli skorzystać i niemaryawici.

JARZMO POLSKIE.

Muszę się upokorzyć. Przed paru tygodniami wyrażałem na tem miejscu wątpliwość, czy hr. Bobrinskij pojedzie do Marmarösz-Sigeth. Tymczasem hrabia pojechał, złożył zeznania i tryumfalnie powrócił do Petersburga.

Wyprawa odbyła się szczęśliwie. Rząd austriacki nie zażądał wydania hrabiego, nie osadził go w ciemnicy. Ta powściągliwość władz austriackich jest teraz zrozumiała. Hrabia Bobrinskij występował jako przyjaciel Austrii, broniąc jej przed intrygami polskimi, za cóż więc Austriacy mieli go aresztować?

Dzięki osobistej interwencji hrabiego przebieg całej awantury w Marmarösz-Sigeth przedstawia się zupełnie jasno.

Hrabia Bobrinskij pojechał do Marmarösz-Sigeth, aby opowiedzieć Rusinom węgierskim o tem, jak Rusinów galicyjskich prześladują Polacy.

Rusini węgierscy, do żywego wzruszeni tem

opowiadaniem, zaczęli spiskować przeciwko rządowi węgierskiemu.

Wiadomo, że w organizacji duchowej Słowian uczucia grają większą rolę, niż logika. Ale logika naszych braci z Marmarösz-Sigeth byłaby już zupełnie wyjątkowa, gdybyśmy na szczęście nie mieli klucza do jej zrozumienia w „Szopce warszawskiej“ Or-Ota. Występuje tam figura, która śpiewa:

Węgier — Polak dwa bratanki
I do szabli i do szklanki.

Otóż zdaje się, że wskazaniem politycznym, zawartem w tej piosnce, kierowali się Rusini z Marmarösz-Sigeth, rozumując, że za jednego bratanka śmiało może odpowiadać drugi.

Po takich wyjaśnieniach władze austriackie nie mogły już mieć najmniejszej pretensyi do hrabiego Bobrinskiego. Przeciwnie raczej, powinny były poczuwać się do wdzięczności za wskazanie właściwego źródła nieporozumień.

Słowem — cała ta historia jest tylko nowym przyczynkiem do dziejów tyranii polskiej w Europie. Tak się już na świecie ułożyły stosunki, że każdy naród musi prześladować jakiś inny. Anglicy prześladują Irlandczyków, Hiszpanie Katalończyków i t. d. Ale jest w tem wszystkim pewna miara. Każdy duży naród obiera sobie jeden, co

najwyżej dwa mniejsze narody do prześladowania. Otóż ze wstydem trzeba stwierdzić, że tylko my jedni, Polacy, przekroczyliśmy tę miarę w skandaliczny sposób.

Bo zastanówmy się tylko nad tem, ile narodów do prześladowania przypada na nas w Europie.

Dnia przecież niema, aby w pismach nie wyczytać, że ktoś tam jęczy pod jarzmem polskim. I to nie tylko narody słabsze, jak Litwacy i Rusini, ale i takie na pierwszy rzut oka potężne i zorganizowane, jak naprzykład Niemcy.

Sądząc z tego, co w sejmie pruskim mówiono z powodu „Ostmarkenvereinu“ i sojuszu obronnego prusko-rusińskiego, Niemcy bodaj, że nie istniałyby już dzisiaj bez ciągłej rozpaczliwej obrony przed naporem polskim. Gdy się w te rzeczy wczytać i uświadomić je sobie trochę, aż wstyd i lęk człowieka zdejmują.

Za co my się tak nad tymi narodami znęcamy?!

Przecież wszystkie one są na świecie potrzebne i wnoszą coś do ogólnego dorobku kultury europejskiej. Mało na przykład, na polu udoskonalenia etyki w ostatnich czasach zrobili Niemcy, albo Litwacy na polu wyszukiwania nowych dróg dla handlu i przemysłu?

A my chcielibyśmy te nacye zniszczyć i wytępić.

Zasługą takich działaczy, jak hrabia Bobrinskij, jest to, iż, otwierając wciąż Europie oczy na „jarzmo polskie“, pośrednio i na naszą psychikę wywierają wpływ dobroczynny. Powoli zaczynamy się opamiętywać.

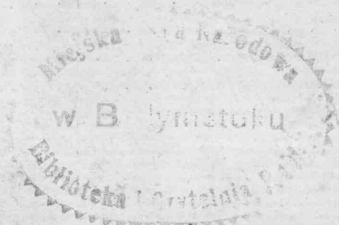
Nie jest to twierdzenie gołosłowne. Świeżo, na przykład, z powodu rewelacyj redaktora Krysiaka i hałasu, jakiego one narobiły, rozległ się poważny głos z polskiej strony, że to wszystko było niepotrzebnem drażnieniem Rusinów. Czyli, że agitacja przeciwko „tyraniu polskiej“ zaczyna już i u nas wydawać owoce. Rozumiemy, że tak żyć, wciąż prześladując i drażniąc wszystkich dookoła — niepodobna.



TREŚĆ.

	Str.
Willegiatura	1
Najstarsza kolejka podmiejska	7
Esperantysta	15
Drogi mieszkania	21
Rozmyślania polityczne	29
Winda	35
Kwestya wschodnia	41
Przedsiębiorczość	47
Solidarność	49
Ekscentryczny zakład	53
Zimowe wieczory	59
Pijana kolej	63
Na drogach postępu	69
Neutralność	75
Rehabilitacya polityki	79
Wielkanoc	85
Krach bandytyzmu	89
Si vis pacem	95
Gry pedagogiczne	99
Kinematograf i moralność	103
Geniusz	109
Różowe perspektywy	115
Interwencya dyplomatyczna	119
Szósty zmysł	123

	Str.
Pies policyjny	129
Szekspirowski kraj	135
Grzeczność	139
Najstraszniejszy sen	145
Doniosły wynalazek	149
Analfabetyzm	155
Kontrolerzy kultury	161
Ostatni Bułgar	167
Czarownicy	173
Międzynarodowa komisya okrucieństw	177
Rady na lato	183
Kwiatek	189
Pawi ogon	195
Pedagogiczne znaczenie niedzieli	201
Biuro informacyjne kolei wiedeńskiej	205
Nasz eksport	211
Świat duchów	217
Wytworne doróżki	223
Eutanazya	229
Obrońca Polaków	235
Walki kogutów	239
Bohaterowie roku	243
Bambula	251
Tragedya hr. Bobrńskiego	255
Zapalniczki	259
Księżna Wied	265
Humanitarne interwencye	271
Jarzmo polskie	275



2789

3782

